

J.B. LIVINGSTONE

**MORDERSTWO
W BRITISH MUSEUM**

Meurtre au British Museum

Tłumacz: ANNA LAURENT, PIOTR TRYBUŚ

Wydanie oryginalne: 1989

Wydanie polskie: 1998

TMN

Rozdział I

Nad Londynem zapadała wieczorna jesienna mgła. W sercu luksusowej dzielnicy willowej Mayfair, przy wąskiej Park Street, rysowała się za wysokim murem rezydencja Mortimerów. Surowy wiktoriański budynek był otoczony małym, starannie utrzymanym trawnikiem.

Szeroki hall słabo oświetlała kuta żelazna lampa. Korzystając z półmroku, Filip Mortimer ukrył się za antyczną mahoniową szafą z epoki króla Jerzego. Szafa ta miała niemiły zwyczaj skrzypienia w nocy.

Filip — jedyny syn sir Johna Arthura Mortimera, dyrektora działu egiptologii w British Museum — był wysportowanym młodzieńcem, wyglądającym na znacznie więcej niż swoje siedemnaście lat.

Nie chciał za żadne skarby stracić widoku, którego — sądząc po odgłosach zamykanych drzwi, dochodzących z lewego skrzydła na pierwszym piętrze — oczekiwał lada chwila. Ze swego strategicznego miejsca mógł patrzeć, pozostając w ukryciu.

U szczytu marmurowych schodów pojawiła się Frances Mortimer. Ubrana w wąską czarną suknię z białym koronkowym żabotem, nigdy nie wyglądała równie pięknie. Frances była wiotką blondynką, promieniowała jakby słonecznym blaskiem zdolnym przebić się nawet przez londyńskie mgły. W jej spojrzeniu było ciepłe światło, jak w obrazach Tamera. Filipa fascynowała jej uroda, jej sposób chodzenia, mówienia, głos, tak melodyjny, że mógł oczarować każdego słuchacza. Dwudziestoosmioletnia Frances Mortimer, spadkobierczyni bogatej rodziny notariuszy z Sussex, była ucieleśnieniem piękna.

Filip nie spuszczał z niej wzroku, gdy schodziła stopień po stopniu, zaledwie dotykając marmuru. Zatrzymała się w pobliżu salonu. Był to dla Filipa stosowny moment, aby się dyskretnie oddalić, ale wtedy właśnie zaskrzypiała szafa. Frances obróciła się zbyt szybko, młodzieniec znieruchomiał.

Frances spojrzała na Filipa wzrokiem, w którym pojawił się wyrzut. Ukryła przestraszcach i opanowała się.

— Jak to... chowasz się?

Filip nie był w stanie nic powiedzieć. Frances miała zastępować mu matkę, która trzy lata wcześniej zginęła w wypadku. Jakże jednak żądać od tak młodej kobiety wypełniania tej roli? Zawierając przed blisko dwoma laty nowy związek małżeński, profesor Mortimer nie bardzo przejmował się losem syna.

— To nie jest mądra zabawa, Filipie. Więcej tego nie rób.

Frances potrafiła również być wymagająca. To połączenie wdzięku i zdecydowanego charakteru było fascynujące.

— Twój ojciec nie zszedł jeszcze?

Młodzieniec odzyskał mowę.

— Nie wiem.

Urażony i zawstydzony, opuścił hall.

Frances po chwili zastanowienia zdecydowała się powrócić na pierwsze piętro. Profesor Mortimer był przecież bardziej dokładny niż zegarek. Być może coś się stało. W ostatnich dniach nie czuł się najlepiej. Weszła szybko po schodach, przeszła przez podest, na którym królowały dwa duże weneckie kandelabry ze złoconego brązu i przemierzyła prowadzący do gabinetu męża długi korytarz o ścianach obitych tkaniną.

Zapukała.

Nikt nie odpowiedział.

Zawahała się. Nie byłoby stosownie otworzyć drzwi bez zaproszenia. Lord Mortimer nie byłby zadowolony. Spróbowała jeszcze raz. Tym razem przytłumiony głos odpowiedział:

— Kto tam?

— To ja, Frances. Czy mogę wejść?

— Proszę.

Otworzyła masywne dębowe drzwi. Lord Mortimer siedział przy biurku tonącym w aktach. Rosły, wyniosły pięćdziesięciodwuletni arystokrata o srebrzystych włosach, potrafił posługiwać się swym nieodpartym urokiem i dociekliwą inteligencją, które uczyniły z niego wielką osobistość naukową o międzynarodowej sławie.

Frances rzadko wchodziła do gabinetu męża — prawdziwego muzeum egipskich starożytności, w którym zgromadzone były niektóre ze skarbów znalezionych przez lorda podczas wykopalisk. Część była darami, część zezwolono mu nabyć w uznaniu zasług dla Anglii. Wzdłuż ścian dużego pomieszczenia stały szafy, a w nich uszebti — magiczne figurki, które towarzyszyły zmarłemu w zaświatach, wykonując zamiast niego prace fizyczne; kolekcja amuletów, na których można było znaleźć śmiejące się małpki, groźne krokodyle, rozjuszony lwice; trzy maski mumii Ptolomeuszy o niepokojącym spojrzeniu; dwa rozwinięte papirusy; fragmenty kamiennych steli. Jedynym śladem nowoczesności była wieża hi-fi z magnetofonem, schowana za grubymi tomami poświęconymi sztuce i religii starożytnego Egiptu.

Frances nie lubiła tej dusznej atmosfery królestwa przeszłości. Tym razem nie zwróciła na nią uwagi, jako że stojąc jeszcze w progu, zauważyła coś dziwnego. Minęła już godzina dziewiętnasta, a lord Mortimer ubrany był nadal w zieloną satynową bonżurkę.

— Mój drogi... Czyżbyś zapomniał, że wychodzimy?

— Nie czuję się dobrze, Frances.

— Czy rozmawiałeś z doktorem Matthewsem?

— Tak, dzisiaj po południu. Radzi mi pozostać w domu przez kilka dni. Grypa...

Przez twarz Frances przemknął cień.

— Przykro mi... Tak bardzo cieszyłam się na to nasze wspólne wyjście. Nie zdarzyło się to od tak dawna. Zbyt dużo pracujesz, mój drogi.

— Mnie też jest przykro. Lecz ty nie odmawiaj sobie tej przyjemności. Przedstawienie będzie z pewnością wyjątkowe.

Cały Londyn wybierał się na nową inscenizację *Otella* w National Theatre. Najlepsze miejsca były wyprzedane już od trzech miesięcy. Pomimo rozlicznych znajomości Mortimerów i tak musieli zarezerwować miejsca z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

— Smutno iść samej — odpowiedziała. — Wolę zostać tutaj.

— Ale dlaczego? Zabierz Filipa. Dobrze mu zrobi trochę prawdziwej i wielkiej kultury. Szkoda byłoby stracić miejsca.

Lord Mortimer elegancko wytarł nos, po czym wypił zawartość szklanki, w której perliły się bąbelki aspiryny.

— To dobry pomysł, ale...

— Wiem, że masz wielką ochotę zobaczyć tę sztukę, Frances. A ponadto mam do ciebie prośbę.

Promyk radości ożywił twarz młodej kobiety. Lubiała czuć się potrzebna mężowi.

— Potrzebuję koniecznie pewnych akt. Ponieważ nie będę mógł wychodzić przez kilka dni, czy nie mogłabyś wpaść do British Museum po wyjściu z teatru?

Uśmiech znikł z twarzy Frances. Nie znosiła surowego i ponurego biura — laboratorium British Museum. Profesor wyjął z szuflady pęk kluczy, wstał i podał je Frances.

— Oto klucze, moja droga. Najmniejszy otwiera drzwi frontowe. Największy moje biuro. Akta są w czerwonej kartonowej teczce na pierwszej półce mojej szafy. Przepraszam cię za ten kłopot. Wybacz mi zawód, jaki ci sprawiam. Wkrótce będziemy mieli okazję wyjść razem, obiecuję.

Frances wzięła klucze i zbliżyła się do męża, aby go ucałować.

— Oj, to nieostrożne. Grypa. Możesz się zarazić.

Ujął ją ten dowód troski.

— Pójdę spać wcześniej — dodał. — Życzę ci wspaniałego wieczoru.



Barry, od dwudziestu lat pracujący jako szofer u Mortimerów, wyprowadził z garażu ciemnoczerwonego rolls-royce'a. Praca wieczorem był płatna podwójnie. Frances i Filip czekali już przy bramie. Ciężki, solidny samochód ruszył miękko, chrzęszcząc na żwirze alei. Nabrzmiałe deszczem chmury przesłaniały księżyc.

Przed rezydencją zatrzymała się taksówka, z której wysiadł młody człowiek z rozwierzonymi włosami, ubrany w nieco wymięty garnitur. Pod pachą trzymał grubą teczkę. Zapłacił za przejazd i nie czekając na resztę, długimi nerwowymi krokami zbliżył się i zatrzymał przed Frances, która właśnie zarzuciła na ramiona etolę z norek.

— Eliot? — zdziwiła się. — Jest pan umówiony z sir Johnem Arthurem?

— Nie, ale bezwzględnie muszę z nim porozmawiać.

Młodzieniec patrzył na Frances ze szczególną uwagą, jakby po raz pierwszy dostrzegł jej urodę.

— Mąż jest chory. Nie sądzę...

— Chodźmy, Frances — wtrącił się Filip, biorąc ją pod ramię. — Spóźnimy się.

Eliot Tumberfast nie zdążył odpowiedzieć. Frances i Filip usadowili się na tylnym siedzeniu rolls-royce'a. Barry, ponaglany przez Filipa, ruszył natychmiast i po chwili samochód zniknął z oczu Eliota. W świetle ulicznych lamp załśniły pierwsze krople deszczu.

— Czego pan sobie życzy, panie Tumberfast?

Na podjeździe rezydencji pojawiła się Agata Lillby, służąca Mortimerów. Była dość ładną około czterdziestoletnią kobietą o dużym uroku. Z włosami gładko zaczesanymi w kok starała się wyglądać jak skromna służąca, trudno jej było jednak ukryć ognisty temperament. Była całkowicie oddana pierwszej pani Mortimer i zazdrośnie dbała o wygodę sir Johna Arthura. Eliot Tumberfast, aby zyskać jej łaski oraz pokazać swe zdecydowanie, zamknął bramę i ruszył w stronę podjazdu.

— Przychodzę zobaczyć się z profesorem — powiedział z naciskiem.

— Nie, nic z tego. Lord Mortimer jest chory. Pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać.

Drobny deszcz rozpadał się na dobre. Urażony Eliot Tumberfast zagryzł wargi.

— To bardzo ważne tak dla mnie, jak i dla niego, Proszę mnie wpuścić.

— Polecenia lorda Mortimera nie dopuszczają żadnych wyjątków.

Agata wyglądała na nieprzejednaną. Nie podobało jej się zachowanie tego młodego człowieka, któremu się wydawało, że wszystko mu wolno. Dwa tygodnie wcześniej siłą wtargnął do gabinetu lorda, a burzliwa dyskusja, która się później wywiązała, trwała ponad dwie godziny, zanim został wyproszony. Tego wieczoru Agata nie dopuści, aby powtórzył się podobny skandal. Eliot Tumberfast musiałby chyba przejść po jej trupie.

— Uprzedzam panią, Agato — naciskał, podnosząc głos — że jestem zdecydowany na wszystko, aby zobaczyć się z moim zwierzchnikiem. Zatelefonuję do niego nawet w nocy, jeżeli będzie to konieczne. I zwrócę mu uwagę na pani niestosowne zachowanie. Proszę powiedzieć mu tylko, że znacznie posunąłem się w sprawie Imhotepa. Przyjmie mnie natychmiast.

Agata nie знаła owego Imhotepa i nie chciała nic o nim wiedzieć. Obawiała się jednak możliwych wyrzutów ze strony sir Johna Arthura, postanowiła się więc zabezpieczyć.

— Proszę tutaj na mnie poczekać.

— Niech się pani pospieszy. Zmoknę tu do suchej nitki.

Pomyślała, że to właśnie uspokoiłoby mu nerwy. Młody egiptolog czekał zaledwie kilka minut. Agata pojawiła się na podjeździe jeszcze bardziej oschła.

— Lord Mortimer przyjmie pana w swoim gabinecie. Proszę nie nadużywać jego gościnności. Zaprowadzę pana.

Obróciła się plecami do Eliota Tumberfaste, zdążyła jednak zauważyć błysk satysfakcji w jego spojrzeniu. Kiedy zbliżyli się do drzwi sir Johna Arthura, Agata zapukała.

— Oto pański gość.

— Proszę wejść. — Profesor, który oglądał jakiś amulet, obrócił się do swego asystenta z nie skrywaną niechęcią. — Cóż się znowu wydarzyło, Tumberfast?

— Bardzo ważne odkrycie, proszę pana — rzucił młodzieniec entuzjastycznie.

— Zaczynam mieć powyżej uszu pańskich niby-odkryć. Przeszkadza mi pan... Tumberfast.

Mężczyźni starli się wzrokiem.

— Pan życzy sobie herbaty... może napar z ziół... może... — zapytała Agata drżącym głosem.

Lord Mortimer machnął ręką, jakby odpędzał muchę. Pokojówka wyszła, zamykając drzwi. Ta nieoczekiwana wizyta była jej nie na rękę. Miała nadzieję, że profesor odmówi przyjęcia tego niezrównoważonego impertynenta i anarchisty.

Kiedy powróciła — niosąc tacę z dwiema porcelanowymi filiżankami i czajnikiem z herbatą, srebrnym, używanym od kilku pokoleń — odgłosy kłótni słyhać było aż w korytarzu. Weszła.

— Pracuje pan jak ostatni niechluj — oznajmił lord Mortimer. — Wydaje się panu, że jest pan nowym Champolionem, ale i tak pozostanie pan zerem.

Eliot Tumberfast zacisnął pięści. Agata uznała za stosowne włączyć się do rozmowy.

— Herbata, proszę pana.

— Proszę postawić gdziekolwiek i odejść! — zarządził zdenerwowany profesor.

— Zdaje mi się, że mam tę sama gripę co pan — powiedziała. — Źle się czuję. Czy pozwoli mi pan udać się na spoczynek? Pani ma własne klucze i...

— Dobranoc — sucho przeciął lord Mortimer. — Powróćmy do pańskiego ostatniego idiotyzmu, Tumberfast...

Agata wyszła, zamknęła drzwi gabinetu i przykleiła do nich ucho na dobre pięć minut. Usłyszała sporo wyzwisk trudno wyobrażalnych w ustach naukowców. No, ale Eliot Tumberfast był niepoprawnym, źle wychowanym indywiduum. Sir John Arthur wykazał wiele dobrej woli, zgadzając się na rozmowę. Tak jak ostatnim razem, będą walczyli do upadłego.

Agata, zamiast udać się na trzecie piętro, gdzie znajdował się jej pokój, zeszła w dół marmurowymi schodami. Przeszła przez pomieszczenie gospodarcze, gdzie włożyła zielono-śliwkowy, nieprzemakalny płaszcz. Tego wieczoru musiała wyjść. Była to sprawa honoru. Przejdzie małymi drzwiami na tyłach rezydencji, załatwi sprawę tak szybko, jak to możliwe, i powróci, nie robiąc hałasu. W padającym deszczu przemknie się jak cień.



W przerwie Frances Mortimer i Filip opuścili łożę sektora A teatru Lyttelton, jednej z sal National Theatre, w której wystawiano *Otella*.

— Napiłbym się czegoś — powiedział Filip.

— Nie mam nic przeciwko temu, ale najpierw muszę zadzwonić.

— Do kogo?

— Do twojego ojca. Wyglądał na zmęczonego. Obawiam się, czy wizyta Eliota Tumberfasta nie zepsuje mu wieczoru.

Aż taka troska wydała się Filipowi przesadna, ale towarzyszył Frances do telefonu.

— Mój drogi? Nie położyłeś się jeszcze?

— Nie mogłem. Przepraszam cię na chwilę.

Do uszu Frances doszły odgłosy burzliwej wymiany zdań.

— Frances?

— To nierozsądne — skarciła delikatnym głosem. — Powinieneś go wyprosić i odpuścić.

— Waży się program trzyletnich wykopalisk. To, czego się dowiaduję, jest szokujące. Przepraszam cię...

Sir John Arthur wytarł nos. Filip się niecierpliwił. Wydawało mu się, że ten „przerywnik” trwa zbyt długo. Spędzał wieczór z Frances, a nie z ojcem. Wskazującym palcem uderzał w zegarek, w taki sposób, aby Frances to zauważyła.

— Jak przedstawienie, dobre? — zapytał lord Mortimer.

— Wyśmienite. Tym bardziej żałuję, że cię tu nie ma. Pamiętam o tym, o co mnie prosiłeś.

— Wiem, że mogę na ciebie liczyć, Frances. Ponieważ nie zarażę cię grypą przez telefon, pozwalam sobie ucałować cię.

— Ja też cię całuję, kochanie. Do zobaczenia.

Zakłopotana, odwiesiła słuchawkę.

— Co się stało? — zapytał Filip.

— To, czego się spodziewałam. Kolejna kłótnia z asystentem.

— Zostaw tych starych nudziarzy, niech się nawet pozabijają. Mamy ciekawsze sprawy.

Frances spurpurowiała.

— Proszę, abys nigdy więcej nie wyrażał się w ten sposób. Filipie, w przeciwnym razie nie będę z tobą rozmawiać.



Kiedy wracali z teatru, rolls-royce Mortimerów utknął w korku.

— Zupełnie bez sensu ta sztuka Shakespeare'a — wściekał się Filip. — Otello jest durniem. Nie zabija się kobiety, którą się kocha.

— Ależ to Shakespeare... — zaoponowała Frances.

— No i cóż z tego! To żaden argument. Frances była jednocześnie oburzona i rozbawiona. Siadając, przezornie odsunęła się od młodzieńca. Samochód posuwał się z trudem po Waterloo Street i wjechał na Waterloo Bridge, przejeżdżając przez Tamizę. Skręcił w lewo w kierunku Mayfair.

— Nie wracamy jeszcze do domu, Barry — powiedziała Frances. — Muszę wpaść do British Museum. Mąż prosił o przywiezienie mu dokumentów.

Szofer przejechał przez Trafalgar Square i skręcił na północ, w kierunku Tottenham Court Road. Zastanawiał się nad najkrótszą drogą. Codziennie odwoził sir Johna Arthura do biura, znajdującego się w administracyjnej przybudówce przylegającej do British Museum.

— Czy zechciałbyś mi towarzyszyć, Filipie? Wiesz, jak nie lubię tego miejsca...

— O nie. Nie chcę nawet słyszeć o tym biurze.

— Popełniłeś małe głupstwo — powiedziała Frances uspokajającym tonem. — Nikt już o tym nie pamięta. Jakaż lekkomyślność, skraść małą rzeźbę egipską... Nie było żadnych szans, by zostało to nie zauważone. I do czegoż było ci to potrzebne?

— Kto może mieć pewność, że zna życie innego człowieka? Moja noga więcej nie poстане w tym przeklętym biurze.

— Nie o to cię proszę — zaprotestowała. — Solennie obiecałam twojemu ojcu, że zabronię ci tam wchodzić. Wystarczy, że zaczekasz na mnie na podeście schodów. Nie zajmie mi to wiele czasu.

Filip przysunął się do niej.

— Boisz się?

— Tak — przyznała szczerze. — Te sarkofagi, ci zmarli, którym zakłócono wieczny sen... to wszystko mnie niepokoi. Zwłaszcza od czasu zniknięcia tej mumii...

Frances zawsze była szczerą, nie ukrywała swoich słabości. Jej dusza była równie przejrzysta jak spojrzenie. Filip przesunął dłoń w kierunku jej dłoni. Zauważyła to i natychmiast odsunęła swoją.

— Pójdiesz ze mną, Filipie?

Nadaşany, zaszył się w swoim kącie. Rolls-royce skręcił w Great Russel Street, zbliżając się do celu.



Klucz zazgrzytał w zamku małych drzwi wychodzących na uliczkę, nad którą dominowało masywne domostwo Mortimerów. Niewyraźna postać, upewniwszy się, że nikt jej nie obserwuje, weszła na teren rezydencji i omijając żwirową aleję, posuwała się wzdłuż tylnej ściany domu. Agata Lillby bezszelestnie dotarła do pomieszczenia gospodarczego. Zdjęła płaszcz i przemoczone buty. Równie cicho wejście teraz marmurowymi schodami do swego pokoju.

Wzdrygnęła się na dźwięk podniesionych głosów. Tak jak przypuszczała, lord Mortimer i Eliot Tumberfast kontynuowali sprzeczkę. Odruchowo udała się w kierunku gabinetu. Chciała się upewnić, że nie wydarzyło się nic złego.

Nagle drzwi się otworzyły. Agata przywarła do ściany. Ujrzała plecy lorda Mortimera, który jakby chciał zagrozić drogę swemu gościowi.

— Nie ma mowy, aby pan teraz wyszedł, Tumberfast — powiedział. — Pańskie wyjaśnienia są niewystarczające. Po powrocie żony z British Museum będę miał dowód na to, że pan kłamie. Proszę usiąść.

Lord Mortimer wytarł nos i zatrzasnął drzwi. Agata, odzyskując oddech, przez dłuższą chwilę stała nieruchoma. W końcu poszła do swojego pokoju, gdzie powinna była już od dwóch godzin spać.



Ciemnoczerwony rolls-royce zatrzymał się przed trzypiętrowym betonowym budynkiem, w którym mieściły się działy administracyjne i gabinety samodzielnych pracowników naukowych British Museum.

— Zajmie mi to niewiele czasu — powiedziała Frances do szofera. — Pójdiesz ze mną, Filipie?

Młodzieniec był nadal nadąsany, udawał, że nie słyszy.

— Trudno. Pójdę sama. Widzę, że nie masz odwagi.

Frances sama otworzyła drzwi samochodu, wyprzedzając Barry'ego. Tego wieczoru pani Mortimer była zdenerwowana. Zaciskając klucze w prawej dłoni, skierowała się do drzwi podobnych do tych, które prowadzą do rezydencji brytyjskiego premiera na Downing Street. Deszcz padał coraz mocniej. Frances wsunęła klucz do zamka, gdy nagle tuż obok pojawiła się jakaś postać.

— Poczekaj, Frances!

Kobieta wzdrygnęła się. To był Filip.

— No, nareszcie — powiedziała.

Usiłowała uśmiechnąć się swobodnie, lecz Filip zauważył, że jest spięta i czuje się nieswojo. Spieszno jej było wykonać mało przyjemne zadanie. Drzwi otwierały się na korytarz, na którego ścianach wisiały tablice informacyjne. Weszli do wąskiego, słabo oświetlonego przejścia, skąd prowadziły schody na piętra. U ich podnóża znajdował się rodzaj dyżurki. Z czołem opartym na ostatnim wydaniu „Daily Telegraph” — między przepisową służbową czapką a termosem — strażnik J. J. Battiscombe spał beztróskim snem. Frances żał było go budzić, ale należało dopełnić formalności.

— Panie Battiscombe...

Żadnej reakcji. Emerytowany wojskowy wciąż jeszcze czuł nienasyconą potrzebę snu po zbyt wielu nocach spędzonych pod spadającymi bombami. Filip nie był tak delikatny. Potrząsnął strażnikiem, który otworzył przerażone oczy, poszukał czapki, włożył ją na głowę i machinalnie otworzył księgę rejestrów.

— Pani Mortimer...

Na widok Frances zapomniał o przestrachu. Przytomniejąc, na powrót stał się wzorowym urzędnikiem.

— Przepraszam... Zobowiązany jestem dopełnić formalności. Także pan...

— Filip jest synem lorda Mortimera — wyjaśniła Frances.

J.J. Battiscombe nie miał pamięci wzrokowej, a ponadto nie żywił szczególnej sympatii dla jedynaka, który nie szedł śladami ojca. Zapisał godzinę: 23.31, i podał gościom księgę oraz pióro.

— Lord Mortimer znowu czegoś zapomniał?

— Nie — odparła Frances. — Jest chory. Nie przyjdzie do biura przez kilka dni, a potrzebne mu są pewne dokumenty.

Po raz drugi w przeciągu miesiąca Frances Mortimer zjawiła się w administracyjnej części British Museum. Poprzednio przysłała zabrać notatki na jakąś konferencję — lord Mortimer, zatrzymany na seminarium, zmuszony był prosić ją o tę przysługę.

— Nie będzie pani sama na pierwszym piętrze, pani Mortimer. Jest tam ekipa sprzętaczek. Hinduski. Nie ma chętnych Anglików, nawet w Whitechapel, toteż zmuszeni jesteśmy zatrudniać byle kogo.

Frances nie zwróciła uwagi na zdegowana minę J.J. Battiscombe'a.

— Pójdiesz ze mną? — zapytała Filipa.

Młodzieniec niechętnie wchodził po schodach. Tani chodnik, ściany pomalowane na beżowo, atmosfera zamknięcia, tak dotkliwa, że aż duszna... wszystko to rozplynęło się w jednej sekundzie, gdy spojrzał na biodra Frances poruszającej się z niepowtarzalnym wdziękiem. Próbował zrównać się z nią krokiem, otrzeć się o nią, ale się spóźnił. Była już na podeście pierwszego piętra, oświetlonego zimnym światłem jarzeniówek.

Biuro lorda Mortimera, poprzedzone niszą, mieściło się po prawej stronie, zaraz za pracownią specjalistów od numizmatyki. Przechowywano w niej wielkiej wartości zbiór hellenistycznych monet, który niedawno odkryto w Egipcie. Naprzeciw był pokój Eliota Tumberfasta, asystenta profesora. Zabezpieczone kratami szafy zawierały ciężkie tomiska, słowniki, roczniki specjalistycznych czasopism, archiwa.

Z pierwszej niszy wyłoniła się nagle jakaś kobieta, Hinduska. W prawej ręce niosła wiadro, w lewej szmatę. Przestraszyła się na widok Frances. Woda chlusnęła z wiadra na podłogę, a kobieta pochyliła się natychmiast, rzucając szmatę, jakby chciała coś ukryć.

— Pospieszmy się — ponaglił Filip.

Miał nadzieję, że pierwsze piętro będzie mniej oświetlone. Z powodu tych Hindusów pracujących o przedziwnych godzinach nie uda mu się spędzić z Frances kilku chwil we dwoje.

Frances weszła do niszy wypełnionej stosami skrzyń i otworzyła drzwi. Filip pozostał w korytarzu, patrząc roztargnionym wzrokiem na Hinduskę, kontynuującą sprzątanie przed gabinetem numizmatycznym. Miała na nogach pantofle i poruszała się niemal bezszelestnie.

Frances zapaliła światło. W pierwszej części dużego pomieszczenia laboratoryjnego stały oparte o ścianę dwa sarkofagi. Nie mogła znieść tego widoku. Ruszyła dalej prosto i przeszła przez właściwe laboratorium, ze stołami i ustawionymi na półkach chemikaliami. W trzeciej części pomieszczenia mieściło się biuro sir Johna Arthura Mortimera. To tutaj właśnie wielki brytyjski egiptolog przyjmował najlepszych dyplomantów, tych, których wybierał do kariery naukowej; tutaj też opracowywał obiekty odkryte podczas prac wykopaliskowych fundacji badawczej, której był dyrektorem. Miał tu swoje akta przydatne w ekspertyzach i dokumentację naukową. Szafa, w której przechowywał papiery, stała w rogu. Frances otworzyła ją, szukając wzrokiem czerwonej kartonowej teczki na pierwszej półce. Nie dostrzegła jej. Uniosła jakieś akta, po czym przejrzała drugą półkę i w końcu znalazła to, czego szukała. Pochłonięta swym zadaniem, nie usłyszała cichego szmeru — odgłosu zamykanych drzwi i przekręcania klucza w zamku.

W chwili, gdy wyjmowała teczkę, odniosła niemiłe wrażenie czyjejś obecności za swymi plecami. Odwróciła się nieufnie i zamarła z przerażenia. Nie była w stanie krzyknąć.

Padły dwa strzały.

Rozdział II

W głuchej ciszy przybudówki British Museum strzały zabrzmiały jak gromy. Strażnik, który nie zdążył jeszcze ponownie pograć się we śnie, poderwał się na równe nogi. Ten dźwięk przypominał mu najgorsze wojenne przeżycia. J.J. Battiscombe wyskoczył z dyżurki.

Zbiegający pędem ze schodów potężny mężczyzna wpadł na niego z całym impetem. Twarz miał zakrytą szalikiem odsłaniającym jedynie ciemne czoło. Dźwigał jakiś ciężki przedmiot, wydający metaliczne dźwięki. Oszołomiony J.J. Battiscombe nie zauważył niczego poza pospolitym sztruksowym ubraniem. Mężczyzna chlusnął na strażnika wodą z wiadra, otworzył drzwi i uciekł.

— Ratunku! Otwierać, na pomoc!

Krzyki dochodziły z pierwszego piętra. Stary żołnierz niepewnym krokiem wszedł na schody.

Filip Mortimer jak szalony walił pięściami w drzwi gabinetu ojca, krzyząc: „Frances! Frances!” Gdy zauważył strażnika, podbiegł do niego i złapał go za rękaw.

— Czy ma pan klucz? Ktoś tam strzelał, a drzwi są zamknięte! Słyszałem, jak ktoś upadł... Frances nie odpowiada!

— Klucz, ja, nie... jest w szafce.

— Niech go pan natychmiast przyniesie!

Z drugiego piętra zeszły dwie hinduskie sprzątaczkę. J.J. Battiscombe podbiegł do szafki z kluczami, zawieszanej na ścianie między gabinetem numizmatycznym a pokojem lorda Mortimera. Zdjął kłódkę i trzęsącą się ręką wziął klucz od gabinetu profesora.

— Niech się pan pospieszy — ponaglał Filip.

Po drugiej stronie drzwi panowała złowieszcza cisza. Sprzątaczkę mamrotały coś w języku hindi.

Strażnik przekręcił klucz. W pokoju było ciemno, w powietrzu unosił się zapach prochu. Może dlatego, że w pobliżu wejścia stały oparte o ścianę dwa sarkofagi, miejsce to sprawiało wrażenie grobowca, w którym zadomowiły się nieczyste siły.

Filip Mortimer na ułamek sekundy znieruchomiał w progu, po czym wszedł, poszukiwał kontaktu i zapalił światło. W pierwszej chwili nie zauważył niczego szczególnego. Przeszedł do laboratorium i stanął jak wrośnięty w ziemię.

To, co zobaczył, przypominało senny koszmar. Chciał krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Na ciele Frances leżała częściowo rozbandażowana mumia z rozwaloną głową. Ręka młodej kobiety była nienaturalnie wygięta. Z dwóch ran w okolicy serca wypływały strużki krwi. W szeroko otwartych oczach zastygł wyraz nieopisanego przerażenia.

Za Filipem Mortimerem wszedł strażnik wraz z trzema kobietami. J.J. Battiscombe zasłonił twarz, mamrocząc: „Boże mój, Boże”. Hinduski płakały, tuląc się do siebie. Filip stał skamieniały. Sprawiał wrażenie, że modli się, że oddaje cześć Frances, że próbuje przywołać ją z otchłani nicości.

Pierwszy ocknął się J.J. Battiscombe.

— Wezwę Scotland Yard — oznajmił.



W kwadrans później na miejsce zbrodni przybył nadinspektor Scott Marlow. Towarzyszyło mu dwóch inspektorów i kilku policjantów. W drodze był lekarz sądowy oraz ekipa fotografów.

— Ponura sprawa — ocenił Marlow, którego szybka interwencja nie była przypadkowa. Praktycznie dzień i noc przebywał w biurach Scotland Yardu. Powiadomiony przez strażnika, natychmiast zareagował na nazwisko sir Johna Arthura Mortimera, uczonego światowej sławy.

Nadinspektor poprosił wszystkich o nie opuszczanie budynku, inspektorzy zajęli się ustaleniem danych osobowych i pierwszymi przesłuchaniami.

Marlow, tęgi pięćdziesięcioletni mężczyzna, nie był w stanie oderwać oczu od niesamowitego obrazu, najdziwniejszego w jego policyjnej karierze. Makabryczny widok mógł sugerować, że zbrodni dokonała mumia, z którą Frances Mortimer walczyła do ostatniej chwili.

— Przyjechał ambulans — powiedział jeden z inspektorów.

— Świetnie. Jak tylko fotografowie i lekarz skończą, proszę zabrać ciało i mumię. Proszę zamknąć pokój. Niczego nie dotykać. Wszyscy świadkowie muszą pozostać do dyspozycji policji.

Marlow rozluźnił pasek spodni, co było u niego oznaką zakłopotania. Zabójstwo w British Museum, zamożna i wpływowa rodzina, syn Mortimera przerażony w stopniu uniemożliwiającym rozmowę, oniemiały strażnik, hinduskie sprzątaczkę przejęte i wystraszone, szofer, który widział uciekającego mężczyznę z wiadrem w rękę i po-

twierdzący zeznanie J.J. Battiscombe'a, który został popchnięty i oblany wodą... nadinspektor miał już jakiś ślad. Śledztwo dotyczące powszechnie znanej i liczącej się rodziny było sprawą wyjątkowo delikatną, w żadnym przypadku nie można pozwolić sobie na jakiś fałszywy krok. Marlow postanowił osobiście przekazać sir Johnowi Arthurowi Mortimerowi wiadomość o tragicznym wydarzeniu.

Pograżony w myślach, nie poczuł nawet padającego deszczu, gdy przechodził przez ulicę i wsiadał do policyjnego samochodu, który ruszył w kierunku Mayfair.



Dźwięk dzwonka piąty już raz tego wieczoru rozległ się w rezydencji Mortimerów. Przebudził Agatę z koszmarnego snu, w którym usiłowała wydostać się z zamkniętego po obu stronach korytarza. Pospiesznie narzuciła szlafrok. Nie miała nawet czasu upiąć włosów. Budzik wskazywał dwunastą dziesięć. Zbiegła po schodach. Lord Mortimer stał w progu gabinetu.

— Niech Agata zobaczy, co tam się dzieje. Prawdopodobnie pani zapomniała kluczy.

Dzwonek zadzwieczał ponownie. Pokojówka zeszła na dół i wróciła po krótkiej chwili. Gabinet lorda Mortimera tonął w stosach teczek, książek i notatek. Twarz Eliota Tumberfasta była przeraźliwie blada. Profesor kończył właśnie udowadniać mu, że popełnił kolejny błąd.

— Proszę pana — odezwała się Agata — to nie pani. To... jakiś policjant.

Uczony zmarszczył brwi.

— Czego sobie życzysz?

— Zobaczyć się z panem... osobiście.

— Niech przyjdzie jutro. Pan Tumberfast zupełnie mnie zamęczył. Która to godzina... — popatrzył na zegarek. — Boże! Po dwunastej! Na dzisiaj mam już dość kretynów!

Eliot Tumberfast, poruszony do żywego, nastroszył się jak kogut.

— Wypraszam sobie...

— Tumberfast, po raz kolejny zabraniam panu podnosić głos. Dziś wieczór, młody przyjacielu, przekreślił pan swoją karierę. Pozwoli pan, że sobie tego pogratuluję. Nauka została szczęśliwie pozbawiona jeszcze jednego pomyleńca. Niech mi pan wierzy, mój raport w pańskiej sprawie będzie szczegółowy. Mam wystarczająco dużo argumentów, aby usunąć pana z British Museum. A teraz proszę wyjść.

Agata nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Eliot Tumberfast zebrał swe papiery z taką wściekłością, że upadło mu kilka kartek. Zbierając, zmiął je.

— Nie odprowadzam pana.

Młodzieniec wypadł z gabinetu jak huragan i zbiegł po marmurowych schodach. Agata schodziła jego śladem. Widziała, jak Eliot otwiera drzwi i popycha grubego policjanta, któremu kazała zostać na podjeździe w oczekiwaniu na polecenia sir Johna Arthura.

Nadinspektor Marlow zatoczył się, wykonując półobrót, podczas gdy Eliot Tumberfast znikł w deszczowej nocy.

— Pan nie może... — zaczęła Agata.

— Pan bezwzględnie musi mnie przyjąć — odparł zirytowany. — Mam dla niego bardzo ważną wiadomość.

Był to już drugi nieoczekiwany gość, który chciał ją w podobny sposób szantażować. Tym razem nie ustąpi. Nie będzie jakiś policjant rządził się w domu, którego prowadzenie powierzono jej.

— Lord Mortimer ma grypę. Właśnie zakończył czterogodziną dyskusję z tym szaleńcem, który pana popchnął. Powinien iść spać.

— Przykro mi niezmiernie, lecz wiadomość, którą mam dla niego, z pewnością nie pozwoli mu zasnąć — przeciął Marlow, tracąc cierpliwość. — Proszę mnie natychmiast do niego zaprowadzić. Chyba że zdecydowana jest pani przeciwstawiać się Scotland Yardowi.

Agata uznała, że walczyła wystarczająco długo. Jej honor był uratowany.

— Proszę za mną, inspektorze.

— Nadinspektorze.

Marlowowi nie spodobała się ta kobieta. Była zbyt pewna siebie. Kiedy wprowadziła go do gabinetu, nie czekał, by go zapowiedziała. W takich sytuacjach należało działać szybko i zdecydowanie. To nie był czas na wymianę uprzejmości. Wyraźnie zmęczony profesor rozpuszczał w szklance kolejną aspirynę.

— Sir Mortimer — zaczął policjant ceremonialnie — jestem zmuszony przekazać panu bardzo złą wiadomość.

Uczony podniósł na niego zaniepokojony wzrok.

— Włamano się do British Museum?

— Nie, sir. Pańska żona... odwagi, panie profesorze...

John Arthur Mortimer podniósł się powoli. Nagle zdał sobie sprawę z późnej godziny i nieobecności Frances i syna.

— Frances? Wypadek?

— Nie, sir. Zabójstwo.

Widząc przejmujący ból rysujący się na twarzy słynnego egiptologa, nadinspektor pomyślał, że uderzenie było zbyt mocne. Czuł, że zachował się niezręcznie.

Sprawa ta będzie wymagać wielkiej delikatności i ostrożności. Prawdopodobnie trzeba będzie zatrudnić przy niej eksperta. I zapewne będzie to Higgins.

Rozdział III

Higgins — ostatni potomek wybitnej rodziny, mało, niestety, znanej, choć mogło z niej być dumne Zjednoczone Królestwo łącznie z resztą świata — powrócił do domu po porannym spacerze. Siedziba rodu Higginsów mieściła się na północ od Londynu, w hrabstwie Gloucestershire, w małej wiosce o wyszukanej nazwie „The Slaughterers”, co w przypadku emerytowanego głównego inspektora Scotland Yardu mogłoby wydawać się niestosowne. Jednakże w tym uroczym miejscu od dawna już nie mieszkali żadni zabójcy.

Higgins odszedł na wcześniejszą emeryturę z ważkich powodów: weekendy nie wystarczały mu już na prace związane z przycinaniem róż, rąbaniem drzew i pielęgnowaniem trawnika oraz na czytanie dzieł wybitnych autorów. Nie odpowiadało mu już nowoczesne życie z nadmierną ilością bodźców. Nie wierzył też zbyt w reinkarnację, postanowił więc delektować się czasem, który mu pozostał, spędzając go na ziemi przodków.

Przeszedł przez drewniany mostek nad strumykiem Eye. Jego rezydencja była bez wątpienia najpiękniejszym okazem architektury w Dolnym Slaughter. Jakże się oprzeć urokowi muru z białego kamienia, ganku podpartego dwiema kolumnami, XVIII-wiecznych okien o małych kwadratowych szybkach wyznaczających rytm dwóch pięter według zasady złotego podziału, dachu krytego ciemnoszarym połyskliwym łupkiem, wysokich kamiennych kominów? Jakże nie delektować się uspokajającą obecnością stuletnich dębów, dyskretnym szemraniem strumyka, sprzeczkami srok i rudzików, szelestem opadających liści, tańczących na wietrze? Dla Higginsa The Slaughterers to był po prostu raj.

Wszedł bezszelestnie, aby nie zauważyła go gospodyni Mary, postawna kobieta lat siedemdziesięciu. Nie było jej w salonie.

Higgins — średniego wzrostu, raczej krępy, o ciemnych włosach, posiwiałych skroniach i szpakowatych wąsach, dobrotliwy, o lekko złośliwym a zarazem dociekliwym spojrzeniu — sprawiał wrażenie człowieka powolnego i trochę ociężałego, ale poruszał się bezgłośnie. Według astrologii chińskiej urodzony pod znakiem kota, posiadał kocie zalety, aczkolwiek pozbawiony był właściwych tym zwierzętom wad.

Zdjął trencz zapinany na drewniane guziki i usiadł w rodowym fotelu, który cicho skrzypnął pod jego ciężarem. Ostatnie wydanie „Timesa” leżało tuż obok, na niskim stoliku z drzewa sandałowego. Pamiątka z Indii. Wziął gazetę. Zdenerwował się, widząc, że brak na niej opaski — Mary kolejny raz przeczytała „Timesa” jako pierwsza, a następnie ponownie go złożyła, myśląc, że Higgins tego nie zauważy. A przecież to nie ona, ale on był abonentem. Płacił, by być pierwszym odbiorcą wiadomości.

Przejrzał „Timesa”, jedyne źródło informacji, z jakiego korzystał. Nie darzył zaufaniem tego wszystkiego, co nazywano mediami audiowizualnymi. Wojny, nic nie wnoszące spotkania dyplomatów, kryzys gospodarczy, przegrana Anglii w meczu piłki nożnej, spadek giełdowych cen kakao... nic dobrego.

Wielka afera, która tydzień wcześniej poruszyła cały kraj, nie schodziła z pierwszych stron. Zabójstwo Frances Mortimer przedstawiano jako najbardziej tajemnicze morderstwo stulecia. W związku z tym, że na zwłokach leżała zbeczeszczona mumia, rozważano ewentualność mordu rytualnego. Mówiło się znowu o zemście faraonów, wymieniano liczne ofiary przekleństwa Tutenchamona. Zawód profesora sir Johna Artura Mortimera, znanego egiptologa, nie mógł tu być, oczywiście, bez znaczenia. Podkreślano też niezwykłą urodę pani Mortimer. Jakaż zwyrodniała myśl mogła zrodzić aż takie okrucieństwo? Na szczęście Scotland Yard był już na tropie przestępcy. Nadinspektor Scott Marlow zapowiedział na jutro konferencję prasową. Zatrzymanie sprawcy miało być kwestią godzin. Higgins złożył „Timesa”, lekko oburzony. Nie szanowano niczego. Nawet mumie nie miały prawa do wiecznego spoczynku.

Trochę egoistycznie — choć sobie tego nie wyrzucał — Higgins delectował się przytulną ciszą swego domu, miękkością perskiego dywan, ciepłem boazerii, światłem płomieni tańczących w kamiennym kominku. Niczego nie lubił tak jak deszczu i mgły, które skłaniały, by szukać schronienia w czterech ścianach i cieszyć się własnym światem.

O dziewiątej siedemnaście, jak każdego ranka, w salonie pojawiła się Mary, niosąc tacę z serwisem do herbaty. Była to jej godzina. Zawsze odmawiała podporządkowania się dźwiękowi dzwonka, oceniając to jako poniżające. Gospodyni to nie służąca. Mrucząc pod nosem, napełniła filiżankę i postawiła ją na stoliku, po czym wróciła do kuchni.

Przy swych siedemdziesięciu latach Mary zachowała jeszcze całkowitą sprawność. Przeżyła obie wojny ze stoicyzmem prawdziwej angielskiej gospodyni. Nieustannie narzekając i burcząc, trzymała wszystko w ryzach i przechodziła przez życie z niewzruszoną pewnością siebie, właściwą ludziom wierzącym w Boga i Anglię. Zdaniem Higginsa nie darzyła sympatią policyjnego stanu, lecz niezręcznie byłoby poruszać z nią ten temat.

Ostrożnie wypił łyk herbaty. Napój tym razem przyrządzony był prawie dobrze. Niekiedy Mary używała do gotowania wody z kranu, aby nie chodzić do studni. A tylko

woda ze studni dawała herbacie znośny smak. Znośny dla Higginsa, który nigdy nie odważył się przyznać, że tak naprawdę nie cierpi herbaty. Jak dotąd nikt się jeszcze tego nie domyślił.

Wyciągając szyję, sprawdził, czy Mary nie kręci się w pobliżu. Pewnym i precyzyjnym ruchem wylał zawartość filiżanki do doniczki z geranium. Nie znosił tej rośliny i nie rozumiał, dlaczego gospodyni poświęca jej tyle uwagi.

Po chwili udał się do swej prywatnej kuchni, urządzonej w prawym skrzydle domu. Nigdy nie wchodził niespodziewanie do tej, w której królowała Mary, ona zresztą odwzajemniała się tym samym. W piekarniku dopiekał się łosoś w cieście — kulinarna specjalność Higginsa. Delikatny dźwięk dzwonka powiadomił, że potrawa jest już gotowa. Higgins wyłączył gaz, otworzył szklane drzwiczki i wyłożył smakowity kawałek na talerz z prawdziwej porcelany z Limoges. Do kuchni godnie wszedł wspaniała syjamczyk o chwalebny imieniu Trafalgar. Po dwukrotnym otarciu się o łydki swego pana i niewolnika, z apetytem zabrał się do jedzenia. Higgins odetchnął z ulgą. Obawiał się, że nowy przepis nie znajdzie uznania u Trafalgara, jedynej istoty, do której miał niejakie zaufanie.

Nadszedł czas przyrzeć się Marie-Charlotte, nowej odmianie australijskiej róży, którą Higgins planował skrzyżować z klasyczną odmianą Królowej Wiktorii.

Miał nadzieję, że uzyska w ten sposób niespotykany żółty kolor. Wychodząc z kuchni, zauważył Mary z miotłką z piór w ręce.

— Telefon — mruknęła.

Higgins opierał się natrętnej inwazji telefonu, telewizji, magnetofonu i innych urządzeń, mniej lub bardziej przeznaczonych do zakłócenia domowego spokoju, Mary zaś wytrwale zwalczała tę zacofaną postawę. Osiągnięto kompromis — rezydencja została połączona z resztą świata za pomocą telefonu, ale aparat zainstalowano w kuchni gospodyni.

— Do mnie?

Mary nie odpowiedziała. Jeżeli uprzejmie poinformowała Higginsa, to czyż nie było oczywiste, że telefon był właśnie do niego? W takim przypadku miał prawo wejść do jej królestwa. Przechodząc, rzucił okiem na używane przez nią produkty. Sól była zawsze morska, pieprz zielony. Wołowina gotowana w mięcie wyglądała bardzo niepokojąco. Podniósł słuchawkę.

— Higgins, słucham.

— Tutaj Scott Marlow. Nie przeszkadzam?

— Gratuluję sukcesów w prowadzonym dochodzeniu, nadinspektorze.

Zapadła chwila ciszy.

— Czy zgodzi się pan wpaść na herbatę do Scotland Yardu, drogi Higginsie?

Emerytowany główny inspektor lewą ręką podkręcił wąża.

— Rozważę to.

— Czy mógłby pan rozważyć to dzisiejszego popołudnia?

Rozdział IV

Higgins w dwurzędowym granatowym garniturze, który leżał jak ulał dzięki kunsztowi jego osobistego krawca z atelier „Stovel & Mason”, wchodził schodami wiodącymi do biura nadinspektora Scotta Marlowa. Nigdy nie korzystał z windy w tym nowoczesnym budynku Scotland Yardu. Zawsze mogła się zdarzyć jakaś awaria lub przerwa w dostawie prądu.

Biuro Marlowa znajdowało się na czwartym piętrze. Scotland Yard bardzo się zmienił. Nic tylko komputery, pliki, oprogramowania, twarde dyski, kasety wideo, ekspertyzy! Można się spodziewać, że wkrótce nawet przestępstwa będą zaprogramowane, zanim się je popełni. Policja Jej Królewskiej Mości wkraczała w erę technologiczną zarezerwowaną dla inspektorów z licznymi dyplomami, bez wątpienia lepiej przygotowanych do rozwiązywania skomplikowanych równań niż do tropienia zbrodni. Higgins zdecydował raz na zawsze, że nie będzie starał się zrozumieć postępu, ponieważ postęp nie stara się zrozumieć człowieka. Ponadto w tej dziedzinie było już wystarczająco dużo specjalistów.

Wielu policjantów rozpoznało znajomą sylwetkę. Pozdrawiali go skinieniem głowy.

Biuro nadinspektora Marlowa było podobne do pozostałych. Nowoczesne meble, lampa na giętym pałaku, popielniczka z pomarańczowego plastyku, szklane przepięrzenie oddzielające zwierzchnika od podwładnych. Na płycie z dymnego szkła służącej jako stół do pracy — dyskietka. Żadnych papierów, gumki czy bibuły. Świat nowoczesnej policji. Scott Marlow, spostrzegłszy Higginsa, jakby zagubionego w tych nowych dekoracjach, wyszedł mu naprzeciw.

— Dziękuję, że pan przyszedł.

— Przepraszam za spóźnienie na herbatę.

— To bez znaczenia.

Marlow byłby wysoce zakłopotany, gdyby musiał zaproponować Higginsowi filiżankę „Darjeelinga” lub „Earl Greya”. Jego termos zawierał jedynie szkocką whisky pośredniej jakości, co zresztą pozyskało mu w Yardzie dyskretny przydomek „Podwójny Scott”. Nadinspektor nie był pijakiem. Nigdy nie pił rano, świadom, że taki zwyczaj ruj-

nuje zdrowie, natomiast tradycyjna godzina „tea time” wydawała mu się odpowiednia do łyknięcia niezbędnego wzmacniacza. Higgins świadomie zjawił się już po tym czasie.

Higgins i Scott Marlow nie należeli do tego samego towarzystwa, niemniej szanowali się wzajemnie. Higgins cenił logiczne myślenie i skrupulatność nadinspektora, Marlow zaś uważał, że Higgins — którego ambicje wydawały mu się zdecydowanie zaniżone — jest niezrównanym śledczym. Mimo wysokiego stanowiska nadinspektora, o wiele wyższego w hierarchii od stopnia Higginsa, Marlow cierpiał na kompleks niższości.

— Drogi Higgins, mam dla pana niespodziankę. Zanim pan siądzie, czy mógłby pan spojrzeć w lewo, ponad rzędem roczników?

Po drugiej stronie szyby Higgins dostrzegł wewnątrz wzbudzające zaufanie — normalne miejsce pracy z biblioteką, szafą z drewna i marmurową lampą z „cywilizowanym abażurem”, stojącą na czereśniowym biurku.

— Świetny pomysł z tym zachowaniem śladu tradycji, która przyczyniła się do chwały Yardu. Historia będzie panu wdzięczna, nadinspektorze. Zawsze miałem sentyment do mojego starego biurka. Nie chciałbym jednak zabierać panu zbyt wiele czasu. Ta konferencja prasowa...

— Rzeczywiście jestem bardzo zajęty. Kupa papierów, mnóstwo obowiązków, a do tego jeszcze ta sprawa Mortimerów...

— Myśli pan wkrótce zatrzymać zabójcę?

— To sprawa godzin.

— Z przyjemnością stwierdzam, że Scotland Yard nie stracił swej legendarnej skuteczności działania. Mam nadzieję, że zeznania Barry’ego, szofera Mortimerów, i J.J. Battiscombe’a, nocnego stróża, były decydujące?

Higgins znał sprawę jedynie z „Timesa”, nie licząc plotek i przedziwnych hipotez publikowanych w popularnym brukowcu, czytowanym przez Mary. Higgins pozwalał sobie na pobieżną lekturę tego rodzaju pism, gdy Mary kładła się spać.

— Tak jest. Obserwacja i logika. Jedna z hinduskich sprzątaczek, Indira Li, nie oddała swego wiadra przełożonej. Nie potrafiła też wyjaśnić, co się z nim stało. A przecież mężczyzna, który zderzył się ze strażnikiem i którego widział szofer, dźwigał wiadro.

— Stąd pańskie przypuszczenia...

— Zrozumiałem to wtedy, kiedy numizmatycy stwierdzili kradzież rzadkiego zbioru helleńskich monet. Skarb ukryto w wiadrze. Badając przeszłość Indiry Li, łatwo stwierdzić, że zatrudniona była kolejno w dwóch prowincjonalnych muzeach, do których włamano się zeszłego roku.

— Myśli pan o gangu antykwariuszy... Scott Marlow nie krył zadowolenia.

— No właśnie! To ten gang ogołocił ponad pięćdziesiąt domów. Pokazałem fotografię Indiry ofiarom kradzieży. Wielu ją rozpoznało. Służąca, opiekunka dzieci, li-

stonoszka, robotnica rolna, i co tam jeszcze... nasza Hinduska miała dar metamorfozy. Przygotowywała teren swemu szefowi. Zabierając się do British Museum, mieli nadzieję dokonać największego skoku w swojej karierze. Do pełnego obrazu brakuje tylko jednego jeszcze szczegółu: nazwiska zbiegłego mężczyzny. Indira odmawia zeznań, ale to tylko sprawa czasu.

— Cierpliwości nigdy za wiele — zauważył Higgins. — A propos, czy odnaleziono klucz, którym pani Mortimer otworzyła drzwi gabinetu męża?

— Nie. Nie było go przy niej. Przeszukaliśmy wszystko, bez skutku. Wołałbym zresztą znaleźć narzędzie zbrodni.

— Trzeba by niewątpliwie przeszukiwać Tamizę przez wiele lat.

— Też tak mi się wydaje — przyznał nadinspektor.

— A kule?

— Zwyczajne. Dwie w samym sercu. Celne strzały.

— Czyli, w konsekwencji, żadnej nadziei z tej strony. A sekcja?

— Nie wniosła nic szczególnego. Pani Mortimer niczego specjalnego nie zażyła.

— A w sprawie bardziej delikatnej...

— Żadnych śladów stosunku w godzinach poprzedzających śmierć — odpowiedział Marlow.

— W sprawie pani Mortimer za mało było konkretnych elementów i materialnych dowodów pozwalających na logiczne wnioski. Była też mumia, ale cóż można było wydedukować z podobnej wskazówki? To jedynie nieprawdopodobny detal, godny takiego horroru.

Lepiej było o tym nie mówić.

— A gdybyśmy porozmawiali o mumii? — rzucił cicho Higgins z podejrzanym wyrazem twarzy.

— Okropna. Poszarpana tak, jakby ktoś czegoś w niej szukał. To smutne stwierdzenie, ale wolę już zwłoki pani Mortimer.

Uroda Frances nie wywierała żadnego wrażenia na Scotcie Marlowie. Jediną znajdującą uznanie w jego oczach kobietą była królowa Anglii — Elżbieta II. To dla niej wstąpił do policji i systematycznie piął się w górę. Może któregoś dnia dostąpi zaszczytu odpowiedzialności za Jej bezpieczeństwo w Pałacu Buckingham.

— Jest jeden ważny element, który na razie nie wyszedł poza akta tej sprawy — wyjawiał Marlow. — Jak zwykle poddałem badaniu przedmioty osobistego użytku świadków. Mam już dowód, że kradzież została przygotowana wcześniej.

— Ach tak? — zdziwił się Higgins, podczas gdy nadinspektor zamilkł dla większego efektu.

— Termos nocnego stróża zawierał herbatę z narkotykiem.

Nadinspektor dobrze wiedział, że termos może zawierać różne napoje, niemniej Higgins docenił jego pedantyczność. Ten szczegół był rzeczywiście bardzo istotny.

— Znaleźliśmy ślady lekkiego środka nasennego — ciągnął Marlow. — J.J. Battiscombe twierdzi, że nigdy czegoś takiego nie zażywał. Tak więc uspio go, co zresztą potwierdza zeznanie syna Mortimera. — Jeżeli... można to nazwać zeznaniem.

— Dlaczego?

— Filip Mortimer nie wychodzi ze swojego pokoju. Jest załamany, w stanie szoku. Wyraża się nieskładnie.

— Wygodne to, kiedy trzeba odpowiedzieć na pytania — wtrącił Higgins.

Nadinspektor zmarszczył brwi.

— Drogi Higgins, odnoszę wrażenie, że nie wszystko wydaje się panu jasne w mojej interpretacji zdarzeń.

— Wnioskując z tego, co wiem, nadinspektorze, rzeczywiście zauważyłem pewne niejasności.

— Zgadzam się, ale nie ma w tym nic dziwnego. Po tym gangu wszystkiego można się spodziewać. Jak tylko złapiemy złodzieja, będziemy mieć także zabójcę.

— Dziwne — powiedział Higgins, drapiąc się w brodę.

— Co takiego? — zaniepokoił się Marlow.

— Coś mi tu nie pasuje. — Higgins wyglądał na zakłopotanego.

— Proszę wyjaśnić, drogi panie Higgins.

— Dlaczego złodzieje mieliby kraść mumię i organizować podobną maskaradę? I po cóżby zabijali panią Mortimer?

— Może... nie udało im się sprzedać mumii. A pani Mortimer zaskoczyła ich, gdy...

— Drzwi gabinetu były zamknięte na klucz. Sprzątaczkę, Filip Mortimer i strażnik nikogo nie widzieli, gdy weszli do środka. Nasuwa się pytanie, czy to nie mumia...

— Ależ nie, nie pan, Higgins!

Przez cały ubiegły tydzień na pierwszych stronach popularnych dzienników zobaczyć można było tytuły w stylu: „Mumia mordercą”. Dziennikarze dawali upust fantazji, wysuwając najbardziej nieprawdopodobne hipotezy — od klątwy faraonów po zmarłych twychwałego pod bandażami Kubę Rozpruwacza.

— Nie można lekceważyć żadnej hipotezy, nadinspektorze.

Marlow pobrał z przejęcia.

— Higgins, pan coś ukrywa!

— Zastanawiam się. Pomijając obecność mumii, wyczuwam w tej sprawie coś wyjątkowego.

Właśnie tego obawiał się nadinspektor, którego logiczny sposób myślenia zawodził w zetknięciu ze wszystkimi zagadkami, jakie wiązały się z tym zabójstwem. I to był prawdziwy powód wezwania Higginsa.

— Czy zechciałby pan zająć się tą sprawą razem ze mną?

— Zanim panu odpowiem, nadinspektorze, pozwolę sobie o coś pana poprosić.

Scott Marlow wstrzymał oddech.

— W żadnym wypadku nie wyrażam tu wątpliwości co do kompetencji podległych panu służb ani jakości przeprowadzonych przesłuchań. Niemniej czy zezwoliłby mi pan na rozmowę z Indirą Li?

Marlow uśmiechnął się szeroko. Higgins miał opinię człowieka potrafiącego wyciągnąć zeznania nawet od umarłych. Sprawa ta mogłaby więc być rozwiązana o wiele szybciej, niż się spodziewał.

— Trochę to delikatne — certował się, by zachować pozory. — Ale załatwię to panu.



Indira Li była niebrzydka kobietą — szczupła, mała, trochę spłoszona, jak mała dziewczynka, która popełniła jakieś duże głupstwo i boi się przyznać rodzicom.

Higgins usiadł naprzeciw niej, dostrzegając mimochodem względną wygodę nowych cel Yardu. Na jego twarzy rysowała się lekka hipokryzja pobłażliwego spowiednika. Zaznajomiony już był ze wszystkimi danymi śledztwa prowadzonego przez nadinspektora. Marlow przekazał mu całą dokumentację.

Wyjął z kieszeni trzy niezbędne przyrządy: czarny notes, ołówek marki „Staedtler” oraz scyzoryk.

Indira Li spoglądała nieco zdziwiona, jak Higgins dokładnie ostrzy ołówek, następnie otwiera notes i zapisuje coś, podczas gdy ona nic jeszcze nie powiedziała.

— Niech pan się nie stara mnie onieśmielić... i tak nic nie powiem.

— A jednak pani mówi, panno Li.

Hinduska była prawie doskonałym wcieleniem kobiety-dziecka: wrażliwa, nieprzygotowana do trudów życia.

— Na pewno niełatwo pani tutaj żyć, z dala od ojczyzny. Mnie też jest trudno oddać się od rodzinnych stron.

Higgins zupełnie nie wyglądał na inspektora przesłuchującego podejrzanego. Wzbudzał zaufanie jak wyrozumiały powiernik.

— Dość kłopotliwa jest ta historia z wiadrem. To z tego powodu nadinspektor zatrzymał panią pod zarzutem kradzieży. Nie można mieć mu tego za złe. To człowiek bardzo rygorystyczny. Ja to co innego. Może uda nam się dojść do porozumienia.

— Jak to rozumieć? — W oczach Indiry pojawił się błysk sprytu.

— Jak pani wygodniej.

— Jeśli zrobię to, czego pan oczekuje, to wypuści mnie pan stąd? Ma pan taką władzę?

Higgins skinął głową.

Indira zerknęła w stronę korytarza. W jej spojrzeniu nie było już skromności cnotliwej kobiety. Wyzywającym ruchem podniosła się z krzesła i zbliżyła do Higginsa. Chwytał ją za nadgarstki i zmusił, by usiadła. Hinduska nic nie rozumiała.

— Skończmy tę grę, panno Li. Niezbyt dobrze opanowała pani rolę kobiety-dziecka. A w roli płomiennego wampa też nie jest pani najlepsza. Jest pani zawodową złodziejką, odmawiającą wydania współnika. Prawdopodobnie ze strachu przed zemstą. Powinna pani bać się raczej kolejnego punktu oskarżenia: współudział w zabójstwie. — Higgins wypowiedział te słowa z naciskiem.

Indira poderwała się.

— To nieprawda! Nie możecie mi niczego udowodnić...

— To jest pani zdanie — przeciął Higgins. — Jedno jest pewne: kradzież bezcennej kolekcji monet helleńskich. To pani je ukradła i ukryła w wiadrze. Gratuluję pomysłu. To genialne — schować skarb w brudnej wodzie. Na pani nieszczęście nadinspektor Marlow jest wyjątkowo bystry. Z niejedną sprawą już sobie poradził. Dokładnie przejrzał pani strategię. Wiadro przekazała pani mężczyźnie, który uciekając, zderzył się ze strażnikiem. Zawodowcy z pani talentem mogą równie dobrze dokonać morderstwa.

Indira Li zaczynała tracić grunt pod nogami. Przesłuchujący ją człowiek był zbyt spokojny, zbyt metodyczny. Większe wrażenie niż jego słowa wywierało na niej jego przenikliwe spojrzenie. Zadawała sobie pytanie, czy przypadkiem nie potrafi odczytać jej myśli.

— Powinna się pani zastanowić. Ofiara, Frances Mortimer, była osobą szalenie lubianą. Nadinspektor Marlow musi szybko wykazać się postęпами śledztwa. Może więc zaszczepnie pani mówić?

Młoda kobieta zagryzła wargi.

— On mnie zabije — wyrzuciła z siebie gwałtownie.

— Myślę, że nie powiemy mu o pani zeznaniu. Możliwe, że portret roboczy sporządzony dzięki wskazówkom szofera i strażnika wystarczy do identyfikacji.

Ani jeden, ani drugi nie byli w stanie dostarczyć żadnej użytecznej informacji dotyczącej wyglądu uciekiniera, niemniej to małe kłamstwo rozbudziło nadzieję Indiry.

— Jeżeli powiem, czy będzie pan mógł...

Teraz nie była już ani kobietą-dzieckiem, ani wampem. Stała się po prostu młodą hinduską emigrantką o twarzy koloru miodu, o rysach wyostrzonych strachem przed więzieniem, przed zmarnowaniem życia.

— Nie obiecuję pani nic więcej ponad sprawiedliwość mojego kraju. Myślę jednak, że stać go na wyrozumiałość.

Indira Li skrzyżowała palce, zaciskając je do bólu. Higgins nie nalegał. Przyglądał się jej jak ojciec witający córkę po długiej, zbyt długiej podróży.

— Nazywa się William W. Dobelyou. Pochodzi ze Sri Lanki. Kiedy trzy lata temu przyjechałam do Londynu, czułam się tu zagubiona. Myślałam, że znajdę pracę. Nie

miałam dużego wyboru. Albo iść na ulicę, albo pracować dla Dobelyou. Zaczęłam kraść... robiłam to bardzo dobrze. Zabraliśmy się więc za eleganckie domy, w których tak bardzo chciałabym mieszkać... Od sześciu miesięcy Dobelyou jest w zмовie z antykwariuszami. Skok na British Museum to była dla nas obojga wielka szansa.

— Ten Dobelyou umie posługiwać się bronią palną? — zapytał Higgins.

— Tak... on...

— Już kiedyś zabił?

Indira nie odpowiedziała od razu, wahała się. Higgins zostawił jej czas do namysłu.

— Przysięgał, że to było w obronie własnej. Dlatego musiał uciec ze Sri Lanki. Od tego czasu nie znosi broni.

— Tak sędzę — zauważył Higgins. — Przypuszczam, że mieszkacie razem?

Kobieta zaczerwieniła się lekko i jakby chcąc pozbyć się nieznośnego ciężaru, podała adres we wschodnim Londynie, który Higgins starannie zanotował w notesie.

— Gdy udawała pani sprzątanie na pierwszym piętrze, nie zauważyła pani przechodzącej mumii?

Indira szeroko otworzyła przestraszone oczy. Higgins nie nalegał.

— Dziękuję pani, panno Li. Proszę nam zaufać. Mogę panią zapewnić, że nie będzie pani oskarżona o zabójstwo. Co do reszty, nadinspektor Marlow znajdzie z pewnością wiele okoliczności łagodzących.



Higgins i Marlow przechadzali się po Bond Street, gdzie były główny inspektor oglądał wystawy sklepowe, upewniając się, że dobry brytyjski gust jeszcze nie zanikł. Miał nawet zamiar zamówić sobie koszulę na miarę w firmie Harborow. W pewnej chwili zauważył, że nadinspektor z trudem dotrzymuje mu kroku.

— Czy widział pan te fantazyjne spodnie, nadinspektorze? — zapytał, przystając przed witryną sklepu dla punków. — Nie do wiary. Psuje się młodzież, zaczynając od ubiorów, a potem dobiera się do reszty.

Marlow odzyskał oddech.

— Czy w końcu dowiem się, dlaczego wyznaczył mi pan spotkanie tutaj? Czekałem na pana w Yardzie!

— Nie chciałbym panu udzielać rad, lecz żyje pan w zbyt dusznej atmosferze. Prawda, że ona...

Higgins kichnął. Walczył z grypą, a tutaj czyhał na niego katar.

— Czy wyciągnął pan coś z tej Indiry Li?

Higgins miał nadzieję, że Harborow nie uległ najnowszej modzie, która w krótkim czasie zniszczyłaby renomę przybytku tradycyjnych koszul. Stwierdzając, że Marlow odzyskał siły, ruszył do przodu.

— Miła kobieta z tej złodziejki. Wydaje mi się, że to my jesteśmy winni, nadinspektorze.

— Przepraszam?

— Tak, winni niegościnnego przyjęcia jej w Anglii. Stała się ofiarą podejrzanego typu.

— Zna pan jego nazwisko? — niecierpliwił się Marlow.

— Indira boi się pana. Obawia się pańskiej surowości. Jej sprawę można przedstawić w różny sposób. Wiem, że zna pan dobrych adwokatów...

Marlow rozzłościł się. Higgins znowu okazywał słabości, które zawsze spotykały się z krytyką jego zwierzchników.

— Oczywiście, ja...

— Obiecuję mi pan?

Nadinspektor, idąc, podciągnął spodnie.

— Obiecuję — odburknął.

— Ten człowiek nazywa się William W. Dobelyou. Mam adres. Na pewno już go tam nie ma, ale myślę, że znajdą się tam ciekawe wskazówki.

Marlow zatrzymał taksówkę.

— Szybko, do Yardu! — rzucił do kierowcy.

— Na pańskim miejscu — powiedział Higgins, siadając — byłbym ostrożny w czasie konferencji prasowej.

— Nie wierzy pan w winę tego Dobelyou?

— Ależ tak, oczywiście! To złodziej. Zatrzymanie go wydaje mi się konieczne.

— Jeżeli uciekł...

— Jeżeli uciekł, to znaczy, że się boi.

Marlowa denerwowały niekiedy subtelności Higginsa. Był na dobrym tropie — William W. Dobelyou nie pozostanie długo na wolności, Scotland Yard użyje wszystkich możliwych środków.

— Higgins?

— Proszę?

— Muszę panu powiedzieć, że znakomicie wywiązał się pan z zadania.

— Aby być zupełnie szczerym, nadinspektorze, nie jestem tak do końca przekonany. Dlatego też postanowiłem spędzić tę noc w Londynie, aby być gotowym jutro rano.

— Ale... co zamierza pan zrobić?

— Udać się na pogrzeb Frances Mortimer.

Rozdział V

Frances Mortimer nie spisała testamentu i nikt nie znał jej ostatniej woli. Mąż zdecydował, że zostanie pochowana w rodzinnym grobowcu w Romney Marsh, małej miejscowości w hrabstwie Kent, na wschód od Londynu.

Jesień była już prawie w pełni, a mimo to pogoda była piękna. Słońce rozjaśniało ciepłym blaskiem łagodną zielen łąk, na których pasły się owce. Mieszkańców wioski zdumiał najazd wspaniałych samochodów, elegancki karawan oraz dystyngowany, pogrążony w smutku orszak żałobny. Nabożeństwo odbywało się w starym kościele. Przybyły z Canterbury pastor wygłaszał długą żarliwą mowę pogrzebową ku czci nieboszczki.

Higgins siedział w głębi kościoła, w pobliżu chrzcielnicy. Zaskoczony był zarówno ciepłem na zewnątrz, niezwykłym o tej porze roku, jak i chłodem panującym wewnątrz świątyni. W normalnym świecie powinno być odwrotnie. Choć po tym, jak zobaczył niektóre fantazyjne koszule z ostatniej kolekcji Harborowa, nie był już pewien, czy istnieje jeszcze normalny świat. Zwątpił we wszystko. Rewizja w mieszkaniu Dobelyou, sprawnie przeprowadzona przez nadinspektora Marlowa, zakończyła się odkryciem cennych przedmiotów należących do właścicieli okradzionych domów. Scott Marlow mógł poszczycić się celnym ciosem wymierzonym w gang antykwariuszy. Teraz należało już tylko oczekiwać pojmania samego Dobelyou, który prawdopodobnie ukrywał się u jednego z paserów.

Higgins wynajął taksówkę na koszt Scotland Yardu — nadinspektor, ogromnie zadowolony z wyników jego pracy, nie odmówił mu wycieczki do Kentu. Higgins chętnie uniknąłby tych zmian temperatury, które wywoływały bóle w kręgosłupie, wzmagane jeszcze niewygodą krzesła. Aż się nie chciało wierzyć, że wierni byli w takich warunkach zdolni do modlitwy.

Od początku tego smutnego dla Mortimerów dnia Higgins obserwował i słuchał. Nikt nie zwracał na niego uwagi, toteż dowiedział się z zasłyszanych rozmów, że część rodziny „zapomniała” przybyć na pogrzeb, obawiając się klątwy mumii, o której było w Anglii coraz głośniejsze. Higgins spostrzegł kilka znanych osobistości z British Museum

i ze świata polityki, przedstawiciele organizacji dobroczynnych oraz nieuniknionych stałych „bywalców” wszelkich uroczystości celebrowanych w ściśle wąskim gronie, nie licząc dziennikarzy z niedyskretnymi aparatami fotograficznymi.

Barry, szofer o wyglądzie uwodziciela, czuł się chyba raczej nieswojo. Higgins podszedł do niego i powiedział cicho, podczas gdy w świątyni rozległa się żałobna muzyka.

— Cóż za straszny dramat, nieprawda? Pani Mortimer była wspaniałą kobietą.

— Czy pan jest przyjacielem rodziny?

— Powiedzmy: dalszym przyjacielem. Z tego co wiem. Pani Mortimer nie miała wrogów... to zabójstwo jest zupełnie niezrozumiałe.

— Tak powiadają — odparł Barry ostrożnie.

Jakaś dama w podeszłym wieku odwróciła się i zakaszła, spoglądając na nich ze złością. Zawstydzony Higgins uśmiechnął się do niej. Obiecał sobie wypytać jeszcze szofera o miejsca, które odwiedzała Frances Mortimer. Osoby z tych sfer często nie zwracają uwagi na obecność służby.

Po skończonej mszy orszak udał się na pobliski cmentarz. Higgins zwrócił uwagę na czterdziestoletnią kobietę o kwadratowej twarzy i zimnym spojrzeniu. Co pewien czas spoglądała na zegarek. Wyglądała na znudzoną, zupełnie nie interesowała jej uroczystość pogrzebowa. Kiedy przechodziła obok niego, usunął się na bok. Wyglądała na kogoś, komu nie należy stawać na drodze.

— Nie wygląda na uprzejmą — powiedział Higgins do Barry’ego.

— Zgadł pan. Naprawdę jest pan przyjacielem rodziny? — zdziwił się szofer.

Higgins poczuł, że traci grunt pod nogami.

— Znałem właściwie tylko panią Mortimer — odparł, przekonany, że nikt już tego kłamstwa nie zdementuje.

— Ach tak... nie radzę panu zbyt wiele mówić o niej z tą osobą. To pokojówka, Agata Lillby. Bardzo była przywiązana do pierwszej pani Mortimer.

— A do drugiej nie?

Barry zamilkł i zamknął się jak ostryga.

— Dlaczego to pana interesuje? — spytał po chwili.

— Jeszcze o tym porozmawiamy — zakończył Higgins, oddalając się, by uczestniczyć w zakończeniu obrządku.

Przygotowywano się do spuszczenia trumny do grobu. Pastor ponownie dał upust swemu oratorskiemu talentowi.

Higgins był zadowolony z podróży. Poznał przynajmniej jedną osobę, która nie lubiła Frances Mortimer. Agata Lillby z pewnością nie miała bezpośredniego związku ze zbrodnią, ale mogła być pomocna przy wyjaśnieniu jej przyczyn.

W pierwszym rzędzie orszaku stał sir John Arthur Mortimer z synem Filipem. Higgins znalazł świetne miejsce, po lewej stronie, za platanem, skąd mógł spokojnie wszystko obserwować.

Sir John Arthur Mortimer, ubrany w ciemny garnitur, z niezwykłą godnością znośił żałobę. Wysoki, elegancki, był przedstawicielem starej brytyjskiej arystokracji, której członkowie po długiej i surowej edukacji nauczyli się nie uzewnętrzniać ani radości, ani smutku. Ten człowiek osiągnął wszystko — i sławę, i fortunę. Jednak jego pierwsza żona zginęła w wypadku samochodowym, a druga została zamordowana w makabrycznych i tajemniczych okolicznościach. Trudny to ciężar do uniesienia. Niejeden by się załamał. Co prawda od śmierci Frances lord Mortimer anulował swe podróże, konferencje, seminaria dyplomowe i jak zraniony zwierz w mateczniku zamykał się w gabinecie w swej rezydencji — dzisiaj jednak był obecny. Trzymał fason. Pierwszy wziął kropicidło i pokropił trumnę żony.

Filip Mortimer, który zawsze ubierał się tylko na sportowo, zmusił się do włożenia ciemnej marynarki i krawata. Rysy twarzy miał wyostrome jak po chorobie. Wydawało się, że raptownie dorósł. Nie spuszczał oczu z trumny Frances, jego nieruchomy wzrok zdawał się przykuty do niej na zawsze.

Higginsa uderzyła wyraźna różnica między ojcem i synem. Może się mylił, ale wyglądało na to, że ci dwaj raczej za sobą nie przepadają.

Zbliżał się koniec ceremonii. Frances Mortimer wkrótce na zawsze spocznie w ziemi. Grabarze spuszczali ciężką trumnę do grobu. Ojciec i syn Mortimerowie przyjmowali kondolencje.

Podczas gdy żałobnicy zaczęli się rozchodzić, jakiś mężczyzna w tandetnym garniturze, zdecydowanie odróżniający się na tle innych, zbliżył się do grobu i wrzucił czerwoną różę, według oceny Higginsa — podłej jakości.

Gest ten zauważyło kilka osób, w tym lord Mortimer. Naukowiec zostawił syna i szybkim krokiem podszedł do mężczyzny, łapiąc go za rękaw.

— Nikt pana tu nie prosił, Tumberfast. Nie życzę sobie tutaj pańskiej obecności. Proszę natychmiast się wynosić.

— Róże były ulubionymi kwiatami pani Mortimer — odpowiedział ze złością Eliot Tumberfast. — Mam prawo złożyć jej ostatni hołd.

— Jeżeli się pan stąd nie wyniesie — wycedził lord Mortimer lodowatym, pełnym nienawiści głosem — nie odpowiadam za swe czyny.

Tumberfast cofnął się.

— Nie był pan godzien pańskiej żony. Gardzę panem.

— Wynoś się pan, Tumberfast!

Młody egiptolog zrozumiał, że sir John Arthur jest na granicy wybuchu, rzucił więc jedynie wściekłe spojrzenie i oddalił się. Higgins uznał, że nadszedł właściwy moment do zagadnięcia lorda Mortimera.

— Wybaczy mi pan, że pozwalam sobie niepokoić w tak bolesnych okolicznościach, sir. Nazywam się Higgins. Czy byłby pan uprzejmy umówić się ze mną na rozmowę?

Trzęsąc się jeszcze ze zdenerwowania, lord Mortimer zmierzył Higginsa zdziwionym spojrzeniem.

— Z jakiego tytułu?

— Scotland Yard.

— Udzielałem już odpowiedzi na rutynowe pytania jakiegoś nadinspektora, którego nazwisko uleciało mi z pamięci.

— Scotta Marlowa — odpowiedział Higgins.

— Tak, chyba tak... Dlaczego więc znowu mnie męczyć?

— Dlatego, że moje pytania, sir, nie będą rutynowe.

Twarz lorda Mortimera była kamienna.

— Przyjmę pana, jak tylko będę mógł, panie Higgins.

— Jestem niezmiernie wdzięczny, sir. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

Mężczyźni pożegnali się ukłonem. John Arthur Mortimer powrócił do grupy bliskich osób, które oczekiwały nań w pobliżu.

Higgins opuścił cmentarz ostatni. Myśli jego zajęła teraz Frances, która, na swe nie-szczęście, niewątpliwie wzbudzała zbyt wiele gorących uczuć.

Rozdział VI

Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy Higgins po raz ostatni zwiedzał British Museum, największe muzeum świata. Ze szczególną uwagą przyglądał się ekspozycji sztuki egipskiej, pogłębiając swą wiedzę dzięki objaśnieniom komentującym poszczególne eksponaty.

Spotkanie z lordem Mortimerem było umówione na wczesne popołudnie. Higgins zatelefonował do niego z Yardu, za zgodą nadinspektora Marlowa, który wczesnym rankiem odbył udaną konferencję prasową, zapowiadając likwidację gangu antykwariuszy i bliskie już aresztowanie mordercy Frances Mortimer. Zgodnie z sugestią Higginsa nie ujawnił nazwiska Dobelyou.

Prowadząc dociekliwe oględziny mumii i sarkofagów w salach 60 i 61, Higgins pomyślał, że być może starożytni Egipcjanie przynajmniej częściowo rozwiązali tajemnicę śmierci. Na twarzach zmarłych dostrzegało się jeszcze ślady życia. Wokół tych drewnianych lub kamiennych postaci niemal wyczuwało się atmosferę zmartwychwstania. Czy mumie nie uwolnią się kiedyś ze swoich bandaży?



Przekroczony próg przybudówki British Museum, Higgins musiał stawić czoło niezbyt towarzyskiemu umundurowanemu Gerberowi. Na przypiętym do marynarki identyfikatorze widniało nazwisko: J.J. Battiscombe.

— Cóż to... nie pracuje pan już w nocy, panie Battiscombe?

— No... nie — odpowiedział zaskoczony strażnik. — Po tym, co się stało, poprosiłem o przeniesienie do służby dziennej. Ale...

— Scotland Yard. Zajmuję się właśnie tą sprawą.

J. J. Battiscombe wyprężył pierś.

— Zeznawałem pod przysięgą. Wszystko, co powiedziałem, w pełni odpowiada rzeczywistości. Nie mam nic więcej do dodania.

— Absolutnie nie chcę podważać pańskich zeznań, panie Battiscombe. Czy zdarza się panu czasem zażywać środki nasenne?

— Nigdy — odpowiedział oburzony strażnik.

— O której godzinie rozpoczął pan służbę tamtej nocy?

— Punktualnie o dwudziestej pierwszej. O godzinie trzeciej miałem być zmieniony.

— Czy nikt nie wchodził do muzeum pomiędzy dwudziestą pierwszą a przyjściem Frances i Filipa Mortimerów?

— Nikt.

— Czy możliwe jest, aby ktoś wszedł do budynku, kiedy pan się zdrzemnął?

— Nigdy nie zasypiam na służbie.

— Z wyjątkiem tamtego wieczoru, na skutek środka nasennego, który wsypano panu do termosu.

— To prawdziwy zamach — napuścił się J.J. Battiscombe. — Nie takie rzeczy już przeżyłem. Nie zasnąłem ani na chwilę.

— Czy nie zauważył pan nic dziwnego, kiedy przyszła pani Mortimer?

— Nie... Tak! Przeszła przede mną bez zatrzymania. Musiałem ją zawołać, a także młodego człowieka, który jej towarzyszył, aby wpisali się do rejestru.

— Czy nie był pan zdziwiony obecnością mumii na miejscu przestępstwa?

— Nie bardziej niż inni...

— A czy pan wie, że jest to ta sama mumia, którą skradziono, o czym zresztą było głośno, trzy miesiące temu? Czy pan już wtedy tutaj pracował?

— Dokładnie nie wiadomo, kiedy się to stało. Lord Mortimer wyjechał wtedy na dwutygodniowy cykl konferencji. Po powrocie zauważył, że mumii nie ma.

— Czy wierzy pan w chodzące mumie, panie Battiscombe?

Strażnik przez chwilę zastanawiał się, czy inspektor z Yardu nie jest zbyt przepracowany.

— Jakby to powiedzieć...

— Zostawmy to — zgodził się Higgins. — A czy nie wydaje się panu dziwna ta kradzież helleńskich monet?

— Zastanawiające, jak...

— Te dwie osoby, Indira Li i zbiegły mężczyzna, byli dobrze poinformowani i równie dobrze zorganizowani.

— Widzi pan — wyjaśnił J.J. Battiscombe — naukowcy lubią mówić. Pasjonują się własnymi odkryciami i opowiadają o tym na prawo i lewo. Indira Li musiała usłyszeć któregoś ze specjalistów, który zajmował się badaniem monet.

— A może pan sam spreparował sobie herbatę ze środkiem usypiającym, panie Battiscombe?

Strażnika zatkało. Skamieniały, nie znajdował żadnej odpowiedzi. Gdyby Higgins o to poprosił, J.J. Battiscombe byłby gotów wyciągnąć ręce, aby założono mu kajdanki.

— Niech mnie pan zaprowadzi do szafki z kluczami — zażądał Higgins.

Weszli na pierwsze piętro. Battiscombe zdjął klucz od gabinetu lorda Mortimera i podał inspektorowi, który dokładnie go obejrzał, po czym naszkicował go w swym czarnym notesie. Dla specjalisty podrobienie takiego klucza nie mogło przedstawiać żadnej trudności. J. J. Battiscombe, sztywny jak mumia, wyglądał, jakby oczekiwał na karę.

— Pańskie zeznania nie są całkiem przekonujące, panie Battiscombe — rzucił Higgins, obracając klucz w palcach. — Zastanawiam się, czy nie wymyślił pan sobie tego mężczyzny.

— Jakże to... — Strażnik odzyskał wreszcie zdolność mówienia. — Szofer Mortimerów widział go również!

— Zgadza się — przyznał Higgins. — Miał pan również mokrą marynarkę. W raporcie Yardu stwierdzono, że była to woda, a nie herbata. Tak więc sam się pan nie oblał.

J.J. Battiscombe poczuł lęk. Ten inspektor o niewinnym wyglądzie dręczył go, dociekając najmniej znaczących szczegółów. Nie zwracając uwagi na rozmówcę, Higgins oglądał pozostałe znajdujące się w szafce klucze.

— Były wojskowy potrafi posługiwać się bronią palną — zauważył z pozorną obojętnością. — Czy posiada pan broń, panie Battiscombe?

— Nie, sir — wymamrotał strażnik.

— Myślę, że teraz może pan już wrócić do pracy. Na pewno się jeszcze zobaczymy.



Eliot Tumberfast badał za pomocą lupy kolumny hieroglifów na papirusach z okresu XXI dynastii. Zaabsorbowany pracą, podskoczył na odgłos gwałtownie otwieranych drzwi.

— Panie Tumberfast, szybko! Ktoś jest w gabinecie lorda Mortimera!

Przestraszony młody człowiek, który wtargnął do pokoju, był jednym z dyplomatów współpracujących z Tumberfastem, specjalistą od inskrypcji na sarkofagach. Nie miał opinii żartownisia.

Tumberfast odłożył lupę i wyszedł z biura. Student wolał pozostać przy papirusie.

Z gabinetu dochodziły dziwne dźwięki. Ktoś przesunął meble, przekręcał klucz w zamku. Prawdziwie pozagrobowe, mrozące krew w żyłach odgłosy. Nagle drzwi uchyliły się i zaraz zamknęły. Powtórzyło się to kilkakrotnie, aż wreszcie otworzyły się na całą szerokość. Sparaliżowany Tumberfast był już gotów na spotkanie oko w oko z mumią, okazało się jednak, że stoi przed nim krępy mężczyzna ze szpakowatym wąsem, ubrany w elegancki ciemnoniebieski garnitur.

— Co... co pan tu robi?

— Dzień dobry, panie Tumberfast. Nazywam się Higgins, jestem ze Scotland Yardu. Spotkaliśmy się już na pogrzebie pani Mortimer, jeśli mnie pamięć nie myli. — Higgins

przypatrywał się opartym o ścianę sarkofagom, jakby był zdolny do rozszyfrowania zdobiących je symboli i hieroglifów. — Co tu robię, panie Tumberfast? Szukam. Usiłuję zrozumieć. Zawsze można coś znaleźć na miejscu zbrodni, pod warunkiem, że szuka się w pewnym porządku, metodycznie. Podobał mi się pański gest na cmentarzu.

Higgins delikatnie pominął temat samej róży. Gdyby to jemu przyszło uhonorować pamięć kobiety, wybrałby jakiś rzadki i cenny okaz. Ale któż z młodych potrafi jeszcze hodować róże?

— Jestem zbulwersowany śmiercią pani Mortimer — przyznał Eliot. — To była wyjątkowa osoba.

— Wydaje mi się, że nie darzy pan równą sympatią jej męża — podjął Higgins, wpatrując się przenikliwym spojrzeniem w hieroglif przedstawiający sowę.

— Nie mam nic do powiedzenia na temat lorda Mortimera. Jest moim przełożonym, a ja jego asystentem. Musimy się więc do siebie dostosowywać.

— Jeżeli dobrze pamiętam, wyraził mu pan swą pogardę nad grobem żony.

Zakłopotany Eliot Tumberfast skrzyżował ramiona.

— Poniosło mnie. Musi mnie pan zrozumieć. Lord Mortimer jest osobą wszechmocną. Nie ułatwia mi kariery. W wielu sprawach mam własne zdanie, którego on nie podziela. Uczciwość naukowa nie pozwala mi rezygnować z moich poglądów.

— Człowiek prawy zawsze zwycięża — przypomniał Higgins, odchodząc od sarkofagów, aby zająć się szeregiem przyrządów służących do badania mumii.

— Co myśli pan o tej słynnej mumii, panie Tumberfast?

— Przysporzyła mi wiele kłopotów — odpowiedział egiptolog. — Ukradzono ją z pokoju lorda Mortimera, a podejrzenie padło na mnie! Nie wyobraża pan sobie, jak mnie to dotknęło.

— Czy myśli pan, że mumie widzą w ciemnościach?

— Co pan opowiada, inspektorze?

— No cóż, zeznania Filipa Mortimera i strażnika wskazują na to, że kiedy otwarto drzwi, w biurze było ciemno. Zadaję więc sobie pytanie...

Higgins trzymał skalpel, podobny do skalpela chirurgicznego. Odłożył go ostrożnie między inne narzędzia służące do badania mumii. Eliot Tumberfast zamyślił się głęboko.

— To nie ma przypuszczalnie żadnego związku z tym, co pana interesuje, niemniej... stare teksty mówią, że mumiom otwierano oczy i usta, aby mogły na nowo widzieć i mówić po zmartwychwstaniu.

— Ciekawe. Ci Egipcjanie mieli naprawdę interesującą wiedzę.

— Pasjonującą, chciał pan powiedzieć! — zapalił się Eliot. — Jestem przekonany, że ich magia przewyciężyła moc śmierci. Udowodnię to. Wiele tajemnic zostało wyjaśnionych przez tych, którzy potrafią odczytać hieroglify!

— Lord Mortimer podziela pańskie przekonanie? — zapytał Higgins, zapisując coś w notesie.

— Mój przełożony ma inne spojrzenie na egiptologię.

Higgins rysował plan laboratorium egiptologa.

— Niezbyt dobrze przypominam sobie pańskie zeznania dotyczącego wieczoru, w którym dokonano zabójstwa. Był pan w swoim biurze?

— Ależ skąd — zdziwił się Eliot. — Pracowałem z lordem Mortimerem w jego domu w Mayfair.

— Gdzież ja mam głowę! — zawołał Higgins. — Nadinspektor powiedział mi przecież, że nawet go pan potrafił, opuszczając rezydencję. Wyglądał pan na zdenerwowanego...

— I było czym! Właśnie proponowałem mojemu przełożonemu wspaniały trzyletni program wykopalisk. Jestem przekonany, że możemy znaleźć grobowiec Imhotepa. Czy zdaje sobie pan z tego sprawę?

— Naturalnie — odparł Higgins z przekonaniem. — Lord Mortimer nie uwierzył panu?

— Nie. Nawet mnie... zwymyślał. Podważył moje kompetencje. Próbowałem wszystkiego, aby go przekonać.

— Ma pan bardzo ciekawy zawód, panie Tumberfast. Niestety, nie bardzo znam się na egiptologii. Czy mógłby pan przetłumaczyć mi hieroglify zdobiące te sarkofagi? Proszę, niech pan wejdzie.

Eliot Tumberfast cofnął się.

— Nie ma mowy. Lord Mortimer nie pozwala współpracownikom wchodzić tu pod jego nieobecność. Mam dużo pracy. Wybacz mi pan, inspektorze.

Egiptolog się oddalił, a Higgins skierował się do pomieszczenia w głębi, tam, gdzie Frances Mortimer spędziła ostatnie chwile swojego życia. Obok mahoniowej biblioteki stała szafa. Sir Mortimer powiedział nadinspektorowi Marlowowi, że żona udała się do British Museum, aby zabrać stamtąd potrzebne mu dokumenty. Przy zwłokach Frances Mortimer znaleziono czerwoną teczkę zawierającą kilka kartek. Odłożono ją na pierwszą półkę. Higgins odnalazł ją z łatwością, otworzył i zapisał coś w swym czarnym notesie. Dokumentacja dotyczyła grobowca Horemheba w Memfis, koncesja badawcza należała zaś do Egypt Exploration Fund.



Eliot Tumberfast usłyszał skrzypienie. Dochodziło od strony drzwi, które wolno, bardzo wolno się otworzyły. Zdumiony egiptolog z lupą w ręce znieruchomiał nad papierusem. Kiedy wstał, drzwi zamykały się właśnie w taki sam irytująco wolny sposób. Eliot odłożył lupę, okrążył stół i podszedł do progu groźnym krokiem, zdecydowany zidentyfikować dowcipnisia.

Klamka znowu się poruszyła. Tumberfast gwałtownie otworzył drzwi. W korytarzu stał inspektor Higgins. Wyglądał na zaskoczonego.

— Czy... czy potrzebuje pan czegoś?

— Nie, panie Tumberfast. Sprawdzam klamkę. Na pewno jeszcze się zobaczymy.

Egiptolog patrzył na oddalającego się dziwnego gościa o dobrotliwym wyglądzie. Wzruszył ramionami i powrócił do swego papirusu.



Higgins i Marlow jedli obiad. Marlow zaproponował modną restaurację, lecz Higgins odmówił, zapraszając nadinspektora do „The Hunning Lodge”, której specjalnością był zupełnie niezły comber zajęczy z czereśniami. Marlowa nie trzeba było długo namawiać, aby zgodził się spróbować francuskiego wina, które właściciel rezerwował dla stałych gości. Czuł się doskonale, wygodnie usadowiony na kanapie z czarnej skóry.

— Mam dobrą wiadomość — poinformował Higginsa, który krytycznie przyglądał się zawieszonym na ścianach grafikom, przedstawiającym sceny myśliwskie — Jesteśmy na tropie Dobelyou. Wydali go dwaj paserzy. Prawdopodobnie ukrywa się w Kornwalii. Niewątpliwie chce uciec z Anglii. Zatrzymanie go jest kwestią godzin. Ma bogatą kartotekę... czy wie pan, że podejrzewany jest o morderstwo w swym ojczystym kraju, na Cejlonie?

Rdzennemu Anglikowi z trudem przychodziło zamienić nazwę „Cejlon” na współczesną — „Sri Lanka”.

— To rzeczywiście nie przemawia na jego korzyść — przyznał Higgins.

— No właśnie!

Higgins otworzył czarny notes, gdy tymczasem nadinspektor degustował kieliszek odpowiednio schłodzonego białego wina.

— Czy pamięta pan czerwoną teczkę?

— Oczywiście — odparł Marlow. — Tę, którą znaleziono przy zwłokach pani Mortimer. Sfotografowaliśmy ją, zebraliśmy papiery i odłożyliśmy na półkę. Nie wiem, w czym...

— Czy kartki były rozrzucone?

— Nie, o ile sobie przypominam. Może trochę wina, Higgins?

— Nie, dziękuję.

Higgins patrzył przed siebie, jakby dostrzegł coś niezwykłego. Marlow skorzystał z tego, aby ponownie napełnić swój kieliszek.

— Zaczynam rozumieć, w jaki sposób żywy lub nadprzyrodzony zabójca mógł ukryć się i uciec.

Marlow omal się nie zakrztusił. Taki brak opanowania zawsze napełniał Higginsa niesmakiem, nie pokazał tego jednak po sobie.

— Co pan powiedział?

— Frances Mortimer została zamordowana przez kogoś, kto znajdował się w biurze lorda Mortimera, jeśli dać wiarę zeznaniom świadków. Trzeba się zastanowić, jak... nie-
mniej nie wyjaśnia to ani „dlaczego”, ani zwłaszcza „kto”.

Higgins mówił do siebie. Nadinspektor patrzył na niego zafascynowany, jakby był świadkiem popisów magika.

— Jaka wskazówka pozwala panu...

— Skrupulatność i metoda, nadinspektorze. Chciałbym przyjrzeć się zwłokom.

— Przecież... ma pan raport z sekcji! Nie wiem, czy ekshumacja ciała pani Mortimer...

— To nie będzie potrzebne. Myślę o mumii. — Higgins kroił z uwagą kawałek po-
lanego waniliowym kremem cytrynowego ciasta. — Nie zapominajmy — dodał — że
mumia jest pana najważniejszym świadkiem. Jest ostatnią postacią, która zbliżyła się do
Frances Mortimer.

Nadinspektor nie chciał podążać za rozumowaniem Higginsa. Był przekonany, że
były główny inspektor nie chce powiedzieć tego, co najważniejsze.

— Higgins, nie wierzy pan jednak, że ta mumia...

— W nic nie uwierzę, zanim jej nie przepytam, nadinspektorze. Czy może mi pan
zorganizować spotkanie z nią?



Mumia była najbardziej niezwykłym gościem centralnej kostnicy Londynu. Wysocy
urzędnicy policji i ministerstwa kultury prowadzili prawdziwą papierową wojnę, aby
zdecydować o losie tego starożytnego nieboszczyka, którego British Museum usiłowało
odzyskać.

Higgins zadumał się nad mumią, leżącą na sterylnym stole w malutkim pomieszcze-
niu chłodni o białych ścianach. Według naukowców były to zwłoki pięćdziesięciolet-
niego mężczyzny, który żył w połowie pierwszego wieku przed naszą erą. Wieczny spo-
czynek tego nieszczęśnika został brutalnie zakłócony. Bandaże były w większości ze-
rwane i obnażały zasuszoną, spękaną skórę. W miejscu serca był wielki otwór o nie-
regularnych brzegach. Ktoś zapewne starał się coś stamtąd wyciągnąć. Czaszka była
rozbita. Ze złamanej lewej nogi wystawała kość. Brakowało kilku palców prawej ręki.
Pomijając degradację spowodowaną czasem, pewne było, że ktoś się nad nieszczęsną
mumią znęcał.

Higgins długo się jej przyglądał. Nie oznaczało to wcale, by miał żywić jakieś nie-
zdrowe upodobanie do tego typu widoków, jednak ten umęczony nieboszczyk był na
pewno ważną wskazówką prowadzącą do zidentyfikowania zbrojcy Frances Mortimer.
Aby potraktować mumię w taki sposób, trzeba było nie mieć najmniejszego pojęcia
o egiptologii albo być zupełnym szaleńcem. Jaki mógł być powód takiego czynu?

Rozdział VII

Agata Lillby kończyła właśnie prasować koszulę sir Johna Arthura Mortimera, kiedy rozległ się dzwonek przy bramie. Podenerwowana zdjęła fartuszek z koronkami i zawiesiła go na wieszaku. Była godzina piętnasta, padał deszcz.

Na ulicy stał krępy mężczyzna o szpakowatych wąsach.

Kiedy Agata nacisnęła przycisk otwierający bramę, Higgins ruszył aleją, rozglądając się na prawo i lewo, jak wędrownik odkrywający nieznane tereny. Ubrany był w nieprzemakalny płaszcz Burberry's i kaszkiet w brązową kratę.

Pod niecierpliwym spojrzeniem pokojówki wszedł spokojnie po schodach, podziwiając z zadartą głową fasadę budynku.

— Jestem umówiony z sir Johnem Arthurem Mortimerem. Czy może mnie pani powiedzieć?

Patrząc na Agatę, Higgins uznał, że jest całkiem niebrzydka. Przy swojej czterdziestce mogła być całkiem atrakcyjna, gdyby nie jej zbyt sztywna elegancja i włosy upięte w kok starej panny. Niewątpliwie ukrywa w ten sposób swą prawdziwą naturę, pomyślał, podążając za nią do gabinetu profesora. Mimochodem oceniał ze znawstwem świetność starej rezydencji, marmurowe schody, spatynowane przez czas tkaniny, chłodną intymność korytarzy. Zewsząd wyzierały ślady tradycji starej brytyjskiej arystokracji, niegdyś władającej światem.

Jakiś młody człowiek potrącił Agatę, nie przepaszając. Higgins stanął pośrodku korytarza, tak aby spieszący musiał się zatrzymać.

— Pan Filip Mortimer... miło mi pana spotkać.

Filip obrzucił Higginsa zirytowanym spojrzeniem. Syn sir Mortimera, ubrany w dżinsy i skórzaną kurtkę, wyglądał bardziej na chuligana z przedmieść niż na spadkobiercę wielkiego rodu.

— Higgins ze Scotland Yardu — przedstawił się inspektor. — Chciałbym z panem porozmawiać.

Filip przeszedł obok z kamienną twarzą i biegiem pokonał schody.

— Niezbyt łatwy w obcowaniu jest ten pani młody zwierzchnik — zwrócił się Higgins do pokojówki.

— Pozwoli pan za mną — odparła kwaśno.

W chwili gdy Higgins wchodził do gabinetu lorda Mortimera, w jego uszach — szczególnie wyczulonych na hałas — rozbrzmiał warkot silnika.

Inspektor, nie zwracając uwagi na profesora, pospieszył do okna, rozsunął zasłony i zobaczył Filipa Mortimera ruszającego gwałtownie na motocyklu BMW K 100, o potężnym silniku. Maszyna w mgnieniu oka przemknęła aleją. Filip otworzył bramę, przejechał przez nią i znikł w oddali.

— Lordzie Mortimer, przepraszam pana — rzekł Higgins, odwracając się. — Musiałem sprawdzić ważny szczegół. Nie zachowałem się jak należy, ale, pan rozumie, uczyniłem to z konieczności.

Sir John Arthur podniósł się, wyraźnie zde gustowany. Pokojówka stała w progu.

— Może pani odejść, Agato.

— Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, sir. Miałem nadzieję, że uda mi się też porozmawiać z pańskim synem. Wydaje mi się, że ma dość zdecydowany charakter.

— Trzeba go zrozumieć, inspektorze. Filip jest wstrząśnięty. Bardzo lubił Frances. Po śmierci matki to dla niego kolejny cios. Los obchodzi się z nim dość okrutnie.

— Los, któremu pomogła ręka zabójcy, sir. Czy pański syn bardzo lubi motocykle?

— Wystarczająco, aby dobrze na nich jeździć. Woląłem kupić mu to BMW, mimo że nie cierpię motorów, niż patrzeć, jak ryzykuje życiem, jeżdżąc na byle czym. Niech mi pan wierzy, mój syn otrzymał bardzo rygorystyczne wychowanie. Nie należę do ojców, którym wydawanie pieniędzy przychodzi z łatwością.

— Obecna moda jest potwornie hałaśliwa — skomentował Higgins, przechadzając się od okna do okna. — Ma pan piękny dom, sir. Czy będę miał przyjemność porozmawiania z Filipem dziś wieczorem?

— Obawiam się, że nie.

— Dlaczegoż to?

— Kiedy Filip wyjeżdża o tej godzinie, nigdy nie wraca przed północą.

Higgins uznał za niezmiernie dziwny i smutny fakt, że ojciec i syn nie są dla siebie oparciem w tak trudnej chwili. Nie przeszkodziło mu to jednak w oglądaniu antyków na biurku uczonego.

— Piękny zbiór amuletów... a gdzież to pański syn najchętniej bywa?

— W jednym z dwóch ulubionych miejsc. Na strzelnicy przy Oak Street lub w pubie w dokach noszącym nazwę „Degradation, Damnation and Death”.

Higgins przystanął przed dwoma maskami mumii.

— Dziwne twarze... zastanawiam się, czy Egipcjanie odkryli tajemnicę śmierci.

— Głupstwa — oświadczył lord Mortimer, zirytowany. — Bzdury rozgłaszane przez niedorzecznych pismaków. Egypologia dostarcza wystarczająco wiele tematów do pracy, aby darować sobie tak niepoważne hipotezy.

Inspektor stał naprzeciw masek, jak gdyby zgłębiał tajemnicę ich nieruchomego wzroku.

— Pański syn jest dobrym strzelcem?

— Zajmuje się tym sportem od dwunastego roku życia. Niestety, nie wybrał tradycyjnej w rodzinie szermierki.

Higgins obserwował profesora kątem oka. Umiał patrzeć w wielu kierunkach jednocześnie, jak pszczoła. Sprawa treningu. Sir John Arthur wyglądał na zdruzgotanego. Zgromadzone wokół niego papiery służyły jedynie do stworzenia pozorów normalności. Pod arystokratyczną postawą ukrywał ból, wyczuwalny jednak w każdym słowie, w każdym geście.

— Czy można? — Inspektor sięgnął na półkę po kilka grubych tomów.

Lord Mortimer podniósł głowę z obojętnością. Higgins wertował Słownik niemiecko-egipski. Biografię topograficzną Portera i Mossa oraz kilka innych fachowych dzieł. Za opracowaniem na temat Doliny Królów zauważył japoński magnetofon.

— Widziałem podobny w pańskim biurze w British Museum — zauważył. — Używa pan tego rodzaju aparatów?

Mortimer uśmiechnął się smutno.

— Egypologia jest nauką, inspektorze. Korzysta z najnowocześniejszych technik. Nawet jeśli estetyka tego rodzaju przedmiotów jest wątpliwa, przydają mi się do nagrywania wstępnych raportów lub przygotowywania artykułów.

Higgins otworzył jeden z tomów słownika. Kolumny hieroglifów tańczyły mu przed oczami.

— To musi być bardzo trudny język...

— Potrzeba około piętnastu lat, aby go opanować.

— Przypuszczam, że pani Mortimer dzieliła pańską pasję do starożytnego Egiptu.

— Niezupełnie. Frances... — Lord Mortimer prawą ręką zasłonił oczy, jakby chciał ukryć napływające łzy. Po długiej chwili wyciągnął chusteczkę. — Wybacz pan. Pozostałości po grypie.

Higgins odwrócił się dyskretnie. Arystokratyczna maska pękła na chwilę, kiedy sir John Arthur wymówił imię żony.

— Pani Mortimer wcale nie darzyła sympatią starożytnego Egiptu, inspektorze. Ta starożytna cywilizacja trochę ją przerażała. Całe życie będę sobie wyrzucał, że wysłałem ją do British Museum. Zawsze będę czuł się odpowiedzialny za tę okropną śmierć.

— O ile się nie mylę, był pan chory?

— Migrena i gorączka. Mój lekarz, doktor Matthews, stwierdził gripę. Czułem się niezdolny do wyjścia. Musiałem zrezygnować z wieczoru, który sam zorganizowałem. Wybieraliśmy się z żoną do teatru.

- Na przedstawienie *Otella*, o którym tyle się ostatnio mówi?
- Tak. Przykro mi było z powodu Frances. Zamiast mnie poszedł Filip.
- Mam nadzieję, że pańskie zdrowie...
- To nie ma znaczenia.

Higgins pochylił się nad skrzynką, której wieko zastąpiono szybą. Wewnątrz leżał naszyjnik z lapis lazuli.

— Wspaniałe. Ten niebieski kolor jest nie do podrobienia. Nadinspektor Marlow twierdzi, że jest już na tropie winnego. Ma nadzieję wkrótce go zatrzymać.

— Sprawiedliwości musi stać się zadość — powiedział uczony — niemniej nie przywróci to życia Frances.

— Myślałem często, że dusze ofiar muszą doznawać prawdziwej ulgi, gdy zbrodnia zostaje ukarana.

Higgins, ryzykując uraz schorowanego kręgosłupa, pochylił się w prawo i wsunął głowę do kominka. Przejechał wskazującym palcem po ściankach, zdrapując coś tu i ówdzie.

— Ale... co pan robi? — zdziwił się lord Mortimer.

— Mój kominek jest podobny do pańskiego — wyjaśnił inspektor. — Mam trochę kłopotu z ciągiem. Patrzę, jak tu jest skonstruowany system przewodów.

Twarz lorda Mortimera zastygła.

— Jeśli to już wszystkie pańskie pytania, inspektorze...

— Prawie wszystkie, sir — odparł Higgins, prostując się. — Przeglądałem teczkę z dokumentacją, którą miała panu przywieźć pani Mortimer. Przyznam, że niewiele z tego zrozumiałem... O co tam właściwie chodzi?

Inspektor wytarł dłonie chusteczką do nosa, którą następnie starannie złożył.

— To notatki dotyczące grobowca Horemheba w Sakkarze.

— Następcy słynnego Tutenchamona?

— W rzeczy samej. — Profesor wyglądał na zdziwionego. — Czyżby interesował się pan egiptologią, panie Higgins?

— Och, tylko jako skromny amator! Te starożytne dynastie są dość pasjonujące, przyznaję. Czy mogę usiąść na chwilę?

— Ależ oczywiście.

W tym momencie lord Mortimer zdał sobie sprawę, że od początku rozmowy inspektor Higgins nie przestawał myszkować po kątach.

— Zaświtała mi pewna myśl, sir. W normalnej sytuacji to pan sam pojechałby po te dokumenty?

— Jak najbardziej.

— A może to pan miał być ofiarą? I może śmierć pańskiej małżonki była tylko tragiczną pomyłką?

— Ja... — Pod przenikliwym spojrzeniem inspektora uczony tracił pewność siebie.

— Pańskie stanowisko, sława, bogactwo, kariera, ambicje polityczne... wszystko to budzi zazdrość. Czy ma pan wrogów?

Sir John Arthur zastanawiał się.

— Nie wiem, co panu powiedzieć...

— Myślę, że tak. Pańska dyskrecja dobrze o panu świadczy, sir. Słyszałem w British Museum, że Eliot Tumberfast dopuścił się wobec pana prawdziwego aktu agresji.

— Nie przesadzajmy...

— Niemniej trzeba było go obezwładnić i uspokoić. To poważne podejrzenie, nie można jednak wykluczyć takiej możliwości.

Milczenie profesora było wymowne.

— Eliot Tumberfast przybył do pana około godziny dziewiętnastej piętnaście. Wyszedł po północy, wpadając na nadinspektora Marlowa na podjeździe pańskiej rezydencji. Czy tak?

Lord Mortimer przytaknął. Higgins odniósł wrażenie, że profesorowi z trudem przychodzi potwierdzać dowody uniewinniające Tumberfasta.

— Chciałbym przesłuchać pańską pokojówkę, Agatę Lillby. To ona wprowadziła Eliota Tumberfasta do pańskiego gabinetu?

— Rzeczywiście — odpowiedział lord Mortimer. — Jak mi powiedziała, próbowała go najpierw odprawić. On jednak, mimo jej oporu, wtargnął do gabinetu. Agata przyniosła nam herbatę, po czym poprosiła o pozwolenie udania się na spoczynek. Nie najlepiej się czuła.

— Londyński wirus jest niezmiernie niebezpieczny — zauważył Higgins.

Wolał nie rozwijać swej rewolucyjnej teorii o upadku miast. Zresztą i tak przeszkodziłby mu w tym telefon. Lord Mortimer podniósł słuchawkę.

— John Arthur Mortimer przy telefonie. Tak, jest tutaj... Już go daję, nadinspektorze.

Profesor podał Higginsowi posrebrzaną słuchawkę.

— Słucham... Nie, już? Gratuluję... Od jutra rana w Yardzie? Oczywiście, że będę... Dziękuję, wszystko w porządku, nie, nic nowego, rutynowe pytania... Jeszcze raz gratuluję. — Higgins odłożył słuchawkę. — Nadinspektor Scott Marlow ma nadzieję, że zbliżamy się do końca dochodzenia. Właśnie zatrzymano głównego podejrzanego, Williama W. Dobelyou.

Rozdział VIII

Higgins wstał.

— Dobelyou próbował wsiąść na statek w Saint-Yves, w Kornwallii. Osobnicy tego typu często przeceniają swoje możliwości.

— Kim on naprawdę jest? — zapytał profesor.

— Złodziejem o pewnej pozycji w tym środowisku. Szefem gangu antykwariuszy. Miał przy sobie dwie torby. Jedną pełną banknotów, drugą ze skradzionymi w British Museum monetami. Jutro rano będzie dokładnie przesłuchany w Scotland Yardzie.

Na twarzy uczonego pojawił się wyraz powstrzymywanego cierpienia.

— Ale dlaczego? Po co było zabijać Frances?

— Nadinspektor uważa, że pańska żona musiała zaskoczyć Dobelyou. Niewątpliwie się przestraszył.

Lord Mortimer opuścił głowę.

— Zapewniam pana, sir, że Scotland Yard, nadinspektor oraz ja osobiście zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby zidentyfikować zabójcę pańskiej żony. Widziałem fotografie pani Mortimer w gazetach i w aktach sprawy, dużo o niej słyszałem, poznaję miejsce, w którym żyła... rozumiem pański ból.

— To była wspaniała kobieta — westchnął lord Mortimer.

Uczony pogrzyżył się we wspomnieniach. Higgins dyskretnie opuścił gabinet.

Kiedy Higgins wszedł do pomieszczenia, w którym przechowywano bieliznę, Agata Lillby prasowała staroświeckim żelazkiem fildekosową koszulę. Pokojówka Mortimerów wyraźnie zyskała w oczach inspektora — tak młoda osoba nie używająca okropnych, nowoczesnych żelazek na pewno ma jakieś ukryte zalety. Pochłonięta pracą, nie zwróciła uwagi na jego wejście.

— Pozwoli pani...

Obróciła się gwałtownie, dzierżąc żelazko w prawej ręce, gotowa do obrony. Poznała policjanta i znowu pochyliła się nad koszulą, której wytworność zachwyciła Higginsa.

— Przestraszył mnie pan, inspektorze.

— Nie miałem takiego zamiaru. Wygląda pani na podenerwowaną.

— Ja? Dlaczego? — zaoponowała.

— To pewnie pozostałości przebytej grypy. Nigdy za wiele ostrożności, by strzec się przed tymi wirusami przychodzącymi z dalekich krajów. Ta koszula była szyta na miarę?

— Oczywiście. Ale kto panu mówił o mojej grypie...

— Sam lord Mortimer. W ten dramatyczny wieczór źle się pani czuła?

Agata zwilżyła mankiet.

— To prawda. Położyłam się wcześniej niż zwykle.

— Co może pani powiedzieć o panu Tumberfaście?

— Był bardzo podekscytowany.

— Czy nie obawiała się pani, że dyskusja z profesorem stanie się zbyt... burzliwa?

— Tak myślałam... ale nie mam zwyczaju wtrącać się w sprawę lorda Mortimera. Zresztą mam lekki sen. Gdyby mnie zawołał, natychmiast bym przybiegła.

Lewy mankiet koszuli nabrał przyzwoitego wyglądu. Agata Lillby zaczęła prasować drugi rękaw. Jej kok był w lekkim nieładzie. Kilka wymykających się kosmyków czyniło jej twarz bardziej łagodną.

— Tego wieczoru nie słyszała pani niczego szczególnego?

— Podniesione głosy, tak jak ostatnim razem, kiedy przyszedł pan Tumberfast... Odnoszę wrażenie, że lord Mortimer i ten pan w wielu sprawach się nie zgadzają.

— Czy przynosząc herbatę, nie zauważyła pani czegoś nienormalnego w gabinecie lorda Mortimera?

— Nie. Zwyczajne starocie. Znam je dobrze. Trzeba to wszystko odkurzać i uważać, żeby czegoś nie uszkodzić. Niewiele osób nadaje się do wykonywania tej trudnej pracy. Pracuję tu od przeszło dziesięciu lat i nigdy jeszcze niczego nie zniszczyłam.

— To rzeczywiście godne pochwały — docenił Higgins, który zawsze podziwiał sumiennych pracowników.

Patrzył na czubek żelazka przesuwającego się teraz w kierunku kołnierza.

— To już druga pani Mortimer, którą pani pożegnała?

— Można to tak ująć.

Higgins zmarszczył brwi.

— To znaczy?

— Dla mnie istniała tylko jedna pani Mortimer. Sir John Arthur zbyt wcześnie zawarł drugi związek. Smutek, nieprzemyślana decyzja... Po co mu było wiązać się z tą intrygantką?

— Surowa ocena.

Pomimo zdenerwowania pokojówki żelazko ozdobione herbem Mortimerów nie zbaczało nawet o cal.

— Nie, inspektorze. Gdyby pan znał tę Frances, to podzielałby pan moje zdanie. W pewnym sensie nie dziwię się temu, co się stało. Kobiety tego rodzaju zazwyczaj źle kończą... — Ze sztywnej pokojówki w wiktoriańskim stylu Agata przeobrażała się w kobietę z zawiścią mówiącą o rywalce, która odsunęła ją od lorda Mortimera. — Frances była piękna. Ponoć — ciągnęła. — Mnie wydawała się pospolita. Ale umiała się pokazać: makijaż, stroje, sposób poruszania się i patrzenia na mężczyzn. Gdyby sir John Arthur nie uległ chwilowej słabości, nigdy nie zwróciłby na nią uwagi.

Higgins zachowywał się tak, żeby Agata zapomniała o jego obecności. Wykorzystywał swój szczególny dar: potrafił skłaniać do zwierzeń, nie wywierając żadnego nacisku na rozmówców. Wzbudzał zaufanie. Gdyby nie wstąpił do Scotland Yardu, byłby doskonałym spowiednikiem.

— Prowokowała wszystkich mężczyzn — kontynuowała pokojówka. — Na przykład ten Eliot Tumberfast... asystent lorda Mortimera, wyobraża sobie pan! Ten szalenciec zagubiony w starożytnościach i ubrany jak parobek. Wodziła go za nos. Że już nie wspomnę pana Filipa... to jeszcze większy skandal. Robiła słodkie oczy do tego młodzieńczego chłopaka. Pan nigdy nie powinien był zostawiać jej bez nadzoru.

— Czy pani Mortimer często wychodziła?

— Prawie codziennie po południu.

— Czy wie pani, dokąd się udawała?

— Myślę, że nietrudno będzie to sprawdzić. Ja prawie nigdy nie wychodzę z domu.

Żelazko zbczyło, zaginając róg kołnierzyka. Agata Lillby energicznie zwilżyła czystą ściereczkę, natarła nią zagięte miejsce i ponownie przyłożyła żelazko.

— Dlaczego dotychczas nie wyszła pani za mąż? Jest pani poważną, ładną i zorganizowaną osobą, mówię tu tylko o najbardziej widocznych cechach...

Pokojówka zaczerwieniła się. Aby ukryć zażenowanie, zajęła się drugą koszulą.

— Pracuję u sir Johna Arthura. To mi wystarcza do szczęścia.

— Czy dobrze zna pani Barry'ego, szofera?

— Ach, tego! Najgorszego rodzaju podrywacz! Uważa się za Don Juana... na szczęście odchodzi pod koniec miesiąca. Już mu się tutaj nie podoba. Nie będę po nim płakać.

— Czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do pokoju Filipa Mortimera?

— Jeśli pan...

— Lord Mortimer wyraził zgodę.

Słowa Higginsa brzmiały tak przekonująco, że nikt nie ośmieliłby się podać ich w wątpliwość. Agata Lillby odłożyła żelazko i koszulę, aby zaprowadzić inspektora do pokoju Filipa. Mieścił się na parterze, pod gabinetem ojca. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Agata otworzyła je z pewnym wahaniem.

— Czy będzie pan... przeprowadzał rewizję?

— To zbyt wielkie słowo — odparł Higgins uspokajająco. — Po prostu chcę zaspokoić ciekawość i poznać otoczenie, w jakim żyje ten młody człowiek.

Wielkie fotografie na ścianach przedstawiały zawodników strzelających z karabinu oraz widok oceanu o wschodzie słońca. W drewnianej szafce około dziesięciu rakiet tenisowych. Obok kolekcja zabytkowej broni. Niskie, nowoczesne łóżko. Kilka par butów w nieładzie. Szafa na ubrania i bardzo ładna stara bielizniarka. Proste metalowe biurko.

Zapadał wieczór. Higgins okrążył pokój z wolna pogrążający się w mroku. Było jeszcze wystarczająco jasno, by stwierdzić, że w kolekcji broni niczego nie brakuje. Jego uwagę zwrócił jeden z egzemplarzy, nowoczesny rewolwer małego kalibru, nie pasujący do starych pistoletów. Wsunął go do kieszeni. Agata oczekiwała w korytarzu, od czasu do czasu zaglądając do środka, lecz nie odważyła się przeszkadzać.

Higgins otworzył szafę. Sztruksowe ubrania, swetry, dżinsy, kurtki w żywych kolorach... dość odpychająca garderoba, w której z trudem można było zauważyć tweedową marynarkę i ciemne ubranie, które Filip miał na sobie podczas pogrzebu macochy.

Bielizniarka była zamknięta. W zamku nie było klucza.

— Panno Lillby... będę pani potrzebował.

Pokojówka nieco niepewnie weszła do pokoju, do którego normalnie nie miała wstępu, jako że młody pan wolał sam dbać o porządek. Nie uważała za stosowne informować o tym Higginsa, nie wiedziała jednak, że ten zauważył kilka zakurzonych miejsc.

— Ciekawi mnie ta szafa. Nie wie pani, gdzie znajduje się klucz?

Agata Lillby musiała przyznać Higginsowi rację, w półmroku szafa rzeczywiście wyglądała podejrzanie. Pokojówka pomyślała, że Filip z pewnością przechowuje tam jakieś zenujące tajemnice. Jego niepewność, niepokojące zachowanie i nieobliczalny charakter sprawiały, że czasem robił dziwne wrażenie.

— Chętnie bym panu pomogła, nie wiem jednak, gdzie...

— Czy może pani szukać razem ze mną, Agato? Klucz... Albo chowa się go byle gdzie, albo wymyśla się tak skomplikowane miejsce, że nawet sam chowający ma potem kłopot. Proszę zapalić światło.

Rozpoczęli poszukiwania. Agata przeglądała łóżko i biurko, Higgins przeciągnął ręką po wierzchu szafy i bielizniarki, ale nie znalazł tam nic oprócz kurzu. W końcu, kiedy przypadkiem spojrzął na sufit, zauważył dziwny cień. Rozejrzał się uważnie, usiłując dośledzić, co jest jego źródłem.

Podczas gdy Agata kontynuowała, nie bez zdenerwowania, chaotyczne poszukiwania, Higgins patrzył w sufit. Skupił wzrok na lampie i wreszcie znalazł źródło cienia — ciemną smugę wewnątrz klosza z białego matowego szkła. Wszedł na krzesło, wsunął rękę do środka i wyjął klucz.

— Znalazł go pan?

Higgins wsunął klucz do zamka bieliźniarki. Pasował. Agata próbowała zajrzeć do środka, ale widok zasłaniały jej plecy inspektora.

Na półkach leżały kartony papierosów, czasopisma — od Mickey do Playboya — zaznaczające etapy dorastania, od dzieciństwa do wieku młodzieńczego, erotyczne powieści i dzieła Dostojewskiego, katalog starej broni, duży pluszowy miś, którego dostrzegła również Agata.

— Ten miś to prezent od matki. Poznaję. A myślałam, że go wyrzucił.

Higgins dobrze znał ten typ mebli. Miał dwa podobne w swoim domu. Jeden zwyczajny, drugi bardziej wymyślny, z ukrytymi szufladkami w połowie wysokości, po lewej stronie. System otwierania znajdował się w środkowej osi, ukryty pod wystającą, małą drewnianą kostką. Z pewnością bieliźniarka Filipa posiadała podobne skrytki, w których piękne damy przechowywały dawniej listy miłosne.

Inspektor pochylił się nad szufladą, która otworzyła się ze szczęknięciem. Znajdowały się w niej dwa klucze, dziesięciofuntowy banknot oraz fotografia uśmiechniętej młodej kobiety wyjątkowej urody, w kostiumie bikini, na plaży, o zachodzie słońca. To była Frances. Higgins z żalem pomyślał, że była tak pełna życia, i zamknął szufladę, jakby pochował Frances Mortimer po raz wtóry.

— Dziękuję, panno Lillby. Bardzo mi pani pomogła. Oczywiście nie ma potrzeby mówić o tej wizycie Filipowi Mortimerowi.

Z zaszępionej miny inspektora pokojówka wywnioskowała, że nie należy zadawać mu żadnych pytań.

Higgins zamknął bieliźniarkę i z powrotem wrzucił klucz do klosza, zgasił światło i wyszedł. Agata nie odważyła się zapytać go, dokąd ma zamiar się teraz udać.



Układając teczki akt, na otwarciu których nie starczało mu sił, lord Mortimer zobaczył przez okno coś dziwnego. Inspektor Higgins poszukiwał czegoś wzdłuż fasady rezydencji.

Od Francji nad Londyn nadciągała nowa fala chmur.

Lord Mortimer patrzył na Higginsa, który zebrał trochę ziemi i schował ją do plastikowego woreczka, a potem skierował się do garażu, gdzie Barry polerował rolls-royce'a.

Podczas gdy egiptolog ponownie zagłębił się we wspomnienia, Higgins odkrywał wytworny garaż Mortimerów, prawdziwe muzeum z XVIII-wiecznymi sztukateriami, starymi szytchami przedstawiającymi koczce, powozy i bryczki oraz fotografiami pierwszej generacji Rolls-Royce'ów.

— Dobry wieczór, Barry.

Szofer, kończąc czyszczenie przedniego lewego błotnika, odburknął: „Dobry wieczór” i przyjął postawę obronną. Wysoki, o kanciastej twarzy, pomimo pewnej nerwowości robił wrażenie nie pozbawionego osobowości playboya.

— Higgins, Scotland Yard. Chciałbym wiedzieć, co dokładnie widział pan tamtego wieczoru? Czy zaparkował pan w pobliżu wejścia do administracyjnego budynku British Museum?

— Już składałem zeznania.

— Zobaczmy to lepiej na małym szkicu — odparł Higgins z uśmiechem. — Proszę przyjrzeć się rysunkowi i wskazać miejsce postoju.

Higgins otworzył swój czarny notes. Na jednej ze stron narysowany był plan.

— Popatrzmy... wejście do przybudówki muzeum znajduje się tutaj — wyjaśniał, wskazując palcem. — Pan zaparkował naprzeciwko?

— Nigdy tego nie mówiłem — zaproponował Barry. — To nie było możliwe. Stała tam jakaś taksówka i ciężarówka, musiałem zatrzymać się trochę dalej. Tutaj...

Barry zaznaczył miejsce, takim ruchem, jakby chciał skończyć już z tym przesłuchaniem.

— Ach tak — rzekł Higgins. — Rzeczywiście jest to miejsce, które pan wskazał... Czy wie pan, że dało mi to do myślenia? Uciekającego mężczyznę z wiadrem widział pan w chwili, gdy wybiegł z budynku?

Oczy szofera zwięzły się. Wyglądał, jakby się obawiał, że wpadnie w pułapkę.

— No pewnie...

— Po kolei i precyzyjnie — zawyrokował Higgins. — Byłem tam i starałem się odtworzyć wydarzenia. Czy widział go pan, jak wychodzi z budynku i ucieka, czy tylko jak ucieka?

Szofer zastanowił się przez kilka sekund.

— Właściwie... widziałem tylko, jak biegnie.

Higgins się rozpogodził.

— Nie jestem zdziwiony. Z miejsca, w którym pan stał, nie widać drzwi do budynku... chyba, że wysiadł pan z rolls-royce'a. Czy wychodził pan z samochodu?

— Nie.

— Świetnie. Widział więc pan jakiegoś uciekającego mężczyznę i nie może pan sprecyzować, skąd wyszedł. Inna osoba również mogła wyjść z budynku i odejść w przeciwną stronę, nie zauważona przez pana.

Barry nie rozumiał, w jaki sposób domysły inspektora mogły go dotyczyć, niemniej czuł się niepewnie.

— Nie przyszło panu do głowy pobiec za tym mężczyzną, próbować go zatrzymać? — pytał Higgins, obchodząc rolls-royce'a.

— Hm... a dlaczego?

— Odruch obywatelski, na przykład — surowo odparł inspektor, dotykając tylnych opon ciężkiego samochodu. — Jakiś człowiek biegnący z wiadrem, w środku nocy... Nie wydawało się to panu podejrzanym?

Na czole Barry'ego pojawiły się kropelki potu.

— Kto może zaświadczyć, że nie wysiadł pan z samochodu i nie udał się do British Museum? Że nie dotarł pan na pierwsze piętro i że...

— Hola, hola! — przerwał Barry z wściekłością. — Co pan tu wymyśla! Nie opuściłem samochodu, czekałem na panią Mortimer i...

— Czy są na to jacyś świadkowie?

Szofer milczał.

— Słyszałem od panny Lillby, że jest pan niebezpiecznym Don Juanem — wycodził Higgins, rozpoczynając badanie przednich opon rolls-royce'a.

Szofer skrzyżował ramiona i wykrzywił usta w pogardliwym grymasie.

— Ach, ta... nie wybaczyła mi, że ją rzuciłem. Niech sobie za mną biega...

— Chyba nie z powodu panny Lillby odchodzi pan z pracy pod koniec miesiąca?

Barry lekko poczerwieniał.

— Już mi się tutaj nie podoba.

— Dziecinada, przyjacielu — zauważył inspektor, zapisując coś w notesie. — Jeśli interesuje się pan pięknymi kobietami, a taką ma pan opinię, musiał pan zwrócić uwagę na urodę pani Mortimer. Wystarczyłoby zapytać o zdanie kilka osób z jej najbliższego otoczenia, aby poznać prawdziwą przyczynę pańskiego odejścia. Myślę, że się nie mylę. Lepiej będzie, jeżeli przedstawi mi pan swoją wersję wydarzeń.

Higgins trochę blefował, opierał się jednak na analizie osobowości i zachowania szofera. Barry oparł się na masce rolls-royce'a, jak topielec łapiący koło ratunkowe.

— To wszystko przez nią. Ona mnie podpuszczała. Ja sam nie odważyłbym się nawet na nią spojrzeć... Wie pan, Frances Mortimer nie była święta...

Higgins ostrzył nożem ołówek.

— Niech pan sobie nie przerywa, przyjacielu — zachęcał szofera, który wahał się, czy ujawnić coś więcej.

— Trudno mówić o zmarłej, ale... oskarżyła mnie o brak szacunku. To przez nią zostałem wydalony. Mam więc prawo powiedzieć prawdę.

— Obowiązek — skorygował inspektor.

W oczach Barry'ego pojawił się złośliwy błysk.

— Raz w tygodniu, co wtorek, odwoziłem panią Mortimer do hotelu Bellevue na wschodnich przedmieściach. Raczej biedna dzielnica jak dla takiej damy. Nigdy o tym nikomu nie powiedziałem. Nie wiem, co robiła w inne dni tygodnia, niemniej wydaje mi się, że była bardzo zajęta...

Higgins zanotował nazwę hotelu.

— Dziękuję panu za spontaniczną współpracę, mój przyjacielu. Na pierwszy rzut oka widać, że nie darzył pan pani Mortimer sympatią. A przypuśćmy teraz, że współpracował pan ze złodziejem?

— Z kim?! — krzyknął Barry.

— Nietrudno sobie wyobrazić pańską współpracę z gangiem antykwariuszy. Wszedł pan za panią Mortimer, ułatwił pan ucieczkę współnikowi...

— Opowiada pan te niestworzone historie, aby mnie zastraszyć — podsumował szofer, z rezygnacją machając ręką. — Nie ma pan żadnych dowodów.

— Nie mam zwyczaju opowiadać niestworzonych historii — odparował Higgins, chowając do kieszeni notes i wychodząc z garażu. — Niech się pan nie waha zadzwonić do mnie do Yardu, jeśli coś się panu przypomni.

Rozdział IX

Opuszczając rezydencję, Higgins nie miał okazji pożegnać lorda Mortimera. Egiptolog udał się już do swojego pokoju.

Jadąc taksówką, Higgins kazał kierowcy zatrzymać się przed budką telefoniczną, skąd zadzwonił najpierw do strzelnicy na Oak Street, gdzie powiedziano mu, że Filipa Mortimera nie widziano tam od dwóch tygodni. Później zatelefonował do Scotland Yardu, aby dostać numer pubu „Degradation, Damnation and Death”, którego nie było w książce telefonicznej. Okazało się, że w pubie nie ma telefonu, a i adres znaleziono z wielkim trudem.

Lokal mieścił się przy końcu Vine Lane, w dzielnicy doków, na południowym brzegu Tamizy. Kiedy taksówka wjechała w Druid Street, Higgins zadał sobie pytanie, dlaczego spadkobierca Mortimerów upodobał sobie takie miejsce. Brudne betonowe mury, dziwny rachityczny ogródek z rudawą ziemią, opuszczone uliczki prowadzące w kierunku torów kolejowych, gdzie drzemały nikomu już niepotrzebne wagoniki, jakieś opuszczone składy i magazyny, zrujnowana fabryka z napisem „Na sprzedaż”, stos zarzewiających blach u podnóża drewnianych schodów i w oddali, jak gigantyczne owady, dźwigi pojękujące na wietrze.

— Czy zna pan „Degradation, Damnation and Death” — zapytał Higgins.

— Nie — odparł kierowca. — Musi to być jeden z tych podejrzanych lokali, które otwarte są przez miesiąc czy dwa, a potem znikają.

Higgins zapłacił, wysiadł i ruszył małą, ponurą uliczką Vine Lane, prowadzącą w stronę rzeki. W powietrzu, oprócz smrodu mazutu i zatęchłej wody, unosił się nierealny zapach cynamonu, przypominający czasy, kiedy te cenne przyprawy z Dalekiego Wschodu przyływały do londyńskiego portu.

Przy Vine Lane stały na pół zrujnowane ceglane domki. Niektóre drzwi były zakratowane. U progów piętrzyły się worki z odpadkami. Tylko z rzadka błyszczały światła na wyższych piętrach.

Jakaś syrena alarmowa włączyła się o osiemnastej piętnaście. Co oznajmiała? Koniec pracy dla robotników, których już od dawna tu nie było? Alarm dla zjaw, kompanów

Kuby Rozpruwacza, który krążył kiedyś po tej dzielnicy, w dżdżyste i słoneczne dni jednakowo szarej? Higginsa przebiegł dreszcz. Podniósł kołnierz nieprzemakalnego płaszcza i skierował się ku latarni, która rzucała słabe, migotliwe światło. Pod lampą szyld ze sztucznej skóry oznajmiał ledwie widocznym napisem: „Degradation, Damnation and Death. Godziny otwarcia: 10:00-6:00”. Do krat w pobliżu wejścia przymocowany był dwoma łańcuchami, zabezpieczającymi przed kradzieżą, wielki motocykl BMW K 100. Ten sam, na którym Filip Mortimer wyjechał z rezydencji.

Drzwi miały prawie przyzwoity wygląd. Po lewej stronie przycisk dzwonka, nad którym namalowano czerwoną farbą „Private”. Higgins zakaszłał, zadzwonił i założył ręce do tyłu. Usłyszał kroki po drugiej stronie, później zgrzyt zamka. Drzwi się uchyliły.

— W jakiej sprawie?

Indywidualność, które zwróciło się do Higginsa, mało zielone-fioletowe włosy. Nosiło poszarpane szorty i nabijaną gwoździami bluzę, rozpiętą na owłosionej piersi, ozdobionej tatuażem przedstawiającym bombę atomową z napisem: „Precz z wojną”.

— Nie mam karty waszego klubu — zaczął Higgins — lecz jest tutaj jeden z moich znajomych, Filip Mortimer, który może za mnie poręczyć.

— Pan jest kumplem Filipa? — zdziwił się cudak.

Inspektor skinął głową. Wolał nie wdawać się w długą dyskusję i podał dziesięciofuntowy banknot, który pacyfista natychmiast schował do kieszeni.

— Dobra... Ponieważ nie jest pan gliną, to niech pan wchodzi. Normalnie to jesteśmy zamknięci, ale, wie pan...

Higgins nie starał się dochodzić do sedna deklaracji swego rozmówcy. Wszedł. Stwierdził, że przepisy ograniczające spożycie napojów wysokowych jak zwykle nie były respektowane. Oczywiście, słyszał o punkach i innych im podobnych, jednakże zadymiony i rozwrzeszczany świat, jaki ukazał się jego oczom, wprowadził go w zdumienie. Około pięćdziesięciu młodych osobników obojga płci w najdziwniejszych odzieniach tłoczyło się w czymś w rodzaju niskiej wilgotnej piwnicy, podzielonej na ledwie oświetlone świecami salki. Higgins nie zwracał uwagi na różne gorszące widoki. Z głośników dochodziły rytmiczne dźwięki, od których pękały uszy.

Musiał przejść przez całą piwnicę, aby znaleźć tego, kogo szukał. W pobliżu prowizorycznego baru, który w razie kontroli można było natychmiast zlikwidować, spoczywał — jak okręt na mieliźnie — Filip Mortimer z głową opartą na pacholku cumowniczym, służącym za stół. Obok stała prawie pusta butelka ginu. Hinduski barman wycierał szklanki brudną ścierką.

— Jeden „Royal Salut” — zamówił Higgins, ceniący sobie tylko prawdziwą whisky.

— Nie znam.

Higgins surowym spojrzeniem ocenił wybór napojów. Zadowolił się „J & B”, mając nadzieję, że alkohol zabije bakterie zawarte w szklance podanej mu przez barmana.

— Filip... Filip... niech się pan obudzi, jestem przyjacielem...

Inspektor najdelikatniej jak mógł potrząsnął młodzieńcem, od którego bił zapach taniego ginu. Filip poruszył się, mruknął coś, podniósł głowę i ponownie popadł w otępienie. Higgins nie miał dość siły, aby wyciągnąć go na zewnątrz. Zastanawiał się, co robić. Trzeba się było śpieszyć, jako że barman i niektóre kreatury z farbowanymi włosami przyglądały mu się podejrzliwym wzrokiem. Jeśli nawet mogło im się wydawać, że nieprzemakalny płaszcz Burberry's jest najnowszym modnym przebraniem, to takie złudzenie raczej szybko się rozwieje.

— Filipie... kradną pana motor...

Zanim ta informacja dotarła do otumanionego mózgu, minęła dłuższa chwila. W końcu, zgodnie z przewidywaniami Higginsa, zadziałała jak wyładowanie elektryczne. Półprzytomny chłopak poderwał się jak sprężyna.

— Kto... gdzie...

— Chodźmy. Pokażę. Jeszcze nie jest za późno.

Filip miał wrażenie, że widział już gdzieś mężczyznę, który wziął go za rękę, lecz nie był w stanie go rozpoznać. Posuwając się niepewnym krokiem, pozwolił się prowadzić. Higgins przeprowadził go bez przeszkód przez kolejne salki „Degradation, Damnation and Death”. Fioletowo-zielony osobnik, pogrążony w narkotycznym transie, pozwolił im opuścić lokal.

Filip Mortimer odetchnął mglistym, deszczowym powietrzem.

— Mój motor...

Nerwowo szukał kluczyka od stacyjki. Nie rozpoznając w szarej poświacie niczego poza swoim BMW, rzucił się w jego kierunku, szlochając.

— Niech się pan uspokoi, panie Mortimer. Przespacerujmy się trochę. Mam do pana kilka pytań.

Młody człowiek zauważył wreszcie, że nie jest sam. Zimne powietrze działało otrzeźwiająco. Obrócił się i ujrzał inspektora.

— Pan...pan jest...

— Higgins, Scotland Yard. Spotkaliśmy się już dwukrotnie, zbyt krótko, jeśli o mnie chodzi. Tutaj jest spokojnie. Możemy porozmawiać.

— Nie mam ochoty na rozmowę.

Chłopak usiadł ze zwieszoną głową na mokrym bruku.

— Nie chce pan poznać nazwiska zabójcy Frances?

Higgins pozwolił sobie przywołać imię nieboszczki pani Mortimer, jakby był kimś z jej bliskich. Filip podniósł się powoli, zaciskając pięści i zagryzając wargi.

— Zabraniam panu o niej mówić.

— Dobrze. Więc chodźmy. Potrzebuję pana. Natrafiłem na kilka zaskakujących śladów. Jedynie pan może mi je wyjaśnić.

Inspektor ruszył do przodu. Filip z ociąganiem poszedł za nim, jakby przyciągany magnetyczną siłą. To już dobry początek.

— A motor? — zaniepokoił się Higgins.

— Nikt nie odważy się go tknąć... inaczej podpalę tę budę.

Szli nabrzeżem, wzdłuż rozwalonych składów zamieszkałych przez włóczęgów. W samym sercu Londynu rozciągało się królestwo zrujnowanego przemysłu, przedzwiałych blach, wybitych szyb, w których hulał wiatr. Przeszli pod zniszczoną metalową kładką, ominęli ogromne kałuże i zagłębili się w wilgotną noc. Filip Mortimer powoli wracał do przytomności.

— Podłe życie — burknął pod nosem.

— Nie myli się pan — odparł Higgins po chwili milczenia. — Dzisiaj przeszukałem pański pokój. Zaskoczony jestem tym, co tam znalazłem.

— Może mnie pan oskarżać, o co pan chce. Wszystko mi jedno.

— Niech pan nie udaje dziecka, Filipie. Czy muszę panu przypominać, że tutaj chodzi o zabójstwo?

— Życie jest ohydne. Nie ma żadnego sensu.

— Poza tym sensem, który mu sami nadajemy. Ja chciałbym przyczynić się do spokoju duszy Frances Mortimer. A nie zazna go, dopóki jej morderca nie zostanie ukarany. Jest pan ostatnią osobą, która widziała ją żywą, Filipie.

— Już mnie przesłuchiowano. Powiedziałem wszystko, co wiem.

We mgle pojawiły się kontury filarów mostu Londyńskiego. W pobliżu widać było ognisko rozpalone przez bezdomnych.

— Właśnie w tym problem. Nie powiedział pan zbyt wiele. Był pan w stanie szoku. Pańskie zeznania są bardzo mało dokładne.

— Czego pan chce? Myśli pan, że...

— Na podstawie tego, co znalazłem, mogę sformułować przeciwko panu akt oskarżenia o zabójstwo — przeciął Higgins. — Daję panu jednak szansę przekonania mnie o pańskiej niewinności. Jeśli pan odmówi, oddam pana w ręce nadinspektora Scotta Marlowa.

Higgins nie patrzył na Filipa.

— Jeśli się nie mylę, z pańskiej wypowiedzi wynika, że J.J. Battiscombe, strażnik, spał w chwili, kiedy weszliście razem z panią Mortimer do przybudówki British Museum.

— Ten głupiec... był kompletnie zaspany! Musiałem nim potrząsnąć, żeby go dobudzić. Wyglądał jak pijany albo zamroczony narkotykami. Frances i ja podpisaliśmy się w księdze wejść i potem... i potem... — Filip zamilkł, tłumiąc łkanie. — Nigdy nie powinienem był się zgodzić... Przysiągłem sobie nigdy więcej tam nie wracać... Przyniosłem jej nieszczęście.

— Czy obawiał się pan wejść do biura ojca?

— Bać się...nie, ja...

— Do czego był panu potrzebny drugi klucz do jego biura?

Zatrzymali się.

— Ja? Nigdy nie miałem...

— Ja naprawdę przeszukałem pański pokój, Filipie, łącznie ze schowkami w bielizniarce. Znalazłem pieniądze, fotografię, no i... to.

Higgins pokazał klucze, które zabrał kilka godzin wcześniej z pokoju Filipa. Jeden z nich był kluczem od wejścia do muzeum, drugi od gabinetu lorda Mortimera.

— To kłopotliwe, bardzo kłopotliwe. Dlaczego pan je schował?

— Stara historia. To nie ma nic wspólnego z zabójstwem Frances.

— A może miał je pan przy sobie w wieczór zabójstwa?

— Przeszukano mnie, tak jak wszystkich.

— Jeśli zrobiono to równie dokładnie jak w przypadku przesłuchania... Jest pan doskonałym strzelcem. Mógł pan zabić panią Mortimer, zamknąć drzwi swoim kluczem i wołać o pomoc.

Młodzieniec wytrzeszczył oczy. W tym, co mówił Higgins, była przerażająca logika.

— Jeden tylko szczegół nie pasuje do całości — ciągnął inspektor. — Fotografia Frances Mortimer, na plaży. Oko fotografa było okiem zakochanego. Myślę, że pańskie uczucia do niej przekraczały zwykłą sympatię. To pan zrobił to zdjęcie?

Młodzieniec przymknął oczy, przywołując ten cudowny moment, kiedy Frances była dla niego — i tylko dla niego — uosobieniem młodości i piękna.

— Była cudowna... cudowna... Nikt tak naprawdę jej nie rozumiał... Ona, ona nie zdawała sobie sprawy...

— Nie wszystkie opinie dotyczące jej osoby są zgodne — sprecyzował Higgins, przerywając wynurzenia Filipa. — Niektórzy uważają, że dopuszczała się... zrad.

Reakcja Filipa była gwałtowna. Złapał inspektora za połą nieprzemakalnego płaszcza.

— Kto ośmielił się to powiedzieć? Kim są niegodziwcy rozgłaszający podobne oszczerstwa? Chcę znać ich nazwiska!

— Pozna je pan, jeżeli tak zdecyduje — odparł Higgins, odsuwając się. — Gwałtowność nie jest dobrym doradcą, panie Mortimer. Jak pan oprzytomnieje, będzie pan uprzejmy wyjaśnić mi, skąd pochodzą pieniądze znajdujące się w skrytce. Przypuszczam, że wiąże się z tą „starą historią”?

— Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie — obruszył się chłopak.

— Tego się właśnie obawiałem. Nie będę już dzisiaj nalegał. Ale i tak się dowiem... Proszę nie opuszczać Londynu bez uprzedniego poinformowania Scotland Yardu. Może pan wracać motorem. Ja wolę iść piechotą.

Filip Mortimer patrzył na inspektora oddalającego się wolnym krokiem i ginącego w mroku nocy. Trząsł się. Z zimna i ze strachu.

Rozdział X

Dwóch policjantów wprowadziło Williama W. Dobelyou do biura nadinspektora Scotta Marlowa. Mężczyzna zatrzymany poprzedniego dnia w Kornwalii został nocą przewieziony do Londynu. Marlow królował za biurkiem, dumny z siebie i ze Scotland Yardu, który raz jeszcze wykazał się skutecznością działania. Siedzący w kącie pokoju Higgins rozmyślał o szczegółach dochodzenia spisanych w czarnym notesie, pewien, że przesłuchanie Dobelyou posunie śledztwo do przodu.

William W. Dobelyou miał na sobie fioletowy garnitur z zasuszoną petunią w butonierce i pomarańczowy krawat. Roztaczał wokół siebie intensywny zapach taniej wody kolońskiej. Jego twarz Hindusa z domieszką krwi chińskiej i zapewne jeszcze kilku innych ras, o szeroko rozstawionych oczach, spłaszczonym nosie i o grubych wargach, robiła niesympatyczne wrażenie. Miał chytre spojrzenie.

— Panie Dobelyou — zaatakował brutalnie nadinspektor jest pan oskarżony o kradzież w budynku publicznym, sprzedaż skradzionych przedmiotów, nielegalny handel dziełami sztuki, próbę ucieczki, przeciwstawianie się policji Jej Królewskiej Mości. Dodam, że jest pan również podejrzany o dużo poważniejsze przestępstwo.

Twarc Dobelyou wykrzywił pół ironiczny, pół agresywny uśmiezek.

— Nie przyznaję się do niczego. Żądam adwokatów. Mam czym płacić.

— Wszystkie pańskie dobra zostały zajęte — wyjaśnił Higgins. — Prawie wszystko pochodzi z nielegalnej działalności. Oczywiście, prawo będzie dokładnie przestrzegane, panie Dobelyou, niemniej zależy nam na tym wstępnym przesłuchaniu. Możliwe, że jest pan mniej winny, niż mogłoby się wydawać...

Nadinspektor Marlow poderwał się z krzesła.

— Niemniej — ciągnął Higgins, zaglądając do notesu — fakty są niezbite. Koledzy paserzy wydali pana. W pańskim mieszkaniu znaleziono skradzione przedmioty. Pańska wina w tym przypadku jest więc jasno udowodniona.

— Kto mnie wydał? — ryknął Dobelyou. — Ta suka Indira?

Higgins uprzedził odpowiedź Scotta Marlowa.

— Ta panna jest uwięziona. Ciężą na niej bardzo poważne zarzuty. Oświadczenia pa-serów były aż nadto wystarczające, aby wpaść na pański ślad.

— Powróćmy do najważniejszego — wtrącił nadinspektor. — Jeden ze świadków widział, jak, trzymając wiadro — numer inwentarza BM 131 — ucieka pan z British Museum. W wiadrze schował pan kolekcję helleńskich monet wyjątkowej wartości, które później znaleziono w pańskiej torbie podróżnej.

Dobelyou wzruszył ramionami.

— Dobrze, dobrze, grałem i przegrałem. Nie ma co robić z tego wielkiej afery.

Marlow uśmiechnął się zwycięsko.

— Sprawa dotyczy nie tylko kradzieży, panie Dobelyou. Jestem przekonany, że starał się pan wykraść również inne skarby znajdujące się w biurze sir Johna Arthura. Został pan zaskoczony przez jego żonę. Wpadł pan w panikę i zabił ją, a następnie uciekł.

William W. Dobelyou otworzył szeroko oczy.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem podobnych idiotyzmów...

Szukając ratunku, popatrzył w kierunku Higginsa, ale napotkał niewzruszone chłodne spojrzenie.

— Ależ... ja nigdy nie wchodziłem do tamtego pokoju! Wychodziłem z innego, ja...

— Wszystko, co pan mówi, jest nagrywane — nadmienił nadinspektor. — Nie będzie to wykorzystane przeciwko panu, niemniej w pańskim interesie leży, aby nie składał pan sprzecznych zeznań. Stwierdzam, że przyznaje się pan do obecności na pierwszym piętrze budynku administracyjnego British Museum.

— To nie ma z tym nic wspólnego! — krzyknął Dobelyou, podnosząc się.

Dwóch policjantów złapało go za ramiona i zmusiło, by usiadł.

— Radzę panu zachowywać się spokojnie — powiedział nadinspektor. — Pańskie zachowanie może obrócić się przeciwko panu. Jeśli okaże się to konieczne, będziemy zmuszeni założyć panu kajdanki.

— Są dwa argumenty, które pogarszają pana sytuację — dodał Higgins, cedząc słowa. — Po pierwsze, jest pan podejrzany o zabójstwo z użyciem broni palnej dokonane na Cejlonie, który ponadto opuścił pan nielegalnie. Po drugie, jest pan doskonałym fałszerzem, szczególnie wprawnym w dorabianiu kluczy.

— Widzi pan! — podjął Marlow. — Otworzył pan pokój, zabił, a następnie zamknął drzwi i uciekł.

— Nie zapominajmy o mumii — dodał Higgins.

W oczach Williama W. Dobelyou pojawił się wyraz kompletnego niezrozumienia.

— Mumia? Jaka mumia? Ależ ja nikogo nie zabiłem! Ani mumii, ani nikogo innego!

Nadinspektor wymienił z Higginsem porozumiewawcze spojrzenie. Podejrzany Numer Jeden powoli przemieniał się w winnego. Marlow był dumny ze swojej intuicji.

Zachowanie Dobelyou zmieniło się radykalnie. Jego arogancja znikła bez śladu. Przybrał ton człowieka interesu.

— Jeżeli ja wpadnę, inni też ze mną wpadną. I to nie byle kto.

Zaniepokojony nadinspektor nadstawił uszu, Higgins niewzruszenie wertował kartki w czarnym notesie.

— Powiedział pan za dużo lub za mało — burknął Marlow.

— To na razie wszystko — przeciął zimno Dobelyou. — Chyba że zawrzemy korzystną dla mnie umowę.

— Pan sobie kpi ze Scotland Yardu! — wybuchnął nadinspektor.

— Chwileczkę — włączył się Higgins, ostrząc ołówek. — Jeżeli będzie pan milczał, znaczy to, że nie ma pan nic do powiedzenia. Takie zachowanie będzie miało dla pana dramatyczne konsekwencje. Jeżeli będzie pan mówił, może uda się panu wybronić z najcięższego zarzutu: zabójstwa.

Ten spokojny inspektor o szpakowatych wąsach budził w Williamie W. Dobelyou, który znał i oszustów, i policjantów, większe obawy niż potężny Scott Marlow królujący za biurkiem.

— Kradzież w British Museum... Takiego skoku nie organizuje się samemu, inspektorze... Myśli pan, że mogłem tam wejść nie zauważony?

Nadinspektor zmarszczył brwi.

— Chce pan powiedzieć, że... J.J. Battiscombe, nocny stróż?

— Chce pan wiedzieć, kim jest ten wasz Battiscombe? — ironicznie zapytał Dobelyou. — Ten typ chciał robić karierę w Indiach, interesy... Znaliśmy się tam bardzo dobrze. Jemu się nie udało, wrócił do starej dobrej Anglii. No, ale trudno komuś, kto wcześniej miał pieniądze, żyć ze skromnej urzędniczej pensji...

— Ośmiela się pan oskarżać byłego wojskowego! — oburzył się Scott Marlow.

— Nikogo nie oskarżam. Udzielam informacji Scotland Yardowi.

— Czy naprawdę nigdy nie handlował pan mumiami?

Pytanie Higginsa zaskoczyło Dobelyou.

— Nie cierpię staroci. To musi straszliwie cuchnąć i pełno w tym bakterii. To nie moja branża. Jeśli czegoś potrzebujecie, to mam inne możliwości... Wśród właścicieli domów, które okradaliśmy z Indirą, były nie tylko biedne ofiary... odszkodowania przynoszą czasem niezły dochód, jeżeli jest się wystarczająco sprytnym. Jeżeli potraficie mnie przekonać, mógłbym wam wiele opowiedzieć...

Nadinspektor osłupiał, Higgins zaś... Cóż, on już dawno stracił złudzenia co do ludzkiej natury, w głębi ducha był jednak wstrząśnięty degradacją moralną tych warstw społecznych, które powinny świecić przykładem.

— Będziemy panu niezmiernie wdzięczni, panie Dobelyou — odpowiedział — ale to wydaje mi się niewystarczające. Jedynie zeznanie Filipa Mortimera mogłoby oczy-

ścić pana z zarzutów. Gdyby oświadczył, że widział pana wychodzącego z gabinetu numizmatycznego, podczas gdy gabinet lorda Mortimera był zamknięty, byłby pan poza wszelkimi podejrzeniami... Niestety, ten młody człowiek przeżył ogromny wstrząs. Jego zeznania nie są zbyt jasne. Wygląda na to, że nie obserwował przez cały czas drzwi gabinetu swego ojca.

— Filip Mortimer... — Dobelyou zgrzytnął zębami z nienawistnym błyskiem w oczach.

— Znacie się? — zapytał Higgins.

— To zależy...

Nadinspektor Marlow poczuł, jak ziemia rozstępuje mu się pod nogami.

— Filip Mortimer też nie lubił egiptologii — analizował Higgins. — Zastanawiam się, czy czegoś panu nie sprzedał... czegoś, co do niego nie należało i co znalazł w biurze ojca. Czy przypadkiem nie zapłacił mu pan za tę dostawę gotówką?

William W. Dobelyou zachował spokój. Z uwagą słuchał Higginsa.

— To wasza robota sprawdzenie tego wszystkiego, inspektorze... Ja nie miałem klucza od tego biura. Przyznaję się do kradzieży monet, to wszystko. Nikt nie wrzuci mi na kark tego morderstwa.

— Dziękujemy za współpracę, panie Dobelyou — powiedział Higgins, zamykając czarny notes.

Zaskoczony tą pospieszną konkluzją Marlow usiłował coś powiedzieć, nie znalazł jednak nic, co mógłby jeszcze dodać, i oenił, tak jak Higgins, że przesłuchanie trwało wystarczająco długo.

— Proszę odprowadzić pana do celi — rozkazał policjantom.

Po wyjściu Dobelyou zwrócił się do Higginsa.

— Tym razem wszystko jest jasne. Tu chodzi o dużą sprawę. J. J. Battiscombe był przy tej kradzieży współnikiem Dobelyou. Sam dodał środka usypiającego do herbaty, aby mieć alibi. Filip Mortimer potrzebował pieniędzy. Obydwaj zorganizowali skok. Dobelyou zajął się monetami, Filip obiektami egipskimi.

— A Frances Mortimer? — oponował Higgins.

— No... albo była współniczką, albo odmówiła współpracy. W obydwu przypadkach sprawa źle się potoczyła. Filip musiał się z nią pokłócić, strzelił, a potem wymyślił tę historię z zamkniętymi drzwiami.

Teoria nadinspektora wyglądała sensownie. Wydawało się, że Higgins słucha jej z aprobatą. Nagle Marlow złapał się za pierś. Higgins pomógł mu usiąść.

— Źle się pan czuje?

— Tak... nie... to, co powiedziałem, jest przerażające. Rozumując logicznie, należałoby... należałoby oskarżyć Filipa Mortimera! Jedna z najbardziej szanowanych rodzin w Anglii stanie się ofiarą skandalu! A jeżeli się pomylimy, konsekwencje...

Scott Marlow widział już siebie zdegradowanego, przeniesionego na daleką prowincję, z dala od Pałacu Buckingham i królowej.

— Zgadza się z panem, nadinspektorze — powiedział Higgins. Dlatego potrzeba nam trochę czasu. Nic nas nie goni. Mamy poważne przypuszczenia, to prawda, niemniej wiele szczegółów trzeba jeszcze wyjaśnić. Musimy sprawdzić wiarygodność zeznań tego Dobelyou.

— To już należy do mnie — zapewnił Marlow, oddychając swobodniej. — Ma pan całkowitą rację. A propos... czy przygotował pan raport z wczorajszego przesłuchania?

— Nic na piśmie — odparł Higgins, który nikomu nie pokazywał notatek w czarnym notesie. — Mam jednak pewne przedmioty i prosiłbym pana o przekazanie ich do analizy.

Higgins położył na biurku plastikowy woreczek zawierający próbkę ziemi, kopertę, w której znajdował się mały błyszczący prostokąt znaleziony w kominku gabinetu sir Johna Arthura, oraz nowoczesny rewolwer z kolekcji Filipa Mortimera.

— Prawdopodobnie nie jest to nic ważnego — stwierdził — no, ale dokładności nigdy nie za wiele.

— A Filip Mortimer? — zaniepokoił się nadinspektor.

— Poprosiłem go, aby nie opuszczał Londynu bez wiedzy Scotland Yardu. Zajmiemy się nim później. Teraz mamy dużo pilniejszą sprawę.

— Jaką?

— Dowiedzieć się, kim właściwie była Frances Mortimer.

Rozdział XI

Przedmieście, którym jechała wynajęta przez Higginsa taksówka, nie było miejscem szczególnie atrakcyjnym. Małe, dwupiętrowe ceglane domki, zniszczone brudne kamienice, podupadłe sklepy, w większości wystawione na sprzedaż. Śmieci — na skutek strajku — nie wywożone od dłuższego czasu. Grupy Hindusów rozmawiających na chodnikach. Kierowca opuścił szybę, jak w każdej przyzwoitej taksówce angielskiej oddzielającą go od pasażera. Miał ochotę porozmawiać.

— Nie pomylił pan przypadkiem adresu? — zaniepokoił się.

— Na pewno nie, przyjacielu. Niech pan skręci w prawo i zaraz będziemy na miejscu...

Higgins śledził trasę na planie dostarczonym przez Scotland Yard. Samochód zatrzymał się przed czteropiętrowym budynkiem o popękanej fasadzie. Większość okien była zamurowana. Na poziomie pierwszego piętra drewniana, częściowo oberwana tablica informowała: „Bellevue Hotel”.

— Proszę na mnie poczekać — powiedział Higgins. — Myślę, że długo tu nie zabawię. Gdybym nie wracał, proszę zawiadomić Scotland Yard.

Inspektor wszedł przez stoczone przez komiki drzwi. W powietrzu unosił się zapach zjełczałego tłuszczu. Hol pamiętał lepsze czasy — ściany wyłożone były żółtą, tu i ówdzie odpadającą tapetą. Umeblowanie bardziej niż skromne: dwa mocno zużyte czerwone fotele, ścienny telefon i kontuar z białego drewna, za którym siedziała tęga jejmość w nieokreślonym wieku. Miała brudne siwe włosy, bluzkę, niegdyś zapewne białą, i okulary o grubych szklach w rogowej oprawie. Rozwiązywała krzyżówkę.

— Dzień dobry szanownej pani.

— Mamy komplet. Chyba że płaci pan z góry.

Ewentualny klient milczał, więc kobieta podniosła wzrok. Zauważyła osobistość z lepszych dzielnic i elegancko wytarła nos mankietem rękawa. Przyszłość rysowała się niepewnie: można było albo zarobić pieniądze, albo mieć nieprzyjemności.

— W jakiej sprawie?

— Mam pytanie — wyjaśnił Higgins dobrotliwie.

— To jest przyzwoity hotel, a nie centrum informacji.

— Chciałem właśnie zarezerwować pokój na tydzień. Płacę z góry, gotówką, oczywiście.

Widząc na kontuarze kilka funtów, właścicielka uznała za stosowne obdarzyć Higginsa zawodowym uśmiechem.

— Czym mogę służyć?

— To bardzo proste. Jedna z moich przyjaciółek, młoda, bardzo elegancka blondynka, bywała tutaj regularnie, składając wizyty jednemu z naszych wspólnych znajomych. Ponieważ nie mogła dzisiaj przyjść, prosiła, bym ją zastąpił. Zapomniała tylko podać mi numer pokoju, w którym mieszka ta osoba.

— Co jej się stało?

— Jest niedysponowana. Ale niech się pani nie przejmuje, wszystko w porządku.

Higgins wyrażał się ogólnikami, z nadzieją, że nie popełni żadnej gafy.

— Zostawi pan te pieniądze za pokój?

— Oczywiście — zapewnił Higgins.

— No to w porządku — stwierdziła właścicielka, wzdychając z ulgą. — Ten stary wariat jest w dwieście piętnastym.

W hotelu było tylko dwadzieścia pokoi rozmieszczonych na dwóch piętrach. Numery napisane były kredą na drzwiach. Higgins znalazł 215 na pierwszym piętrze, przy końcu korytarza, w sąsiedztwie niezbędnego przybytku. W niektórych miejscach parkiet skrzypiał pod stopami żalostną skargą.

Zapukał. Cisza. Ponowił próbę. Bez rezultatu. Przygotowany zarówno na najgorsze, jak i na to, że pokój może być pusty, przekręcił klamkę ze sztucznej perłowej masy. Drzwi uchyliły się i zatrzymały na jakiejś przeszkodzie. Higgins pchnął mocniej.

W pokoju było ciemno. Metalowe okiennice były zamknięte, a zszywana z kawałków materiału kotara, zaciągnięta na jedynym oknie, jeszcze bardziej ograniczała dopływ światła. Przeszkoda, która blokowała drzwi, była drewnianą skrzynką zawierającą puszki z farbami i pędzle. O ściany oparte były ramy i odwrócone obrazy.

Higgins po omacku poszukał wyłącznika i zapalił światło. W głębi pokoju spał na materacu stary, wychudzony człowiek o przerzedzonych włosach, nie ogolony, ubrany w zbyt dużą kraciastą koszulę. Jego nogi okrywał koc. Przy materacu stały sztalugi przykryte białym, czystym płótnem. Był to jedyny względnie pogodny element w tym zamkniętym, przypominającym grobowiec wnętrzu.

Starzec poderwał się, otwierając oczy.

— Co tam?

— Przyjaciel Frances Mortimer.

Starzec zwrócił rozgorączkowane spojrzenie w kierunku przybysza.

— Nie znam. Proszę się wynosić.

— Jest pan pewien? — zdziwił się Higgins. — Odwiedzała przecież pana co tydzień.

— Przeszkadza mi pan. Jestem zmęczony.

Higgins chętnie otworzyłby okno, żeby trochę przewietrzyć, jednak rzadko pozwalał sobie na ingerencję w prywatne życie innych.

— Pan jest malarzem?

— Jeśli można to tak nazwać. Ten mogę panu sprzedać.

Starzec złapał obraz o wymiarach metr na metr, wciśnięty między materac i ścianę, i rzucił go pod nogi Higginsa.

— Rzeczywiście nie jest to dzieło sztuki — przyznał Higgins. — Ale nie jestem pewien, czy to pan jest jego autorem. Myślę, że kupił go pan w jakimś sklepie. Bardziej interesowałyby mnie te odwrócone...

Starzec usiadł z niespodziewanym wigorem.

— Proszę tego nie dotykać!

Higgins podniósł pierwszy obraz, potem drugi i trzeci... Zrozumiał. Były to raczej udane portrety Frances Mortimer.

— Pozowała więc panu co tydzień...

— To nie pańska sprawa — obruszył się starzec. — Pomiędzy tą damą a mną wszystko jest skończone. Nie przysłała. Nie dotrzymała obietnicy.

— Nie sądzę — odpowiedział Higgins z powagą. — Moim smutnym obowiązkiem jest zawiadomić pana o jej śmierci.

Malarz patrzył na Higginsa z niedowierzaniem.

— Nie żyje... nie, to niemożliwe, pan kłamie... Frances nie mogła umrzeć, nie ona...

Higgins przyglądał się portretom młodej kobiety. Powiedziały mu o niej więcej niż opinie jej otoczenia. Stary malarz zgłębił w tych obrazach jej uczucia, wyraził tajemnice jej duszy. Higgins poczuł, że zdobywa właśnie cenne wskazówki, które pomogą mu w zrozumieniu przestępstwa i wykryciu sprawcy.

— Czy od dawna ją pan znał?

— Byłem jej nauczycielem — wyjaśnił starzec. — Była cudowną dziewczynką, inteligentną, delikatną... rozumiała wszystko w pół słowa. Patrzyłem, jak dorasta, nauczyłem ją wszystkiego, co tylko potrafiłem przekazać, aż do dnia, kiedy...

Głos mu się załamał. Higgins milczał. Nić, która łączyła malarza z rzeczywistym światem, była tak cienka, że w każdej chwili mogła pęknąć.

— Jej rodzice oskarżyli mnie o niegodne zamiary... Mnie... Zawsze tak było... Frances wzbudzała uczucia, nie zdając sobie z tego sprawy, i można było wyobrazić sobie Bóg wie co... Kochałem ją jak własną córkę.

Inspektor słuchał, rozglądając się jednocześnie uważnie. Miał nieodpartą wrażenie, że w tym ubogim pokoju znajdują się najważniejsze wskazówki pozwalające wyjaśnić tajemnicę śmierci Frances Mortimer.

— Wyrzucili mnie jak psa... Przepędzili z domu i zabronili się z nią spotykać... Z dala od niej życie przestało mieć dla mnie wartość... Robiłem jakieś drobne prace...

Obok stosu starych magazynów Higgins zauważył serie prospektów i katalogów. Przeglądał je machinalnie. Pomiędzy dwoma zawiadomieniami o licytacjach natknął się na niezwykłą wizytówkę.

— Frances poszukiwała mnie przez dziesięć lat, nim mnie odnalazła — ciągnął starzec. — Kiedy weszła tu po raz pierwszy, myślałem, że umrę. Nie wierzyłem już, że kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę. Malowałem ją z pamięci... Nie była już młodą panienką... stała się piękną kobietą, najpiękniejszą z kobiet. Powiedziała, że chce naprawić zło, które mi wyrządzono. Chciała mi dać pieniądze, przenieść mnie w inne miejsce. To mnie nie interesowało. Wszystko o czym marzyłem, to móc oglądać ją jak najczęściej. Zdobyłem się na odwagę, spytałem, czy zechce mi pozować. Zgodziła się. Przychodziła co tydzień... Prawie nic nie mówiła... Ja przypominałem jej dzieciństwo, dawno zapomniane chwile odżywały w mojej pamięci, i malowałem, malowałem, a ręka sama poruszała się po płótnie... Pewnie uważa mnie pan za starego wariata? Myli się pan. Jeśli ma się okazję spotkać taką kobietę jak ona, to można się uznać za szczęśliwca.

Twarz starca nabrała kolorów. Higgins zakończył oględziny pokoju. Pozostało mu jedynie sprawdzić, co znajduje się pod białym płótnem na sztalugach w pobliżu łóżka.

— A propos — zapytał. — Czy nigdy nie interesowały pana mumie?

Malarz popatrzył na niego jak na przybysza z innej planety.

— Nie rozumiem...niech pan nie podchodzi do sztalug, nie są za solidne.

— Przypuszczam, że jest to pańskie ostatnie dzieło... Czy mogę obejrzeć?

Starzec spurpurowiał, próbował stanąć na bezwładnych nogach.

— Niech się pan nie waży dotykać!

Higgins udał, że się cofa, zawadził łokciem o fałd płótna i zrzucił je, odsłaniając obraz.

Temat był ten sam — Frances Mortimer. Wyraz twarzy był taki, jaki Higgins zauważył już na innych obrazach, ale siedząca na krześle młoda kobieta była naga.

Stary malarz jęczał, uderzał pięścią w materac.

— Nie miał pan prawa...

— Pani Mortimer zgodziła się pozować... w takim stroju?

— Nie miał pan prawa...

— Tak więc — wtrącił Higgins — pani Mortimer nie była...

— Niech pan nic o niej nie mówi! Pan nie może tego pojąć! Proszę stąd wyjść, bo zawołam policję!

Higgins zakrył sztalugi białym płótnem

— Przeciwnie, myślę, że pozwolił mi pan bardzo wiele zrozumieć, ale nie wszystko mi pan wyjawiał. Powróć tu niebawem.



Właścicielka hotelu „Bellevue” zdrzemnęła się nad krzyżówką. Obudziło ją skrzypienie stopni. Zobaczyła schodzącego Higginsa.

— Odnoszę wrażenie, że mieszkaniec pokoju dwieście piętnaście nie może chodzić?
— zapytał.

— To prawda — zaśmiała się głupkowato. — Sparaliżowany.

— Czy ktoś go leczy?

— No...

— To pani przynosi mu posiłki?

— Nie, ja się stąd nie ruszam. Przynoszą z pizzerii na rogu ulicy.

— To moja znajoma, ta młoda blondynka, płaciła z góry za pokój i opiekę?

— Tak... i jak tylko nie będę miała zadatku, to go wyrzucę. Prawo stoi za mną.

Higgins podał jej kopertę

— Proszę to wziąć. Pozwoli to pani na wzbogacenie codziennych posiłków i za-
trzymanie go tu przez dłuższy czas. Proszę o sumienne wykonywanie moich zaleceń.
Sprawdzę to.

— A jakim prawem...

— Proszę sobie nie żartować ze Scotland Yardu, droga pani. Szkoda by było, aby bry-
tyjskie hotelarstwo zubożyło się o pani przybytek.

Podczas gdy Higgins wsiadał do taksówki, właścicielka „Bellevue” z zadowoleniem odkrywała zawartość koperty.

W pokoju 215, na pierwszym piętrze, płakał stary człowiek.

Rozdział XII

— Higgins! Nareszcie!

Rozgorączkowany Marlow nie zapytał nawet, czym Higgins zajmował się w ostatnich godzinach. Wstał od biurka, trzymając w ręce kartkę papieru.

— Niech pan popatrzy, co otrzymaliśmy... anonim!

Higgins nie chciał usiąść na pomarańczowym plastikowym krześle. Wolał zapoznać się z listem na stojąco. Krótki tekst był ułożony z liter wyciętych z gazet.

Jeżeli chcecie posunąć się w sprawie Mortimerów, bądźcie dzisiaj wieczorem, około godziny dwudziestej drugiej, pod adresem Carlisle Street 12, pierwsze piętro, lewe drzwi. Dowiedzie się czegoś nowego o zabójstwie tej Frances.

— Carlisle Street... to w Soho — zauważył Higgins.

— Może jechać tam z policją?

— Myślę, że nie, nadinspektorze. Nie bawiono by się we wciąganie Scotland Yardu w pułapkę. Sądzę, że nasz anonimowy informator jest godzien zaufania. Chce nam pomóc w odkryciu jakiejś wskazówki... lub w przyłapaniu kogoś. Proponuję, byśmy o wskazanej godzinie pojechali tam razem, samochodem na prywatnych numerach.

— Zgoda. Pod warunkiem, że weźmiemy ze sobą jednego inspektora dla ochrony. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Jak pan sądzi, kto... kto mógł to przysłać?

— Mam pewne przypuszczenia — wyznał Higgins. — Styl tego listu nie jest zbyt wyszukany. A zakończenie szczególnie niezyczliwe dla nieboszczki pani Mortimer.

— Tej Frances! — oburzył się nadinspektor. — Wyobraża pan sobie! Nie ma już szacunku dla nikogo!

— Trzeba jeszcze, aby osoba, o którą chodzi, była godna szacunku, nadinspektorze.

Marlow nie wierzył własnym uszom. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej od Higginsa, ale ten przeszedł już do swojego biura, aby przyjrzeć się intrygującemu dokumentowi.

W takich chwilach Higgins nie lubił, by mu przeszkadzano.



Samochód Scotland Yardu na prywatnych numerach wjechał w uliczki Soho. Poza kierowcą, Higginsem i nadinspektorem Marlowem był w nim jeszcze jeden inspektor w cywilu. Marlow wydał mu polecenie pilnowania podejrzanego budynku i niewypuszczania nikogo.

Marlow rozpiął marynarkę. Nacisnął małe, kwadratowe metalowe pudełko, które wydało żałosny pisk.

— Co to? — zaniepokoił się Higgins.

— Postęp — wyjaśnił nadinspektor. — Ten aparat był używany przez chirurgów do utrzymywania stałego kontaktu ze szpitalem lub kliniką. Yard też to stosuje. A przynajmniej policjanci najmłodszej generacji... Jestem w stałym kontakcie z centralą. Rozumie pan, jakie to wygodne w nagłej potrzebie.

— Dziwne — skwitował Higgins.

O dwudziestej drugiej Soho, gorąca dzielnica brytyjskiej stolicy, wrzała. Salony gier były pełne, liczne sklepiki o witrynach zasłoniętych mniej lub bardziej przezroczystymi kotarami oferowały filmy lub przedmioty przydatne dla osób o szczególnych upodobaniach. Różni naciągacze próbowali swych talentów na łatwowiernych turystach. Pornograficzne kina, sprzedawcy jarzyn, egzotyczne restauracje, salony masażu obiecujące natychmiastową poprawę formy, całe mnóstwo Chińczyków i Hindusów zajętych podejrzaną krzątaniem... Soho tętniło własnym życiem.

Samochód Scotland Yardu zatrzymał się na Carlisle Street kilka budynków przed numerem 12, trzypiętrową kamienicą z poczerńiałej cegły. Nadinspektor Marlow układał strategię. Drugie i trzecie piętro było pozornie niezamieszkane. Na drugim okna były zabite deskami, jakiś stary szyld informował, że swoje biura miała tu fabryka tkanin. Na pierwszym piętrze, przez ciężkie kotary zakrywające obydwie okna, przebijało światło.

— Informacja była prawdziwa — powiedział nadinspektor. — Zwierzyna jest w po-trzasku.

Kiedy Higgins i Marlow weszli do budynku, zauważyli w malutkim korytarzu szereg skrzynek na listy. Nad skrzynką odpowiadającą mieszkaniu na pierwszym piętrze po lewej stronie widać było tylko dwie litery: B. J.

— Dyskretny właściciel — zauważył Marlow, wchodząc na schody pokryte pomarańczową syntetyczną wykładziną. — Czy może chciałby pan iść pierwszy, Higgins?

— Jak pan woli, nadinspektorze.

— Dobrze. No to ja pierwszy.

Na pierwszym piętrze znaleźli drzwi, na których przymocowana była tabliczka „B. J.” Marlow przycisnął dzwonek. Po chwili usłyszeli kobiecy głos.

— Kto tam?

— Scotland Yard. Proszę otworzyć.

Rozległ się krzyk. Słysząc było szybkie kroki, podniesione głosy, szuranie krzeseł, wreszcie ktoś powiedział: „No to otwórz!” Drzwi uchyliły się, ukazując przestraszoną kobietą twarz.

— Panowie... z policji?

— Tak jest — odparł surowo Marlow.

— Chcecie... nas aresztować?

Pozostawiając pytanie bez odpowiedzi, Higgins pchnął drzwi i wszedł do obszernej garsoniery o ścianach wyłożonych ciemnoczerwonym aksamitem. Dwie stojące lampy rzucały słabe światło. Na środku stół do gry, rozłożone karty i... same kobiety. Wokół krzesła, z których tylko trzy były zajęte. Pozostałe panie wolały stanąć przy ścianie w głębi pomieszczenia, jakby mogły w ten sposób zniknąć policjantom z oczu.

Jedną z nich nadinspektor i Higgins dobrze znali. Była to Agata Lillby, pokojówka Mortimerów.

Z rozpuszczonymi włosami, ubrana w czerwoną, mocno wydekoltowaną bluzkę i czarne skórzane spodnie, nie przypominała wcale porządnej służącej. Wyglądała jak wamp — wyzywająca i ponętna, choć kiepska podróbka Avy Gardner.

Higgins podszedł do stołu. W ogólnej panice pozostawiono tam banknoty stanowiące pulę gry: około tysiąca pięciuset funtów, co nie było kwotą zbyt wygórowaną. Kobiety musiały znajdować wystarczająco dużo przyjemności w samej grze.

— Moje panie — zaczął Marlow uroczyście — jest moim obowiązkiem sprawdzenie waszej tożsamości. Nie przypuszczam, abyście ubiegały się o pozwolenie na prowadzenie tego rodzaju działalności, toteż zmuszony jestem uznać ją za proceder nielegalny.

Kobiety milczały, przerażone. Stały w szeregu w głębi pokoju.

Kiedy wymieniały swoje nazwiska i miejsca pracy, Marlow bladł coraz bardziej.

W tej speluncie przebywała śmietanka pokojówek angielskiej arystokracji. Bywalczyńnie nielegalnego salonu gier pracowały w najbardziej renomowanych rodzinach królestwa, zamieszkałych w dzielnicy Mayfair.

— Chwileczkę, proszę pań.

Marlow wziął Higginsa na stronę i zwrócił się do niego szeptem:

— Słyszał pan? Czy zdaje sobie pan sprawę? Nie mogę ich zatrzymać!

— Dlaczego? — zdziwił się Higgins.

— Ależ... to naruszyłoby równowagę królestwa! Obróciłoby się przeciw Anglii! Wszystkie podały nazwiska rodzin, u których pracują. Nie mam nawet odwagi ich powtarzać. Wybuchłby skandal, panie Higgins, ogromny skandal!

— Nie mówiąc już o wroście bezrobocia, nadinspektorze. Rozumiem pańskie obawy. Lepiej będzie uniknąć takiego dramatu. Może jednak dobrze by było, gdyby te panie podpisały jakąś deklarację...

— Oczywiście — zgodził się Marlow. — Sam się tym zajmę.

— To świetnie. Ja natomiast zadam kilka pytań pani Lillby. Nie wyciągając zbyt pochopnych wniosków, myślę, że to przeciwko niej był wymierzony ten anonim.

Podczas gdy nadinspektor przygotowywał się do zebrania oświadczeń, nie zdradzając, jaki tok zostanie nadany tej sprawie przez Scotland Yard, Higgins poprosił Agatę Lillby, aby usiadła z nim na chwilę przy stole.

— Jest pani miłą osobą. Trochę zaskakującą... ale miłą.

— Nie mam sobie nic do zarzucenia — stwierdziła, przysiadając na krześle, gdzie parę minut wcześniej miała w ręce bardzo dobre karty. Jej pierwszy szczęśliwy wieczór od dłuższego czasu!

Higgins przekładał karty.

— W jaką grę panie gracie?

— Black Jack.

Higgins nie był wielkim znawcą gier hazardowych, niemniej wiedział, że potrafią uzależnić i zepchnąć na dno.

— Nie mam sobie nic do zarzucenia — powtórzyła Agata Lillby.

— Mam nadzieję.

Higgins wyglądał na szczerze zatroskanego. Mimo zdenerwowania była mu za to wdzięczna. Odniosła wrażenie, że potrafi ją zrozumieć.

— Zawsze byłam wierna i oddana lordowi Mortimerowi. Nigdy nie popełniłam żadnego błędu.

— Chciałbym w to wierzyć. Ale przyzna pani, że jej obecność tutaj...

— To jest moje prywatne życie, panie inspektorze. To wyłącznie moja sprawa.

— Z żalem muszę stwierdzić, że nie jestem tego pewien, panno Lillby.

Higgins położył na stole dwie karty, którymi się bawił. Król i as.

— Wygrałby pan — ironicznie zauważyła Agata Lillby. — To dwadzieścia jeden punktów. Black Jack.

— Czy często tu pani przychodzi?

Pokojówka zaczerwieniła się.

— Dosyć często, tak... — odpowiedziała po długim wahaniu.

— Regularnie? W każdy wtorek wieczorem?

Zmarszczyła brwi, rysy jej twarzy się wyostrzyły, oddychała ciężko.

— Dlaczego nie chce mi pani powiedzieć wszystkiego? Byłoby o wiele prościej.

Uwagę Higginsa przyciągnęło zamieszanie w głębi pokoju. Wydawało się, że Marlow uzyskał jakąś bulwersującą informację.

— Panno Lillby — zapytał, podchodząc do stołu — czy prawdą jest, że była tu pani w wieczór zabójstwa, ale wpadła pani tylko na krótką chwilę?

Czerwona ze złości Agata wstała i z wściekłością popatrzyła na swe towarzyski.

— Kto mnie wydał?

— Zechce pani usiąść — polecił nadinspektor — i odpowiedzieć. W jakich godzinach była tu pani tamtego wieczoru?

Agata opuściła oczy.

— Nie pamiętam. Nie patrzyłam bez przerwy na zegarek. Chyba przyszłam około wpół do dziesiątej i wyszłam przed jedenastą.

— Porównamy to z zeznaniami innych świadków.

Marlow powrócił do pozostałych kobiet. Higgins wyglądał na zakłopotanego.

— Widzi pani, panno Lillby, nie można być pewnym nikogo. Tak więc bardzo się pani spieszyła tamtego wieczoru.

— Nie mogłam za długo być poza domem — przyznała w końcu. — Wizyta Eliota Tumberfasta była niespodziewana. Sir Mortimer mógł mnie potrzebować i...

— I skłamała pani, mówiąc, że jest pani zaziębiona. Sprytnie, jednak ryzykowała pani, przychodząc tutaj. Musiała pani mieć jakiś ważny powód.

Agata milczała.

— Lepiej będzie, jeżeli powie mi pani prawdę — naciskał Higgins — zanim pani przyjaciółki coś wymyślą. Tak czy inaczej, dowiemy się wszystkiego.

Pokojówka zagryzła wargi. Była w pułapce.

— Dałam słowo... tego wieczoru musiałam oddać dług.

— Jaką sumę? — zapytał Higgins.

— Czterysta funtów. Przez cały zeszły miesiąc miałam pecha.

Higgins tasował karty, jakby przygotowywał jakąś sztuczkę.

— Jest jednak pewien kłopot, panno Lillby. Jest pani jedyną osobą mogącą określić czas trwania pani nieobecności. A jeśli powróciła pani późno w nocy... już po godzinie, kiedy miało miejsce morderstwo?

— Nie! — zaprotestowała, przerażona. — Nie, nie może pan tak mówić!

— Obawiam się, że mogę.

— Nie, mam dowód!

— Jaki?

— Kiedy wróciłam, przed wpół do dwunastą, widziałam lorda Mortimera i Eliota Tumberfasta. Lord Mortimer stał w progu gabinetu i zatrzymywał Tumberfasta, który chciał wyjść. On... on mnie...

Nagle jakby odjęło jej mowę. Uprzytomniła sobie coś oczywistego.

— On pani nie widział, czy o to chodzi? — odparł za nią Higgins. — Nie mógł wiedzieć, bo się pani przed nim schowała... Cóż, raz już pani skłamała...

— Przysięgam, że mówię prawdę! — krzyknęła ze strachem.

— Sprawdźmy, czy lord Mortimer i Eliot Tumberfast pamiętają to zajście. Teraz coś pani pokażę. Chciałbym wiedzieć, co pani o tym myśli.

Higgins wyjął z kieszeni anonimowy list. Przeczytała go szybko i z niesmakiem.

— To na pewno Tumberfast — wycedziła przez zęby. — Mści się w najpodlejszy sposób.

Higgins kontynuował tasowanie kart, po czym położył talię na stole i wyciągnął pikowego asa.

— To ponoć zły omen? Eliot Tumberfast... Dobrze go pani zna?

W oczach Agaty Lillby można było odczytać nie wygasłą pasję.

— Byliśmy ze sobą związani... aż do nastania Frances. Eliot mnie kochał, jestem tego pewna. Przychodził w czasie nieobecności sir Johna Arthura. Mówiłam mu, że Frances Mortimer nie jest dla niego, i nigdy nie będzie... wpadł w jej sidła tak jak inni. Za życia pierwszej pani Mortimer Eliot patrzył tylko na mnie... Nienawidzę go!

— Wytoczyła pani przeciw niemu ciężkie oskarżenie — zauważył Higgins, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie kolejną karcianą sztuczkę. — Czteryście funtów długu to sporo... Oddała pani z własnych oszczędności?

— Oczywiście.

— Przepraszam panią na chwilę.

Higgins wstał i podszedł do Marlowa, który kontynuował przesłuchania, notując skrupulatnie nazwiska i adresy znanych rodzin, u których pracowały pokojówki przyłapano na hazardzie.

— Chciałbym zamienić z panem kilka słów, nadinspektorze. Przejdźmy do przedpokoju.

Opuściwszy nieszczęsne hazardzistki, obaj policjanci wymieniali dyskretne uwagi.

— Według deklaracji tych pań — mówił Marlow — Agata Lillby nie po raz pierwszy musi zwracać karciane długi. Podobno jest najbardziej zawziętą amatorką Black Jacka.

— Bądźmy ostrożni z plotkami — poradził Higgins. — Zostawiam panu sprawdzenie tego wszystkiego. Zabieram pannę Lillby do Mortimerów.

— Czy nie lepiej by było...

— Nic nas nie goni — uspokoił Higgins łagodnym tonem. — Dowiedzieliśmy się dzisiaj wielu dziwnych rzeczy. Trzeba teraz będzie oddzielić ziarno od plew. Na początek będę musiał dokładnie przeanalizować osobowość panny Lillby.

— Jeśli pan uważa, że tak trzeba... — westchnął Marlow.

— Będzie pan musiał wykazać wiele taktu, przestrzegając te panie przed konsekwencjami ich zgubnej pasji. Za mało przejmujemy się ludzką duszą, nadinspektorze.

Mimo że Marlow przywykł do oryginalnych spostrzeżeń Higginsa, poczuł się niepewnie. Niemniej zawodowa rutyna szybko wzięła górę. Wyjął metalowe pudełko i zaczął przy nim manipulować.

— Cóż za licho! Znowu nie działa!

— Nie należy zbyt ufać tym urządzeniom — zauważył Higgins. — Przysłę panu inspektora stojącego przed budynkiem.



W taksówce wiozącej Higginsa i Agatę Lillby z Soho do Mayfair były główny inspektor długo pisał coś w swoim czarnym notesie. Pokojówka nie śmiała się ani odezwać, ani poruszyć.

— Mamy przed sobą poważne zadanie — odezwał się w końcu Higgins.

— Co takiego?

— Rekonstrukcję wydarzeń. Chciałbym zobaczyć, w jaki sposób powróciła pani do domu w noc zabójstwa.

— Panie inspektorze — rzuciła rozgorączkowana Agata. — Chciałabym prosić pana o przysługę. Lord Mortimer o niczym nie wie. Błagam, niech mu pan nie mówi o tym, co pan odkrył... Byłby... myślę, że byłby wstrząśnięty. Chciałabym mu tego oszczędzić.

— Zrobię, co w mojej mocy — pocieszył ją Higgins. — Oczywiście pod warunkiem, że pani prywatne życie nie ma nic wspólnego z zabójstwem Frances Mortimer, której tak pani nienawidziła...

Agata Lillby wcisnęła się w kąt siedzenia.

— Żałuję, że panu zaufałam, inspektorze.

— W bielizniarce stojącej w pokoju Filipa Mortimera — powiedział Higgins — znajduje się schowek. Był w nim klucz. Kluczem tym można otworzyć drzwi gabinetu w British Museum, w którym zabito Frances Mortimer. Czy to nie pani włożyła go do sekretnej szufladki Filipa?

Rozdział XIII

Agata Lillby podskoczyła.

— Klucz? Nawet nie wiedziałam o jego istnieniu — zaprotestowała gorączkowo.

Higgins nie zadawał już więcej pytań. Kiedy dojechali na miejsce, pokojówka zaprowadziła go na uliczkę na tyłach rezydencji, gdzie z trudem dostrzegł częściowo zarośniętą bluzczem metalową furtkę.

— W jaki sposób udawała się pani do Soho?

— Metrem — odparła Agata Lillby.

— Wieczorem, ładna kobieta... To nieostrożne. Sądzę, że ma pani klucz od tej furtki?

Agata nerwowo szukała w kieszeniach skórzanych spodni. Nie miała torebki. Nikt by nie podejrzewał, że ta ponętna, nowoczesna i zmysłowa kobieta wciela się na co dzień w układną pokojówkę. „Dziwna — pomyślał Higgins — ta mnogość twarzy, którą posiada większość ludzkich istot”.

Agata Lillby zręcznie wsunęła płaski klucz do zamka. Lewą ręką odchyliła bluzcz, pchnęła furtkę. Szła po trawniku, by chrzęst żwiru nie zdradził jej obecności. Higgins podążał jej śladem.

— Gratuluję — skomentował cicho. — Porusza się pani zupełnie bezszelestnie. Proszę, niech pani nadal robi wszystko dokładnie tak, jak w ten pamiętny wieczór.

Spojrzał na zegarek. Pięć po jedenastej. Światło paliło się tylko w jednym oknie — w biurze sir Johna Arthura Mortimera. Barry sypiał nad garażem, Filip bez wątpienia był gdzieś poza domem.

Agata, poruszając się ze zręcznością kota, zaprowadziła Higginsa do wejścia dla służby. Inspektor miał niemiłe uczucie, że zachowuje się jak włamywacz. Wykonywanie obowiązków czasami nie jest łatwe.

W pomieszczeniu gospodarczym Agata zapaliła świecę. Jej światło wystarczało, by nie potykać się o meble.

— No to... tak weszłam do domu.

— Czy lord Mortimer każdego wieczoru pracuje do późna?

— Rzadko kładzie się przed drugą w nocy. Frances... chciałam powiedzieć, pani Mortimer, często zarzucała mi, że za dużo pracuje.

— Znajdzie pani jakiś sposób na zaanonsowanie mu mojej wizyty?

— Nie... nie mogę pokazać mu się w tym stroju. Muszę się przebrać.

Rzeczywiście, lord Mortimer zapewne doznałby szoku, widząc swoją pokojówkę w stroju rockersa. Podczas gdy Higgins rozglądał się po pokoju, w którym przechowywano bieliznę, Agata przeszła do toalety, gdzie szybko się przebrała. Gdy powróciła, w białej bluzce i czarnej spódnicy, w staroświeckich haftowanych pończochach, stała się na nowo przyzwoitą służącą, gotową do wykonywania obowiązków w dobrych domach. Wyglądała w zasadzie bez zarzutu, tylko jej kok nie był upięty tak starannie jak zwykle.

Poprzedzając Higginsa, Agata poinformowała lorda Mortimera, że inspektor Scotland Yardu chciałby spotkać się z nim w bardzo ważnej sprawie.

Lord Mortimer podniósł się na powitanie. Higgins stwierdził, że profesor nie wygląda najlepiej.

— Przepraszam pana, sir, że niepokoję o tak późnej porze.

— Przypuszczam, że uznał pan to za konieczne — odparł egiptolog zmęczonym głosem.

— Jak najbardziej. Dochodzenie w sprawie śmierci pańskiej żony napotyka na niejake trudności. Wydaje mi się, że nadinspektor Marlow jest na dobrej drodze... z tym, że są pewne niejasności.

Lord Mortimer ponownie usiadł w fotelu. Na jego biurku leżały dwa wielkie stopy dokumentów administracyjnych British Museum.

— Podziwiam pański zapał do pracy, sir.

Egiptolog machnął ręką z rezygnacją.

— Pozwala mi to oddalić natrętne myśli, inspektorze. W tym przykrym okresie koledzy uznali za stosowne zaproponować moją kandydaturę na stanowisko dyrektora British Museum. Właśnie toczy się narada, decyzja powinna zapaść lada moment. W każdej chwili mogę zostać poinformowany o werdykcie.

— Moje gratulacje, sir. Wierzę, że nasze wspaniałe muzeum będzie w dobrych rękach.

— Nic jeszcze nie jest postanowione, inspektorze... i nie wiem, czy powinienem wziąć na siebie taki obowiązek. Nie jestem pewien, czy wystarczy mi sił, żeby sprostać tak trudnym zadaniom.

— Jestem przekonany, że pani Mortimer byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zobaczyć pana w tej roli.

Sir John Arthur Mortimer wyglądał na wzruszonego. Higgins przybliżył się do kominka, w którym palił się ogień. Gdyby nie miał tylu zadań, chętnie oddałby się kontemplacji płaszących płomieni.

— Moje pytania wydadzą się panu być może bez znaczenia, sir, niemniej mają one dla mnie pewną wagę. Czy może mi pan powiedzieć, o której godzinie w wieczór zabójstwa widział pan pańską pokojówkę, Agatę Lillby?

— Mój Boże... Wtedy, gdy przyszła zapowiedzieć mi wizytę Tumberfaste, i potem, gdy przyniosła nam herbatę. Następnie poszła się położyć. Była chora.

— Czy jest pan pewien, że nie widział jej pan później?

— Nie... Dopiero wtedy, gdy przyszedł nadinspektor Marlow. Obudził ją dzwonek. Zeszła otworzyć mu drzwi.

Higgins z przyjemnością wertował jeden z tomów słownika hieroglifów. Te małe znaki nosiły w sobie ślady życia, czegoś ponadczasowego.

— Podczas tej... ożywionej rozmowy z Eliotem Tumberfastem, czy pański asystent nie usiłował opuścić pańskiego biura? Czy nie zmusił go pan do pozostania?

Lord Mortimer zamyślił się, usiłując przywołać w pamięci zacierające się już zdarzenia.

— To możliwe... upierał się przy swoim szaleństwie... żądał gigantycznych sum na nic nie wnoszące wykopaliska. Tak, przypominam sobie! Ten mały człowiek śmiał podważyć moje kompetencje!

Twarcz uczonego ożywiła się, złość dodała jej barw.

— Ten nieuk chciał jak wielki pan trzasnąć drzwiami. Złapałem go i zmusiłem do pozostania. Byłem osłabiony gripą, jednak musiałem mu udowodnić, punkt po punkcie, że jego tak zwane naukowe teorie są czczymi wymysłami. Drogo zapłaci mi jeszcze za tamten wieczór. Siedział tutaj, zawracając mi głowę absurdami, podczas gdy Frances...

Sir John Arthur Mortimer opuścił wzrok.

— Chciałbym poruszyć jeszcze jedną delikatną sprawę — podjął Higgins. — Pańska żona często wychodziła popołudniami. Widywano ją na wystawach, charytatywnych imprezach, zebraniach, a w każdy wtorek bywała w dzielnicy raczej biednej...

Lord Mortimer podniósł na Higginsa lekko zaczerwienione oczy.

— Mówi pan o odwiedzinach u jej dawnego nauczyciela? Frances była naprawdę pełna miłosierdzia, inspektorze. Prosiła mnie o pozwolenie spełnienia zachcianek tego nieszczęśnika: chciał, by mu pozowała, aby była jego modelką. Płaciła czynsz za jego pokój i dostarczała największej radości jego życia: możliwości kontemplowania jej osoby.

— Czy widział pan jego obrazy? — zapytał Higgins.

— Frances przyniosła jeden, na początku naszego małżeństwa. Był to nie najlepszy portret. Nie chciałem robić jej przykrości, ale poradziłem, by oddała dzieło autorowi. Malarstwo nie było powołaniem tego biedaka.

Higgins nie zgadzał się z tym poglądem, nie był to wszakże czas na rozmowy o sztuce.

— Nigdy pan u niego nie był, sir?

— Nie, inspektorze. Nie miałem ochoty go poznać. Należał do tajemniczego świata Frances. Wystarczyły mi jej opowiadania. Miałem do żony bezgraniczne zaufanie.

Higgins odłożył słownik. Poznał kilka nowych hieroglifów.

— Nie wiem, jak to powiedzieć, sir...

— Słucham, inspektorze.

— Mam do pana prośbę, ale obawiam się, że może się ona wydać panu niedelikatna...

Higgins był tak zakłopotany, że nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

— Niech pan mówi, inspektorze, i mnie pozostawi ocenę.

— To stare przyzwyczajenie, sir... Lubię poznawać bezpośrednio otoczenie ofiar przestępstwa, odkrywać atmosferę, w jakiej żyły... Czy pozwoliliby mi pan obejrzeć pokój pani Mortimer?

— To żaden problem, inspektorze. Frances i ja mieliśmy wspólny pokój. Znajduje się obok mojego gabinetu. Zaprowadzę pana.

Wyszli z gabinetu, przeszli korytarzem i skręcili w lewo. W pokoju państwa Mortimerów stało duże łóżko z satynową narzutą, komoda w stylu regencji i dwie wielkie dębowe szafy. Dwoje drzwi prowadziło do wyłożonej różowym marmurem łazienki i dużej garderoby z buduarem, w którym Frances Mortimer miała swoją toaletkę z lustrem, XVIII-wieczną komódkę oraz mahoniowe mebelki na przybory toaletowe. Ciemnozielona wełniana wykładzina i tkaniny na ścianach przedstawiające angielskie pejzaże czyniły z tego miejsca harmonijną całość, przypominającą apartamenty w pałacach.

— Dziękuję za wyrozumiałość, sir.

— Nie śpiam tutaj od śmierci Frances — zwierzył się sir Arthur.

W gabinecie uczonego zadzwonił telefon.

— To na pewno z British Museum. Obawiam się, że rozmowa potrwa dłużej. Przepraszam pana, inspektorze.

Lord Mortimer wyszedł z pokoju. Higgins oglądał meble, łóżko, ściany. Zamierzał przejść do garderoby, kiedy zauważył w korytarzu jakąś postać.

— Niech pani wejdzie, panno Lillby. Oszczędzi mi pani czasu. Zechce pani być moim przewodnikiem? Proszę.

Pokojówka otwierała szuflady i drzwi szaf, a Higgins przyglądał się sukniom i ubraniom. W szafie lorda Mortimera odkrył z zachwytem około dwudziestu par butów, w tym czarne, bardzo eleganckie mokasyny.

— O! — zawołał. — Poznaję znawcę. Trzeba umieć cenić dobre buty. To najsolidniejsza podstawa życia. — Troskliwie podnosił trzewiki i odkładał je jeden po drugim. — Też coś... niech pani popatrzy. Nie wierzę własnym oczom. — Przykucnął. — Te buty są o jeden numer mniejsze od innych — powiedział. — Jak pani może to wytłumażyć?

Agata wzięła buty do ręki. Wzruszyła ramionami.

— Najprościej w świecie. Należą do Filipa.

— Czy to pani położyła je na niewłaściwym miejscu?

— Na pewno nie, inspektorze! — zaprotestowała. — Filip jest największym bałaganiarzem, jakiego znam. Pewnego ranka znalazłam w jego pokoju but należący do pani Mortimer. Innym razem pozostawił marynarkę w łazience swego ojca. Ten młody człowiek niczego nie uszanuje.

Higgins podniósł się.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, to Filip Mortimer sam włożył swoje buty między buty ojca?

— Oczywiście... Tu czy tam, jemu jest wszystko jedno. Zabiorę je stąd.

— Nie trzeba. Pozostawmy wszystko tak, jak było. Jest już wystarczająco dużo problemów z przemieszczającą się mumią.

Pokojówka otworzyła szeroko oczy.

— Czy zna pani niejakiego Williama W. Dobelyou?

— To nazwisko nic mi nie mówi — odparła sucho.

— William W. Dobelyou był szefem gangu antykwariuszy, ale być może był jeszcze ktoś wyżej, kto za niego myślał. — Uwagę Higginsa przyciągnął hałas motoru. — Przypuszczam, że to motor Filipa Mortimera?

Agata potwierdziła.

— Nie chciałbym przeszkadzać lordowi Mortimerowi. Pożegna go pani w moim imieniu? Przywitam się z jego synem. Jestem pewien, że ucieszy się ze spotkania ze mną.

— Panie inspektorze... — Pokojówka zamilkła.

— Niech się pani nie obawia. Nic nie powiedziałem lordowi Mortimerowi. Nie było to potrzebne. Ale pani nie była w pełni szczerą i przykro mi z tego powodu. Mam wrażenie, że potrzebuje pani dużych sum pieniędzy i że jest pani gotowa na wszystko, aby je zdobyć. Uważam, że pan Dobelyou musiał mieć współników. Jeśli to nie pani schowała klucz od British Museum w pokoju Filipa Mortimera, może jednak wiedziała pani o jego istnieniu? Mogła pani dać go przestępcy... myślę, że ma pani jeszcze dużo do powiedzenia — przede wszystkim prawdę.

Pozostawiając znieruchomiałą pokojówkę, Higgins zszedł po marmurowych schodach. Powoli poznawał ten wielki dom.

Filip Mortimer ustawiał motor, opierając go o ścianę garażu. Jego ruchy były niepewne. Niewątpliwie wracał ze swojego ulubionego pubu. Słyszając chrzęst żwiru, odwrócił się powoli i zauważył Higginsa.

— To znowu pan, inspektorze... Zamieszkał pan u nas?

— Niezupełnie, panie Mortimer. Los czyni czasem miłe niespodzianki. Miałbym do pana kilka pytań. Nie wprowadza pan motoru do garażu?

— Nigdy. Wszystko ma swoje miejsce. Mój motor nie ma nic wspólnego z rolls-royce'm ojca.

— Czy nie ma pan nic przeciw temu, abym obejrzał pańskie wspaniałe BMW?

Filip Mortimer zmarszczył czoło.

— Zna się pan na motorach?

— Dobry moment, aby się czegoś nauczyć — odparł Higgins, pochylając się nad maszyną, słabo oświetloną ogrodową lampą. — Opowie mi pan o ostatnich chwilach Frances Mortimer? — ciągnął, przyglądając się silnikowi.

— Słucham? — poderwał się Filip.

— Chciałbym, aby opowiedział mi pan o ostatnich chwilach, które pan z nią spędził. Czy podczas jazdy z rezydencji do teatru Barry nic nie mówił?

— Nie, nic.

— Czy podczas spektaklu nie wydarzyło się nic godnego uwagi?

— Nic.

— A co robiliście w czasie przerwy?

— Nic specjalnego... Frances telefonowała do mego ojca.

— Czy wie pan, o czym rozmawiali?

— O niczym szczególnym... Frances musiała poczekać chwilę, ponieważ ojciec kłócił się z Tumberfastem.

— A potem?

— Zaraz po zakończeniu spektaklu Barry zawiózł nas do British Museum. Frances prosiła, bym jej towarzyszył. Z początku odmówiłem, a później...

— Czy często zdarza się panu zostawiać buty w pokoju ojca?

— Pan... pan sobie ze mnie kpi?

Higgins wyprostował się, pozornie zadowolony.

— Bardzo ładny motor. Na takiej maszynie można szybko jeździć. Szkoda tylko, że tak hałasuje. Z tego co wiem, Agata Lillby nie darzyła sympatią pani Mortimer. Czy nigdy nie powątpiewał pan w jej uczciwość?

Filip czuł ogarniający go chłód. Chciał jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

— Nie lubię bawić się w donosiciela, ale w dniu zabójstwa byłem świadkiem szokującej sceny. Było to we wczesnych godzinach rannych. Usłyszałem ostrą wymianę zdań. Wyszedłem z pokoju. Agata prosiła Frances o zaliczkę. Frances mówiła, że to niemożliwe, że trzykrotnie już to akceptowała i że tym razem nie zamierza ustępować. Agata powiedziała wtedy, że Frances i tak nie zabierze tych pieniędzy ze sobą do rajy. Odeszła wściekła.

Z rękami w kieszeniach swego nieprzemakalnego płaszcza, plecami do rozmówcy, Higgins kontemlował rezydencję Mortimerów.

— Dlaczego by nie? Byłoby to niezmiernie dziwne, lecz... Chociaż... dziękuję za pomoc, panie Mortimer. Lepiej będzie, jak pójdzie pan spać. Mamy chłodną noc.

Higgins odwrócił się i znikł w ciemnościach nocy. Filip Mortimer, drżąc z zimna, wszedł do domu, który teraz był dla niego jedynie pozbawioną duszy skorupą.

Rozdział XIV

O wpół do dziesiątej Higgins wszedł do przybudówki British Museum. J.J. Battiscombe siedział na swoim miejscu. Na widok inspektora Scotland Yardu poprawił mundur i czapkę i przyjął sztywną postawę znającego swe obowiązki strażnika.

— Dzień dobry, panie Battiscombe. Zadowolony pan z dziennej zmiany?

— Jak najbardziej, inspektorze.

— Nie dziwię się panu. Nocne stróżowanie to zajęcie bardzo niewdzięczne. Noc pełna jest zagadek, nawet w Europie.

— Na pewno — przytaknął J.J. Battiscombe, nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza Higgins.

Inspektor zauważył termos i filiżankę herbaty na stole obok książki rejestracyjnej.

— Słyszałem, że w Indiach noce są upojne — ciągnął Higgins.

J.J. Battiscombe obciągnął bluzę.

— To zależy — odparł zdławionym głosem.

— Dość długo pan tam przebywał, jeśli się nie mylę?

— Są rzeczy, o których lepiej zapomnieć. Błędy młodości. Nic nie zastąpi starej dobrej ojczyzny.

— Mądre słowa, przyjacielu. Pan, który zna te dalekie strony, być może mógłby mi pomóc.

— Z przyjemnością.

— Czy widział pan w Indiach mumie?

J.J. Battiscombe bezowocnie poszukiwał w pamięci.

— Ja... ja nie spotkałem.

— Czy wiadomo panu, że szef gangu antykwariuszy, William W. Dobelyou, nie tylko przyznał się do kradzieży, lecz podejrzany jest również o zabójstwo? Nie działał sam, to jest pewne. Jego wspólnicy też zostaną postawieni w stan oskarżenia. Można się więc spodziewać, że wilki zagryzą się wzajemnie.

J.J. Battiscombe nie tracił swej trochę zbyt regulaminowej sztywności, ale jego gardło zaciskało się coraz mocniej.

— Czy nigdy nie spotkał pan Agaty Lillby, pokojówki Mortimerów?

J.J. Battiscombe unikał wzroku Higginsa.

— Nie miałem tej przyjemności, panie inspektorze.

— Szkoda. Ona ma ukryte walory... trochę jak pan. Nie będę już dłużej przeszkadzał w pracy, panie Battiscombe. Gdyby miał pan zmienić godziny pracy lub zdecydował się na wcześniejszą emeryturę, proszę mnie uprzedzić.

— Tak... oczywiście, sir.

Pozostawiając strażnika własnym myślom, Higgins wszedł na schody prowadzące na pierwsze piętro. Zatrzymał się w połowie drogi, by zrobić kilka notatek. Kolejny raz stwierdził, że pozornie nieznacząca rozmowa może być źródłem wielu informacji, mniej i bardziej ważnych. Zwłaszcza wtedy, kiedy rozmówca nie ma czystego sumienia.

W przybudówce największego muzeum świata panowała dziwna atmosfera. Puste korytarze, zamknięte drzwi, oprawne tomiska drzemiące w zakratowanych szafach, z dala od zgiełku świata. Uczni i asystenci, jeśli nawet pracowali, nie zakłócali ciszy. Higgins wsłuchiwał się w nią. Próbował sobie wyobrazić, jak czuła się tu Frances Mortimer. Chyba była zagubiona.

Higgins zapukał i wszedł do biura Eliota Tumberfasta. Od ostatniej wizyty inspektora gruntownie się tu zmieniło. Na trzech blatach, opartych na kozłach, rozłożone były ceramiczne skorupy, na czwartym kilka otwartych tomów ułożonych jeden na drugim. Nie ogolony Tumberfast, z rozwichrzonymi włosami, biegał od słownika do skrzynki pełnej kamiennych figurek, od skrzynki do papirusu, od papirusu do przedstawiających zwierzęta amuletów, które na skutek braku miejsca ułożył na podłodze. Jego szalik leżał na alabastrowej wazie, zwinięta w kłębek marynarka — na pojemniku z naczyniami kanopskimi, kask motocyklowy potoczył się pod jeden ze stołów, obok rozbitych ceramicznych czerepów. Ściskając w rękę latarkę, Eliot pochylił się nad długim pasem pokrytym hieroglifami. Nie zauważył przybysza.

Higgins zakaszłał.

— Przykro mi, że przeszkadzam w pracy, panie Tumberfast, ale mam do pana kilka pytań.

— Chwileczkę. Jestem zajęty. — Egiptolog nagle poderwał się na równe nogi. — Nareszcie! Mam go! Niech pan patrzy. — Złapał Higginsa za rękaw i pokazał mu palcem środkową część bandaża mumii. — Te dwa hieroglify... to klucz! Rozumie pan?

— Mam trochę trudności z dokładnym odczytaniem — przyznał Higgins.

Tumberfast raptownie ochłonął. Odłożył latarkę, złożył bandaż i umieścił go w metalowej tubie, którą starannie zamknął. Zadowolenie na jego twarzy ustąpiło miejsca surowości.

— Chwila jest bardziej podniosła, niż pan sobie wyobraża, inspektorze. Wczoraj przyniesiono mi ten zbiór przedmiotów pochodzących z niewielkiego grobu z okresu

Nowego Państwa. Przeczuwałem, że będzie w tym wszystkim coś wyjątkowego... Po szybkiej inwentaryzacji sklasyfikowałem poszczególne przedmioty tak prędko, jak było to możliwe, i natrafiłem na ten bandaż. Egzemplarz szczególnie wyróżniający się spośród reszty. Tym bandażem owinięta była mumia. To jest wyjściowy punkt do teorii ważniejszej niż teoria względności, inspektorze!

— Aż tak? — zdziwił się Higgins, manipulując przy szczątkach glinianego, prymitywnie wykonanego naczynia.

— Egipcjanie posiadli tajemnicę śmierci — stwierdził Tumberfast z mocą. — Mumie odżyją. Lord Mortimer nie chce zrozumieć, że moje teorie mają naukowe podstawy. Kiedyś uda mi się go przekonać. Przyzna, że miałem rację.

— To fascynujące, panie Tumberfast. Czy zdarza się panu używać przy pracy oleju silnikowego?

— Oleju silnikowego? Nie, dlaczego?

— To bez znaczenia. Życzę powodzenia w pracy, panie Tumberfast.

Egiptolog był wyraźnie czymś zaabsorbowany.

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytał Higgins.

— Na pewno nie... Muszę zaraz znaleźć alabastrową wazę, która ściśle wiąże się z bandażem...

— Oto ona — powiedział Higgins, wyciągając cenny przedmiot spod szalika egiptologa. — Dość ładny egzemplarz, jak mi się wydaje. W lekko archaizującym stylu.

Eliot Tumberfast podparł się pod boki.

— Wygląda na to, że posiada pan głęboką wiedzę, inspektorze.

— Wcale nie, panie Tumberfast. Powierzchnowa wiedza i wiele obserwacji. Zmuszony jestem poznać trochę egiptologię, aby móc dowiedzieć się czegoś od mumii, która była świadkiem ostatnich chwil pani Mortimer.

— Cóż za straszna tragedia...

Egiptolog powrócił do swoich zajęć. Higgins wyciągnął z kieszeni anonimowy list, który zaprowadził Scotland Yard do nielegalnego klubu gier Agaty Lillby.

Położył go ostrożnie na jednym z otwartych tomów.

— Zechciałby pan uważnie przyjrzeć się temu dokumentowi, panie Tumberfast?

— Dlaczego? Czy to ma jakiś związek ze mną?

— W pewnej mierze... Wyjaśnię to panu, ale najpierw poproszę o pańską opinię. Taki specjalista w dziedzinie odszyfrowywania jak pan, może mi bardzo tutaj pomóc.

Egiptolog potraktował anonim jak klasyczny papirus. Przyglądał mu się pod różnymi kątami, z lupą i bez, zmieniał oświetlenie, liczył litery.

Na przeczytanie tekstu pozwolił sobie dopiero pod koniec badania technicznego.

— Autorzy tego rodzaju listów są ludźmi zdecydowanie podłymi — powiedział.

— Czy ten godny pogardy dokument rzeczywiście pozwolił panom posunąć śledztwo do przodu?

— W pewnym sensie tak — odparł Higgins. — Jakie są pańskie konkluzje, panie Tumberfast?

— Nic szczególnie ciekawego... Rzeczywiście, w lewym górnym rogu jest ślad oleju silnikowego, ale... — Popatrzył na Higginsa twardym spojrzeniem. — Czy pańskie pytanie o olej znaczyło... że podejrzewa mnie pan o autorstwo?

— Proszę się nie przejmować, panie Tumberfast. Czy nie zauważył pan nic szczególnego w samych literach?

— Od początku mnie zastanawiają. Nie pochodzą z gazety ani z popularnego czasopisma, są... tak, myślę, że znalazłem!

Egiptolog skierował się w stronę półki, na której zgromadzone były roczniki „Journal of Egyptian Archeology”, słynnego brytyjskiego czasopisma poświęconego egiptologii. Gorączkowo przeglądał ostatni tom.

— Niech pan sam spojrzy, inspektorze... to są litery z tego czasopisma. Dziwne... Znaczyłyby to, że ten anonimowy list został zredagowany przez egiptologa!

Higgins złożył dokument i schował go do kieszeni.

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, panie Tumberfast. Zwłaszcza że i pan jest podejrzany o napisanie tego tekstu.

— Ja? To niedorzeczność! Kto mnie o to posądza?

— Panna Lillby, pokojówka Mortimerów.

Po tej rewelacji zapadła chwila ciszy. Tumberfast zastygł w bezruchu.

— Łączyło pana coś z panną Lillby, prawda, panie Tumberfast?

— Tak... ale w jakim celu miałbym wysyłać taki list? Co znajduje się pod tym adresem na Carlisle Street?

Higgins popatrzył egiptologowi prosto w oczy.

— Naprawdę pan nie wie?

— Absolutnie, inspektorze.

— Czy nie jest panu znana pasja panny Lillby? Czy nie wiadomo panu, gdzie bywa w każdy wtorkowy wieczór?

— Nie. Nigdy mi o tym nie mówiła.

Higgins wertował opasłe tomiska.

— Panna Lillby gra w Black Jacka. A pan nie, panie Tumberfast?

— Niecierpię gier. Nie mam zielonego pojęcia ani o tej, ani o innych grach. Agata i ja darzyliśmy się pewną sympatią, to prawda... Nie było to jednak nic poważnego. Każde z nas prowadziło życie niezależne, bez żadnych planów na przyszłość. Spotykaliśmy się na ogół w sobotę, jej dzień wolny od pracy, jednak to od dawna skończone. Agata była zbyt impulsywna, zbyt zaborcza.

Higgins delikatnie dotykał alabastrowej wazy, której matowa biel wyglądała jak podświetlona od wewnątrz.

— Czy jest prawdą, że przyczyną rozstania z Agatą Lillby było pojawienie się pani Frances Mortimer?

Eliot Tumberfast uśmiechnął się smutno.

— Poznając tutaj oszczerstwa Agaty, jej zazdrość... Nie, inspektorze, miałem po prostu dość jej nieznośnego charakteru. Nigdy nie ukrywałem głębokiego podziwu, jakim darzyłem Frances Mortimer, ale nigdy nie pozwoliłbym sobie wobec niej na brak szacunku. Daję słowo.

— Łatwo mogę w to uwierzyć — odparł Higgins. — W przeciwnym wypadku, jak sądzę, reakcja sir Johna Arthura Mortimera byłaby jeszcze gwałtowniejsza. Co do dyskusji, którą odbył pan z nim w wieczór zabójstwa, podobno prawie doszło do bójkii...

Egiptolog manipulował przy skorupach. Jego palce, zbyt nerwowe, traciły zręczność.

— Nie... Nie doszło do tego... Już panu mówiłem, że lord Mortimer jest strasznie uparty... Nie przyjmował nawet niepodważalnych dowodów, potwierdzających moją teorię...

— Czy nie usiłował pan opuścić jego gabinetu?

— Jeżeli próbuje pan coś sugerować, to musi pan wiedzieć, że się go nie boję — zaprotestował Tumberfast, zaciskając pięść, jakby chciał zamienić w proch niewidzialnego przeciwnika. — Będę się bronił do końca. Prawda i tak zwycięży.

Higgins przykucnął.

— Szuka pan czegoś, inspektorze?

— Ciągle nie mogę zrozumieć, jak ta mumia mogła zniknąć i znowu się pojawić w tak tragicznym momencie... Chyba że przyjmę pańską teorię, panie Tumberfast. Miałem jednak okazję obejrzeć mumię w kostnicy i znalazłem ją w opłakanym stanie. Dlaczego ją tak maltretowano? Co się naprawdę wydarzyło? Oskarżać pana, egiptologa, o kradzież, to niepoważne... Ale kto? Ten lub ci, którzy ją ukradli, nie zdołali jej sprzedać... przynieśli ją więc z powrotem do British Museum. Przyzna pan jednak, że wszystko to jest bardzo tajemnicze... Na miejscu złodziei wyrzuciłbym ją raczej do Tamizy. Tak jak rewolwer.

— Jaki rewolwer? — zapytał Eliot Tumberfast.

— Narzędzie zbrodni, oczywiście. Wie pan, niektórzy przypuszczają, że to mumia strzelała.

Oczy egiptologa lśniły dziwnym blaskiem.

— Nie należy sobie kpić z pewnych spraw, które wydają się nam niezrozumiałe. Nie znamy jeszcze wszystkiego, co wiąże się z tajemną mocą mumii.

Higgins wziął do ręki metalową tubę, w której Eliot Tumberfast schował bandaż.

— Czy pan, renomowany egiptolog, dopuszcza aż tak fantastyczną teorię?

Tumberfast znów zaczął się nerwowo kręcić. Przesuwał skrzynie, szukając jakiegoś zajęcia dla rąk.

— Z trudem przychodzi mi dzielić się z panem moimi spostrzeżeniami, inspektorze. Odczytane właśnie teksty, które przez przypadek trafiły w moje ręce, potwierdzają moją hipotezę. Gdyby lord Mortimer pozwolił mi na wykopaliska, na pewno odkryłbym grobowiec wielkiego Imhotepa i uzyskałbym niezbity dowód, którego szukam od lat. On zresztą też jest o tym przekonany, jestem tego pewien. To właśnie dlatego mnie nie cierpi. Gdyby mi się powiodło, stałbym się największym egiptologiem wieku.

Higgins wskazał palcem metalową tubę.

— Czy mogę otworzyć?

— Jak sobie pan życzy — odparł egiptolog obojętnym głosem, pogrążony w marzeniach. — Nikt nie chce mi wierzyć. A przecież jestem pewien, że niektóre mumie żyją.

— Niektóre? — zdziwił się Higgins, z wielką ostrożnością rozwijając rolkę bandaża, podczas gdy Tumberfast rozkładał to, co wcześniej poskładał.

— Nie wszystkie mumie spreparowane zostały w ten sam magiczny sposób. Wyjaśniają to teksty. Ten, który ma pan w rękach, mówi o zmartwychwstaniu serca, to bardzo ważny moment. Jestem przekonany, że mumia wielkiego Imhotepa jest najbardziej oczywistym dowodem moich tez. Jak tylko ją znajdę...

Higgins oglądał bandaże, ale hieroglify, zresztą prawie nieczytelne, nic mu nie mówiły.

— Panie Tumberfast, czy formalnie oskarża pan tę mumię o zamordowanie Frances Mortimer?

Egiptolog znieruchomiał. Ze spuszczonymi oczami i zaciśniętymi ustami wyglądał, jakby staczał wewnętrzną walkę.

— Nie mogę udzielić panu kategorycznej odpowiedzi, inspektorze. Gdybym mógł ją zbadać, zanim ją zniszczono... Pozwalam sobie jedynie prosić pana...

Higgins zwinął bandaż i wsunął do tuby.

— Słucham pana, panie Tumberfast.

— Scotland Yard jest potężny, zgadza się pan z tym? Czy nie mógłby pan pomóc mi uzyskać niezbędne zezwolenia na rozpoczęcie wykopalisk, czego odmawia mi lord Mortimer?

— Chętnie bym panu pomógł, ale obawiam się, że Scotland Yard ma w dziedzinie egiptologii dość ograniczone możliwości. Jeżeli pańska sprawa jest słuszna, to na pewno zwycięży. Prawda jest uparta.

Tumberfast nie ukrywał zawodu.

— Czasem wydaje mi się, że moje wysiłki nigdy nie zostaną zwieńczone sukcesem...

— Niech się pan nie zniechęca — pocieszył go Higgins ojcowskim tonem. — Ja też w trakcie śledztwa mam nierzadko wrażenie, że zupełnie tracę ślad... Porządek i metodyczność pozwalają odnaleźć dobrą drogę. Czy nigdy nie spotkał się pan z jakimś Williamem W. Dobelyou?

Eliot Tumberfast przysiadł na brzegu jednego ze stołów.

— Nie. Nie znam nikogo o takim nazwisku.

— Ten Dobelyou nie jest osobą godną polecenia. Stał na czele słynnego gangu antykwariuszy, który z wielu domów zrabował wspaniałe dzieła sztuki. Scotland Yard podejrzewa go o kradzież mumii i zamordowanie Frances Mortimer.

— Przyznał się?

— Nie, ale mamy przeciwko niemu inny solidny dowód: kolekcję helleńskich monet ukradzionych z pomieszczenia obok gabinetu lorda Mortimera. Jeśli o mnie chodzi, to jestem przekonany, że Dobelyou był tylko wykonawcą, a przywódca szajki pozostaje na wolności. Musi to być ktoś myślący i znający British Museum. Co pan o tym sądzi, panie Tumberfast?

— Nie wiem, inspektorze. Nie przypuszcza pan jednak, że... lord Mortimer?

Twarz egiptologa rozjaśnił niemal radosny uśmiech.

— Nie mam zwyczaju wypowiadać pochopnych opinii, panie Tumberfast. Dalszy ciąg śledztwa pozwoli wszystko dokładnie sprecyzować.

Eliot Tumberfast był zawiedziony. Spodziewał się bardziej ścisłej odpowiedzi.

— Zdziwiłbym się, gdyby lord Mortimer zamieszany był w taką sprawę... To by było zbyt pięknie! W każdym razie, inspektorze, będę walczył! Wiem, że nie chce przedłużyć mi kontraktu. To wielka niesprawiedliwość!

Higgins przybrał współczujący wyraz twarzy.

— Pański zawód to prawdziwe powołanie, panie Tumberfast. Niech pan nie traci nadziei. Gdy ta przykra sprawa zostanie zakończona, chciałbym z panem porozmawiać o egiptologii. Będę miał do pana całe mnóstwo pytań.

— Z przyjemnością, panie inspektorze.

— A, jeszcze taki mały problem. Panie Tumberfast, czy kluczem od pańskiego biura można otworzyć biuro lorda Mortimera?

Egiptolog roześmiał się szczerze.

— Czy wydaje się panu, że mój szanowny zwierzchnik tolerowałby coś takiego? Jego biuro było terenem zastrzeżonym i dobrze chronionym. Samo wejście tam byłoby potraktowane jako poważny błąd zawodowy. Może być pan pewny, że tylko jego klucz otwiera ten zamek.

— To prawdopodobne — przyznał Higgins. — Dziękuję za przyjęcie, panie Tumberfast. Pańskie wskazówki były dla mnie bardzo cenne. Życzę panu powodzenia w karierze zawodowej.

W chwili gdy Higgins zbierał się już do wyjścia, zatrzymał go ostry dźwięk telefonu.

Eliot Tumberfast podniósł skrzynkę, przesunął książki. Nie mógł znaleźć aparatu. W końcu dał nura pod jeden ze stołów. Telefon wciśnięty był pomiędzy dwie wazy. Tumberfast podniósł słuchawkę.

— Tak, to ja... Słucham cię... Jak? Nie, to niemożliwe! I nikt się temu nie przeciwsta-
wił... Nie do wiary! Ja... Sam widzisz, czego się teraz mogę spodziewać... Do widzenia.

Egiptolog odłożył słuchawkę i wyprostował się. Zbladł, zachwiał się i oparł o stół.

— Coś nie w porządku? — zaniepokoił się Higgins.

— Najgorsze, co mogło mi się przydarzyć... Jeden z kolegów właśnie mnie poinformowa-
ł, że sir John Arthur Mortimer został mianowany dyrektorem British Museum.

Rozdział XV

Higgins szedł ulicami Londynu. Było wpół do siódmej, dzień zapowiadał się długi i męczący. Nie starczy mu czasu, żeby spotkać się z nadinspektorem Scottem Marlowem, który oczywiście będzie go poszukiwał i pewnie się wścieknie. Marlow znany był ze swoich napadów złości, które odbijały się na jego podkomendnych. Higgins nie miał jednak wyboru — dopóki nie odbędzie kilku spotkań, nie będzie żadnych postępów w śledztwie.



Malcolm Mac Cullough miał dwie cechy godne uwagi: był Szkotem oraz jednym z najlepszych w Zjednoczonym Królestwie komisarzy aukcyjnych dzieł sztuki. Prowadził za zwyczaj aukcje u Sotheby'ego i cieszył się renomą wybitnego znawcy sztuki starożytnej. Mieszkał w małym domu na południowych przedmieściach Londynu, w otoczeniu rzeźb, waz, steli i niezliczonych starożytności, pochodzących ze wszystkich stron świata. W dni wolne od pracy prowadził dość oryginalny tryb życia: w nocy czytał, pogłębiając wiedzę, a spał w dzień. Najpóźniej o dziewiątej rano kładł się do łóżka.

W chwili gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach, około godziny ósmej, Malcolm Mac Cullough kończył lekturę ośmiuset stronicowego dzieła na temat pochodzenia podstaw aleksandryjskich lamp. W szlafroku z wełny z Highlands, który otrzymał w spadku, skierował się do drzwi, zdecydowany przepędzić intruza.

— Higgins! Drogi stary łajdaku! Cóż cię tu sprowadza o tej porze?

— Chcę cię zapytać o parę rzeczy, jeśli zgodzisz się mnie przyjąć.

Potężnym klepinięciem w plecy Mac Cullough zaprosił kolegę z czasów szkolnych do wejścia. Nie widywali się zbyt często, ale należeli do prawdziwego bractwa, które przysięgło sobie dożgonną przyjaźń. Higginsa raził niekiedy styl wypowiedzi Mac Cullougha, niemniej czuł się naprawdę szczęśliwy w jego towarzystwie.

— Mam jeszcze turecką kawę, która na pewno przypadnie ci do gustu.

Komisarz i przybysz rozgościli się w jednym z pomieszczeń na parterze, wypełnionym rozlicznymi odlewami. Usadowili się na dwóch drewnianych krzesłach.

- Cóż to za przestępstwo znowu popełniłeś? — zapytał Mac Cullough.
- Jedno z najbardziej dziwnych w mojej karierze — odparł Higgins, delektując się kawą. — Ponoć egiptologia nie ma dla ciebie żadnych tajemnic?
- Nie przesadzajmy. Nie jestem specjalistą.
- Czy grobowiec Imhotepa w Sakkarze rzeczywiście jest interesujący?
- Jeżeli znasz jego miejsce, zabierz mnie tam natychmiast. Ten, kto go odkryje, zdobędzie większą sławę niż odkrywca grobowca Tutenchamona.
- A grobowiec Horemheba?
- Ten jest dobrze znany. Chcesz się zapoznać z dokumentacją?
- Chętnie. Jeśli jest dostępna...
- Poczekaj sekundę.

Malcolm Mac Cullough opuścił salon i wszedł na pierwsze piętro, zajmowane przez bibliotekę z kilkoma tysiącami woluminów. Higgins doceniał zorganizowany bałagan tego domu o naukowej atmosferze, niemniej zastanawiał się, jak komisarz może żyć bez pomocy domowej. Nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

Komisarz powrócił z zieloną teczką zawierającą kilka kartek.

- Oto co udało mi się znaleźć. Mam nadzieję, że ci to wystarczy.
- Bez wątpienia. Co myślisz o mumiach?
- Nie mam szczególnej sympatii dla osobników tego rodzaju — odpowiedział Mac Cullough, krojąc cienkie plastry ciasta własnego wypieku.
- Czy sprzedawałeś już jakieś u Sotheby'ego?
- Nigdy. Ten rodzaj towaru nie trafia na aukcje.
- Czy myślisz, że prawdziwa mumia może przedstawiać jakąś wartość dla zawodowych złodziei?

Ciasto było, jak na gust Higginsa, trochę zbyt wypieczone, niemniej miało zupełnie dobry smak.

— Oni się nie interesują mumią, chyba że mają kontakt z nekrofilami lub prywatnymi kolekcjonerami o patologicznych gustach. Doprawdy nie sądzę, aby zawodowy złodziej podjął ryzyko kradzieży mumii. Zbyt wiele problemów z konserwacją i transportem.

— Twoje ciasto to prawdziwe delicje — wtrącił Higgins. — Czy słyszałeś coś o tej mumii skradzionej w British Museum i...

— ... i którą odnaleziono na zwłokach pięknej pani Mortimer. Słyszałem, podobnie jak cała Anglia. Widziałem zdjęcia w prasie. To zabójstwo to prawdziwy skandal. Ta kobieta była całkiem w moim typie.

— Czy znasz jej męża, sir Johna Arthura Mortimera?

— Wielki boss. I ambitny. Wspaniale ustawiony zawodowo. Ma przed sobą dużą przyszłość. Dyrektorowanie w British Museum, a ponadto, prawdopodobnie, kariera polityczna. Niektórzy uważają, że nie jest wybitnym egiptologiem, ale ma wiele uroku i jest doskonałym administratorem.

— A jego asystent, Eliot Tumberfast? Wiesz coś o nim?

— Pobieźnie... Dał się poznać dzięki dwóm czy trzem godnym uwagi wystąpieniom w stowarzyszeniach naukowych. Wybitny młodzieniec, trochę ekscentryczny. Zafascynowany egiptologią. Tłamszony przez zwierchnika. Jeszcze jeden z tych młodych, którzy nie zajdą daleko.

Higgins zgodził się na drugi kawałek ciasta. Chętnie spędziłby u przyjaciela cały dzień, rozprawiając o antycznych brązach, o freskach z Krety lub posągach faraonów. Czekwały go jednak inne spotkania.



Doktor Matthews przyjmował w luksusowym gabinecie w dzielnicy Mayfair. Jego klientela składała się wyłącznie ze znanych osobistości. Jakkolwiek był trochę zaskoczony telefonem ze Scotland Yardu, zgodził się przyjąć inspektora zajmującego się przykrą sprawą Mortimerów. Najbardziej ze wszystkiego doktor Matthews obawiał się skandalu. Na szczęście jego nazwisko nie pojawiło się na łamach pism zajmujących się tym, co w brukowej prasie nazywano zbrodnią mumii.

Lekarz poprosił sekretarkę o listę przyjęć. Najpierw jakiś deputowany partii pracy, którego miał zobaczyć po raz pierwszy, następnie policjant z Yardu, później dwóch starych pacjentów — szkocki bankier i aktor filmowy.

— Przybył pierwszy pacjent — poinformował asystent.

— Proszę, niech wejdzie. Gabinet, w którym przyjmował doktor Matthews, przypominał galerię sztuki. Na ścianach dużego pomieszczenia wisiło ponad sto obrazów namalowanych przez niego samego. Biurko w stylu chippendale, dwa fotele dla pacjentów, kanapa, biblioteka wypełniona pięknie oprawnymi tomami, ogromna kryształowa lampa. Całość tchnęła luksusem i harmonią niezbędną dla dobrego samopoczucia chorych.

Asystent wprowadził pierwszego pacjenta.

— Proszę, niech pan usiądzie, drogi panie — powiedział doktor.

Mężczyzna nie zachowywał się zbyt swobodnie. Matthews znał dobrze ten typ pacjentów: introwertyk, hipochondryk, zamknięty w sobie, do przesady tajemniczy. Pozostawała sprawdzona metoda: szybki atak.

— Co dolega?

— Nic szczególnego, doktorze.

Matthews nie cierpiał takich odpowiedzi. Zrobił surową minę.

— W takim razie... co pana tu sprowadza?

— Jestem ze Scotland Yardu — odparł pacjent, patrząc to na doktora, to na obrazy.

— Ach tak... Jest pan...

— Higgins. Miło mi pana poznać. Jest pan lekarzem rodziny Mortimerów, jeśli się nie mylę?

— Owszem, lecz nie przypuszczam, bym mógł wiele powiedzieć w sprawie dramatu, który tu pana sprowadza.

— Myli się pan — odparł Higgins, podnosząc się. — Pańskie uwagi mogą okazać się bardzo istotne, doktorze. Czy to nie pan jest autorem tych doskonałych obrazów? — Tak naprawdę malowidła wcale się Higginsowi nie podobały.

— Tak... rzeczywiście — odparł Matthews, czerwieniąc się lekko. — Podobają się panu?

— Bardzo — skłamał Higgins, świadomy, że poświęca część swojej prawości dla szlachetnych celów śledztwa. — Jest pan wybitnym obserwatorem przyrody — ciągnął. — Te łąny zboża, mostek na rzece, grzbiet góry... Urzekające.

Doktor chłonał słowa policjanta. Zmieniał swoją opinię co do braku kultury reprezentantów sił porządku publicznego.

— Jestem tylko skromnym amatorem, inspektorze.

— Wierzę, że nieszczęsna pani Mortimer bardzo ceniła pańskie dzieła.

— Nigdy mi nic nie powiedziała — zastanowił się lekarz.

— Była niezmiernie tajemnicza — uspokoił go Higgins. — Z całą pewnością szanowała pańską skromność artysty. Czy nie chorowała ostatnio?

Doktor Matthews spowaźniał.

— Tajemnica zawodowa, inspektorze...

Higgins zatrzymał się przed wyjątkowo kiepskim obrazem kwitnącej wiśni.

— Myślę, że nigdy nie widziałem tak ekspresyjnego drzewa... Pogwałcenie tajemnicy zawodowej nie leży w moich intencjach. Chciałbym jednak poznać pańską opinię. Tak wnikliwy obserwator na pewno zwrócił uwagę na szczegóły, które łatwo mogą umknąć uwagi nawet doświadczonego policjanta. Odwołuję się do pańskiego sumienia i spojrzenia artysty, doktorze Matthews: czy Frances Mortimer cierpiała na jakies szczególne dolegliwości?

Lekarz zastanawiał się. Miał przed sobą kogoś wrażliwego i inteligentnego, człowieka godnego zaufania, który z całą pewnością nie wykorzysta poufnej informacji w nieuczciwy sposób. W gruncie rzeczy ten inspektor ma rację. On, doktor Matthews, jest ważnym świadkiem.

— Dolegliwość... można to i tak nazwać. Raczej rodzaj ułomności. Pani Mortimer nie mogła mieć dzieci.

— Czy ten fakt miał jakiś wpływ na jej stan psychiczny?

— Chwilami... Myślę jednak, że się z tym pogodziła. Tym niemniej przechodziła ostatnio trochę depresyjny okres.

— W związku z czym mogła zdecydować się... na samobójstwo?

Doktor Matthews nie śmiał wypowiadać się na temat tak śmiałej hipotezy.

— Czy myśli pan, doktorze, że pani Mortimer mogła wykorzystywać tę przykrą fizyczną przypadłość do... do utrzymywania pozamałżeńskich stosunków?

— Tego lekarz stwierdzić nie potrafi, inspektorze!

Pełna oburzenia reakcja doktora Matthews'a uświadomiła Higginsowi, że posunął się za daleko. Aby odzyskać łaski, pozachwycił się zachodem słońca.

— Czy w ostatnich tygodniach przed śmiercią Frances Mortimer nie miała jakichś kłopotów? Czy była u pana w tym czasie?

— Tak, wielokrotnie. Rzeczywiście, była bardzo niespokojna. Jej ostatnia wizyta przypada na około dwa tygodnie przed śmiercią, przepisałem jej lekkie środki nasenne, bo źle sypiała.

— Czy później nie radziła się pana, nawet przez telefon?

— Nie.

Higgins usiadł i zapisał coś w czarnym notesie.

— Wydaje mi się, że w dniu poprzedzającym dramat widział pan lorda Mortimera... Miał gripę?

— Tak jest. Wyglądał na zmęczonego, osłabionego. Stwierdziłem atak wirusów. W Londynie panuje ostra grypa. Ale nie miałem wielkich złudzeń. Lord Mortimer nie cierpi lekarstw. Przyjmował jedynie aspirynę. Wyjątkowo zgodził się pozostać przez kilka dni w domu. Pani Mortimer bardzo się niepokoiła zdrowiem męża. Uważała, że za dużo pracuje. Zgadałem się z tą opinią, ale przywoływanie go do rozsądku na nic się nie zdawało.

Higgins zamknął notes.

— Dziękuję bardzo, doktorze, za tę pouczającą konsultację.

★ ★ ★

Przed południem, o wpół do jedenastej, Higgins pchnął bramę rezydencji Mortimerów. Nie była zamknięta. Bez wątpienia zaniedbanie Barry'ego, szofera obciążanego tysiącem niewdzięcznych obowiązków. Inspektor skierował kroki prosto do garażu, gdzie Barry bez pośpiechu polerował chromowane części rolls-royce'a.

— Dzień dobry, Barry. Dlaczego wysłał pan ten anonim do Scotland Yardu?

Struchlały szofer wpatrywał się w podsunięty mu przez Higginsa papier, jakby oznaczał on wyrok śmierci.

— Niech się panu nie wydaje, że jestem Sherlockiem Holmesem, Barry. Jest pan zbyt niezręczny, by nie dać się zdemaskować. Ślady oleju silnikowego w górnym lewym rogu, litery wycięte z „Journal of Egyptian Archeology”, który wyciągnął pan z kosza na śmieci lorda Mortimera... Rola anonimowego informatora może pana drogo kosztować. Nie tak drogo jak zabójstwo, to jasne...

Szofer w końcu zareagował. Cisnął w kąt irchową szmatę i cofnął się, opierając się plecami o ścianę garażu. Twarz zniekształcił mu nerwowy grymas.

— Niewiele jeszcze powiedziałem o tej bandzie dorobkiewiczów... Jak mnie zamkniecie, to wywalę z siebie wszystko.

— Agata Lillby nie dysponuje zbyt wielką fortuną, jeśli się nie mylę?

— Ta już dostała za swoje! Nie podejrzewała, że wiem wszystko o jej konszachtach z innymi służącymi...Ma pecha, bo jedna jej kumpelka jest moją bliską przyjaciółką. Agata nie powinna była mnie rzucać. A teraz wyleci z pracy!

— Zobaczmy, Barry. Ale dlaczego wiązać pasję Agaty Lillby do gier z zabójstwem pani Mortimer?

Szofer nie ruszał się z miejsca, jakby dawało mu ono poczucie bezpieczeństwa.

— Frances Mortimer była kokietką, nikogo nie lubiła... Jej mąż jest pretensjonalnym snobem, przeżytkiem klasy, która wszystkimi pogardza... Ten Filip to nieznośny bogaty smarkacz, pasożyt... To kanalie... Należałoby zlikwidować ich wszystkich...

— Jeszcze raz pytam, dlaczego mieszać Agatę Lillby do tego zabójstwa?

— Nie jestem gliną. Radźcie sobie sami.

— A pan, Barry? Pan jest taki niewinny?

Szofer wojowniczo ruszył w kierunku Higginsa.

— Ja, inspektorze? Czyszczę, zamiatam, wynoszę śmieci, poleruję samochód, zajmuję się ogrodem, jestem niewolnikiem...

— Czy opiekuje się pan także motorem Filipa Mortimera? — przeciął Higgins.

Wytrącony z równowagi Barry milczał przez chwilę.

— Co to, to nie! Z tym maminsynkiem miałbym bez przerwy jakieś problemy. Swojego wspaniałego BMW nawet nie wprowadza do garażu. Zajmuje się nim sam. To nie moja sprawa. Wiadomo panu, że co wieczór się upija? Że kombinuje z bandą złodziei? Wie pan, że ten skąpiec, szanowny lord Mortimer, od dwóch lat odmawia mi podwyżki?

— Wszystko to jest bardzo interesujące — przyznał Higgins. — Niemniej zarzuty, które pan stawia, są dość niejasne. Jeśli ma pan jakieś konkretne podejrzania w sprawie zabójstwa Frances Mortimer, radzę zdobyć się na odwagę i je sprecyzować.

Barry zasepił się.

— Nieważne. Spotkało ją to, na co zasłużyła.

— Wygląda pan na tak dobrze poinformowanego, Barry, że z pewnością będę musiał się jeszcze z panem spotkać. Zastanawiam się tylko, czy cała ta nienawiść nie jest rodzajem zgrabnego alibi. Proszę nie opuszczać Londynu.



Higgins wsiadł do pociągu, rezygnując z obiadu. Byłoby bardzo niestosownie spóźnić się na umówione na piętnastą trzydzieści spotkanie. Jeśli zaś przybędzie na miejsce z pewnym wyprzedzeniem, będzie mógł nasycić się atmosferą otoczenia domostwa, niewidoczną obecnością mieszkańców. Cisza niesie odpowiedzi, których nie da się usłyszeć, kiedy ktoś — winien czy nie — broni swej prawdy.

Higgins wysiadł na małej stacji Lambsworth, na której pociąg zatrzymywał się tylko dwa razy dziennie. W to wczesne popołudnie okolice Sussex poddawały się z wielowiekową rezygnacją drobnemu, siąpiącemu deszczowi. Czekająca na niego bryczka zaparkowana pomiędzy dwoma samochodami. Koń ruszył truchtem i wkrótce opuścili brukowany trakt, wjeżdżając na polną drogę. Podczas gdy bryczka przejeżdżała pod koronami stuletnich dębów, Higginsem wstrząsnęło potężne kichnięcie. Niewątpliwie grypa. Przy każdym pobycie w Londynie padał jej ofiarą. Miłe wiejskie pejzaże stały się nagle mniej pociągające. Zamarzyło mu się wygodne łóżko z rozgrzewającym termoforem i szklane grogu. Najpierw jednak musiał dotrzeć do końca tej polnej drogi i starać się używać odpowiednich słów we właściwym momencie.

Solidny dom otaczały wysokie świerki. Trudno było określić wiek tej stojącej na odludziu trzypiętrowej twierdzy z ciosanego kamienia. Miejsce było z pewnością miłe dla oka w dni słoneczne, lecz mieszkanie tutaj o tej porze roku wymagało pewnego samozaparcia albo też zamiłowania do samotności.

Bryczka się zatrzymała. Woźnica podprowadził Higginsa do wejścia. Inspektorem wstrząsały dreszcze. Atak grypy. Albo może pewna obawa przed czekającym go spotkaniem i koniecznością zadawania pytań emerytowanemu notariuszowi, ojcu Frances Mortimer.

Rozdział XVI

— Już po dziesiątej — burczała Mary. — Grypa! To jeszcze nie powód, żeby się tak długo wylegiwać.

Higgins odczekał, aż Mary wyjdzie z pokoju, i otworzył oczy. Przyniosła skromne śniadanie: herbatę i dwa tosty, cieniutko posmarowane masłem, bez konfitury ani bekonu. Były to środki represji szczególnie niesprawiedliwe. Mary ze swym żelaznym zdrowiem i niespotykaną żwawością nigdy nie wierzyła w choroby Higginsa, tymczasem jego naprawdę zmoęła tęga grypa. Oczy i czoło rozpalone, ciało wstrząsane dreszczami, potworna migrena. Po spotkaniu z ojcem Frances Mortimer ledwo dowlókl się do domu. Droga powrotna z trzema przesiadkami była prawdziwą gehenną.

Gdyby nie to, że nie mógł zostawić tego trudnego śledztwa, zastosowałby najskuteczniejszą terapię — sen. Nie miał jednak wyboru, musiał sięgnąć po szybciej działające środki.

Ponieważ przywołanie Mary nie wchodziło w rachubę, Higgins wstał, włożył na siebie domową kurtkę z wełnianą podpinką i przeszedł do łazienki, której największą część zajmowała kabina z prysznicem, wykładana fajansowymi kafelkami. Higgins nie cierpiał wanien, w których, jego zdaniem, można się tylko rozleniwzić. W czerwonej lakierowanej szafce poszukał tubki „Influenzinum”, które to lekarstwo corocznie przepisywał mu aptekarz od Nelsona. Biorąc pod uwagę sytuację, Higgins zdecydował się na zażycie dwudziestu granulek, w pięciu oddzielnych dawkach. Będzie je popijał naparem z tymianku.

Ostrożnie zszedł dębowymi schodami na parter. Przemierzył holl wyłożony marmurowymi płytami i już miał wejść do swej prywatnej kuchni, kiedy usłyszał za sobą głos Mary.

— Napar podałam w salonie. Proszą pana do telefonu.

Higgins niechętnie powlókł się do kuchni gospodyni.

— Higgins przy telefonie... Ach, Watson! Dziękuję za tak szybką odpowiedź... Wszystko w porządku, dziękuję... a ty?

Watson B. Petticott był jedną z tęższych głów Banku Anglii. Towarzysz szkolny Higginsa, należał do ścisłego klanu dozgonnych przyjaciół. Całe życie żałował, że wybrał karierę w bankowości — jego pasją były dochodzenia policyjne. Odżywał, gdy Higgins prosił go o poufne informacje o kimś podejrzanym.

Higgins słuchał uważnie.

— Jak najbardziej wyjątkowe, Watsonie. Dostarczyłeś mi potwierdzenia i jednocześnie naprowadziłeś mnie na nowy ślad... Byłbyś wyjątkowo cennym nabytkiem w Scotland Yardzie... Proszę? Winny w sprawie Mortimerów? To inna historia... Oczywiście, że cię powiadomię... Tak, przyslij mi proszę dokumenty, które przygotowałeś... Do usłyszenia, Watsonie.

Ledwie Higgins odłożył słuchawkę, kiedy telefon rozdzwonił się na nowo. Ostry dźwięk był zdecydowanie niemiły dla ucha. Inspektor nie żałował, że kategorycznie wykluczył to urządzenie ze swojej części domu. Z niechęcią podniósł słuchawkę.

— Higgins przy telefonie...

— Tu Marlow — zazgrzytało w słuchawce. — Gdzie się pan podziewał, Higgins? Wszędzie pana szukałem! Wreszcie pozwoliłem sobie zadzwonić do domu, pomimo pańskich zakazów.

— No trudno — odparł niezadowolony Higgins. — Ale skoro zło już się stało...

— Musiałem przecież...

— Właśnie miałem do pana dzwonić, nadinspektorze. Czy ma pan coś nowego?

— A pan?

— Nic poza paroma drobiazgami. Musiałem odbyć kilka wizyt, aby wyjaśnić pewne niejasne punkty.

— Jeśli o mnie chodzi, ponownie przesłuchiwałem Williama W. Dobelyou i Indirę Li.

— Marlow był wyraźnie uspokojony skromnymi efektami pracy Higginsa.

— Aha... czy zmienili zeznania?

— Nie, ale wydaje mi się, że teraz wszystko jest jasne. Mamy do czynienia z dość skomplikowanym przypadkiem kradzieży, w którą zamieszana jest rodzina Mortimerów i jej służba. Nie przypuszczam, aby sir John Arthur był z tym związany, pośrednio czy bezpośrednio... Jestem jednak pewien, że pani Mortimer za uczciwość zapłaciła życiem. Odmówiła dalszego osłaniania handlu antykami. Dobelyou wpadł w panikę... I obawiam się, że zabił panią Mortimer z pomocą Filipa. Co pan o tym myśli, Higgins?

— Zbyt długo trzeba by to wyjaśniać przez telefon, nadinspektorze, ale pańska teoria wydaje się interesująca...

— No właśnie, Higgins. Kiedy przyjedzie pan do Londynu, aby pomóc mi zakończyć tę sprawę?

— Mam nadzieję, że jutro...

— Jakież kłopoty?

— Ciężka grypa. Nie odpowiada mi londyńskie powietrze.
— Czy ma pan dobrego lekarza? Może kogoś panu przysłać?
— Wszystko będzie dobrze, nadinspektorze.
— Jeżeli nie zjawi się pan jutro rano, przyślę po pana samochód. Zaczęliśmy razem, Higgins, zakończymy również razem.

— Niech się pan nie obawia, nadinspektorze. Niech mi pan da jeden dzień oddechu. Do jutra w Scotland Yardzie. I proszę... nie telefonować.

Mary weszła do kuchni, w chwili gdy Higgins odkładał słuchawkę.

— Napar będzie zimny.

— Już idę do salonu. Mary. Niech mi nikt nie przeszkadza, pod żadnym pozorem. Mam dużo pracy.

Mary nic nie odpowiedziała. Chcac nie chcąc słyszała obydwie rozmowy i zidentyfikowała rozmówców. Pierwszy z nich, Watson B. Petticott, był bankierem. Higgins na pewno dokonał jakichś chybionych transakcji. Drugi, Scott Marlow, okresowo wciągał Higginsa w atmosferę Scotland Yardu, odrywając go od normalnego życia. Dopóki były główny inspektor nie zerwie definitywnie z policyjnymi sprawami, pełnymi bezeceństw i skandali, dopóty będzie miał same kłopoty. Mary już niejednokrotnie dawała wyraz temu, co sądzi na ten temat. Zostawiając Higginsa jego pracy, zaczęła przyrządzać obiad, co jakiś czas rzucając okiem na swoją ulubioną gazetę, „The Sun”, gdzie na pierwszej stronie donoszono o dwóch okropnych przestępstwach, porwaniu dziecka i napadzie na bank z bronią w ręku.



Higgins czuł się już nieco lepiej. Prawdę mówiąc mała grypka to nic przykrego, przeciwnie — okazja, by zagłębić się w wygodnym fotelu przed kominkiem, ze szklaniczką „Royal Salut” w ręce. Dobrze opatulony, z nogami w ciepłych kapciach, trawił sztukę mięsa w rosole, przygotowaną według francuskiego przepisu, półprzymkniętymi oczami obserwując Trafalgara. Zwinięty w kłębek kot wybrał na swoje legowisko żółtą puchową poduszkę. Mroźna mgła osiadała nad The Slaughterers. Niedługo zapadnie noc. Higgins rozkoszował się absolutną ciszą swego salonu, w którym starannie zamknął wszystkie drzwi, aby uniemożliwić Mary niespodziewane wtargnięcie. Kiedy pograżał się w uzdrawiającej drzemce, doznał dziwnego odczucia. Przed jego oczami pojawiła się twarz Frances Mortimer, taka jak na obrazach jej nauczyciela. Była to tylko przelotna wizja, lecz Higgins wiedział, że nie zaśnie, dopóki nie dokona podsumowania.

— Mamy pracę, Trafalgarze — powiedział do syjamczyka, który nastawił lewe ucho. Spróbujemy to wszystko nieco rozjaśnić.

Wyjął z głębokiej kieszeni żakietu czarny notes, w którym tak wiele zapisywał od początku śledztwa. Nigdy nie przyjmował powszechnie ustalonych opinii i nie zawierał prostym wrażeniom. Starą metodą alchemików, którzy tak często napełniali skarbiec brytyjskich władców, Higgins zbierał fakty, obserwacje i doświadczenia i czekał, aż prawda sama się ujawni. Ta grypa była z pewnością darem niebios. Gdzieżby indziej jeśli nie we własnym domu mógł lepiej oddzielać to, co ważne, od nieważnego?

Zaczął od trzykrotnego przeczytania notatek. W jego pamięci dokonywały się dziwne operacje, w których następstwie każdy szczegół zajmował odpowiednie miejsce. Ten, kto porównałby mózg Higginsa do komputera, uraziłby go głęboko — Higgins posiadał nieprawdopodobną umiejętność analizy, której żadna maszyna, nawet najbardziej doskonała, nigdy nie osiągnie.

— Najważniejsze, Trafalgarze, to zadawać właściwe pytania.

Higgins podszedł do ognia. Na zewnątrz zaczynała się zawierucha. W salonie panowała miła temperatura. Syjamczyk uchylił powiekę, nie zmieniając pozycji.

— Pierwsza zagadka: sama Frances Mortimer. Kim była naprawdę? Godną szacunku kobietą czy uwodzicielką korzystającą z urody, aby siać zamęt? W takim przypadku mógł ją zamordować ktoś zazdrosny, cierpiący tak bardzo, że gotów był zabić tę, przez którą znosił męki.

Trafalgar zamruczał, prostując i ponownie krzyżując łapy.

— Wróćmy do bezspornych faktów, do początku sprawy: zabójstwa dokonano w przybudówce British Museum. Zamieszano w to mumię... chyba że to mumia jest zabójcą, pośrednio lub bezpośrednio. Dlaczego okoliczności kradzieży mumii nigdy nie zostały wyjaśnione? Dlaczego nie udało się zidentyfikować złodzieja? Ponadto jest ten Dobelyou ze swoim gangiem. Aby odważyć się na takie przedsięwzięcie, musiał być dobrze poinformowany. Ale przez kogo? Agata Lillby, Filip Mortimer, sam sir John Arthur, Eliot Tumberfast lub... Frances Mortimer, którą kazano mu zabić, zamykając jej tym samym usta na zawsze? Absolutna konieczność: odtworzyć drogę mumii. Zastanawiam się, czy nie w tym właśnie tkwi klucz do rozwiązania zagadki...

Higgins musiał wstać, aby dorzucić polano do kominka. Ogień palił się równo, drewno trzaskało. Inspektor znów usadowił się w fotelu.

— Widzisz, Trafalgarze, wszyscy z otoczenia Frances Mortimer są raczej inteligentni. Nie kochają się wzajemnie. Niektórzy wręcz się nienawidzą. Dlaczego Frances znalazła się w oku tego cyklonu? Podzieliłem ich na trzy kategorie. W pierwszej są ci, którzy kochali lub podziwiali Frances Mortimer: sir John Arthur, Filip Mortimer, Eliot Tumberfast, stary nauczyciel. W drugiej ci, którzy jej nie cierpieli: pokojówka Agata Lillby, szofer Barry. W trzeciej Dobelyou, który jak się wydaje, nigdy jej nie spotkał, i J.J. Battiscombe, strażnik, który nie wyraził na jej temat żadnej opinii.

Trafalgar, jak gdyby przeczuwając, że Higgins zbliża się do zasadniczego punktu rozważań, zmienił pozycję i ułożył się jak sfinks.

— Dobelyou, Filip Mortimer, Agata Lillby, Barry i J.J. Battiscombe nie mają żadnego solidnego alibi. Lord Mortimer i Eliot Tumberfast nie mogli być na miejscu zbrodni, podobnie jak niedołączny nauczyciel Frances Mortimer. Możliwe jednak, że wszyscy oni, w taki czy w inny sposób, byli związani z gangiem złodziei. A może nawet jeden z nich stał na jego czele.

Syjamczyk wysunął i schował pazury.

— Tak, wiem, zapomniałem o kimś... mała Indira Li, „asystentka” Dobelyou. No cóż, chciałem ją wyciągnąć z tej sprawy. Ale ona też znajdowała się w przybudówce British Museum, kiedy popełniono zbrodnię. No i nie mogę pozwolić, aby mi mydlono oczy...

Higgins szczególnie lubił tę chwilę, kiedy kontury się zacierały, kiedy niebo i ziemia zlewały się w jedno — początek nocy zapowiadający światło następnego dnia.

Świt miał sens tylko w połączeniu z ciemnością. Podobnie było ze śledztwem, kiedy należało wczuć się w duszę zabójcy, poddanej straszliwej presji ciemnych mocy. Higgins nigdy nie mógł się do tego przyzwyczaić. Przechodząc na wcześniejszą emeryturę, miał nadzieję uciec od świata Scotland Yardu. Jakież jednak uczciwy profesjonalista miałby czyste sumienie, godząc się na bezkarność zabójcy Frances Mortimer?

— Najpierw trzeba, Trafalgarze, starą wypróbowaną metodą przyjrzeć się bliżej tym którzy skłamałi. Kto ukrywa małe sprawy, ma często i duże za uszami... Agata Lillby kłamała, opowiadając o swych zajęciach w wieczór zabójstwa. J.J. Battiscombe kłamał, mówiąc o tym, co robił na posterunku tej nocy. Filip Mortimer kłamał, nie wyjawiając wszystkiego. Szczególna trójca... Filip Mortimer kochał Frances, Agata jej nie cierpiała, Battiscombe był neutralny... Wszyscy z tej trójki mają bezpośredni związek z kluczem do drzwi gabinetu, w którym zamordowano Frances Mortimer. Filip Mortimer posiadał drugi klucz od tego pokoju, Agata Lillby na pewno wiedziała o jego istnieniu, a J.J. Battiscombe miał dostęp do szafki, gdzie znajdował się klucz zapasowy. Pozostaje jeszcze... mumia i handel antykami. Krzyżuje się wiele śladów, Trafalgarze. Zabójca musiał działać na wielu płaszczyznach, przechodząc z jednej na drugą, udając kogoś, kim nie jest, zakładając odpowiednią maskę w odpowiednim momencie.

Syjamczyk nie spuszczał oczu ze swego pana. Higgins był przekonany, że kot jest zwierzęciem pozwalającym swemu towarzyszowi — nie panu, jako że kot nigdy nikomu się nie podporządkowuje — na uruchomienie intuicji. Higgins nie rozumiał zresztą, dlaczego w Scotland Yardzie nie trzymano kotów.

— Przeanalizujmy teraz charaktery, Trafalgarze. Sir John Arthur Mortimer: wyniosły i ujmujący jednocześnie, ambitny, zawzięty, łaknący władzy, pewny siebie, dbający o swą godność w stopniu nie pozwalającym na okazywanie bólu. Filip Mortimer: gwałtowny, niestały, do szaleństwa zakochany we Frances. Eliot Tumberfast: porywczy, impulsywny, nadwrażliwy mistyk, człowiek o prawdziwym powołaniu naukowym. Agata Lillby: burzliwy temperament, skrywany w godzinach pracy, hazardzistka, żadna pie-

niędzy. Barry: zbuntowany, sfrustrowany anarchista, lecz także tchórz, który nie waha się szkalować otoczenia. J.J. Battiscombe: strachliwy, zawiedziony życiem urzędnik, pod mundurem ukrywający mściwość. Dobelyou: złodziej, który potrafi być wulgarny i pretensjonalny, aby zapomniano, że zebrał bogactwo i handlował z możnymi tego świata, a jednocześnie ostrożny. Nauczyciel Frances Mortimer: idealista, który znalazł swą boginię, lecz także trochę obleśny starzec, anioł i bestia w jednej osobie. Indira Li: miła młoda kobieta, ale złodziejka, która potrafi wykorzystywać swą urodę. Takimi się nam jawią, Trafalgarze. Ale to tylko szata zewnętrzna...

Syjamczyk wyprostował łapy, przeciągnął się, zszedł z poduszki, z gracją wykonał parę kroków i wskoczył na kolana Higginsa, który delikatnie pogłaskał go po głowie. Trafalgar zamruczał.

— Oczywiście, powód zabójstwa... Kradzież? Zbrodnia w afekcie? Wyrachowanie? Tragiczna pomyłka? Samobójstwo z pozorami zbrodni? A może coś zupełnie innego... Odpowiedź mamy w rękach, Trafalgarze.

Na ostatnich stronach notesu poświęconego sprawie Mortimerów Higgins wypisał wszystko to, co przed nim ukryto, a co mimo to znalazł; odpowiedzi, których mu nie udzielono, a które powinien był otrzymać; pominięcia tak wielkie, że stawały się kłamstwami; drobne szczegóły, które, złożone, okazywały się rewelacją. Z całej tej łamigłówki, z tego tygla alchemika powinno wyłonić się nazwisko zabójcy.

Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Każda z wymienionych osób znalazła miejsce w narysowanej przez Higginsa tabeli. Połączone były między sobą strzałkami według swoich sympatii lub antypatii. Oczywiście, trzeba jeszcze dorzucić kilka uściśleń, sprawdzić parę szczegółów pod kątem ostatnio zebranych informacji. Ale i to nie dawało żadnego ostatecznego obrazu. Wszystko było przed jego oczami, a on nic nie widział.

Powoli przesunął palcem po kolejnych nazwiskach, od góry do dołu i z dołu do góry, i od nowa. Nagle poczuł, że Trafalgar gryzie go lekko w lewą rękę. Może się Bóg wie na co rozzłościł, a może... chciał zwrócić uwagę na nazwisko znajdujące się w tej chwili pod palcem byłego głównego inspektora.

— Byłoby to nadzwyczajne, Trafalgarze, ponieważ trzeba by...

Samopoczucie Higginsa znacznie się poprawiło. Doznał olśnienia. Kawałki mozaiki zaczynały do siebie pasować. Wszystko się zgadzało.

Inspektor poczuł, że teraz może sobie pozwolić na kroplę „Royal Salut”. Znał już nazwisko zabójcy Frances Mortimer.

Rozdział XVII

Rano, około godziny jedenastej, osłabiony jeszcze gorączką Higgins wszedł do budynku przy Haymarket. Przy tej starej ulicy tłoczyły się małe sklepiki, kioski z pamiątkami i warsztaty rzemieślników o wątpliwych gustach. Higginsa dziwiło, jak klasyczny „Burberry” i „Friburg & Treyer”, najstarsi sprzedawcy tytoniu w stolicy, mogli przetrwać w takim otoczeniu.

O ile zewnętrzna część budynku była w opłakanym stanie, o tyle wewnątrz było luksusowe. Wyciszona atmosfera, u podnóża schodów kandelabry, najnowocześniejsza winda. Trzy piętra zajmowała agencja, „Top-Model”, której adres Higgins znalazł na wizytówce zabranej dyskretnie z pokoju 215 hotelu „Bellevue”, zamieszkanego przez nauczyciela Frances Mortimer. Budując pewne teorie, przyszedł tutaj, aby je sprawdzić.

Biura agencji znajdowały się na pierwszym piętrze. Higgins zrezygnował z windy i poszedł schodami. Drzwi były bogato zdobione złoceniami i rzeźbionymi w stiuku aniołkami. Otworzyła mu powabna osoba płci pięknej, ubrana w kostiumik koloru jesiennych liści. Obdarzyła Higginsa czarującym uśmiechem.

— Czy jest pan umówiony?

— Właściwie nie, ale...

— To nie ma żadnego znaczenia, drogi panie. Zaprowadzę pana do błękitnego salonu, gdzie pani Topyy pomoże panu przestudiować nasze propozycje.

Higgins stropił się nieco, jednak poczucie obowiązku nie pozwalało mu się wycofać, zanim uzyska konkretne rezultaty. Rozejrzał się po błękitnym salonie, urządzonego z wielkim smakiem. XVIII-wieczne francuskie ryciny na ścianach przedstawiały rozlewniwe młode dziewczęta w onirycznych krajobrazach. Pani Topyy siedziała za intarsjowanym biurkiem.

— Miło mi pana powitać w naszej agencji, drogi panie. Czy mogę poznać pańskie dezyderaty?

Higgins wolał stać. Nie kusiła go kanapa z epoki Ludwika XV.

— To trochę skomplikowane, droga pani...

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Przyzwyczajona była do trudnych klientów o skomplikowanych gustach.

— Czy nie rzuciłby pan okiem na ten zeszyt? Otworzyła duży album oprawiony w płową skórę. Zręcznie przewracała strony, pozostawiając gościowi przyjemność przeglądania fotografii. Przepiękne młode kobiety, ubrane w stroje wieczorowe, w dość konwencjonalnych pozach. Higgins pozostawał niewzruszony.

— Nie znajduje pan nic interesującego? — zaniepokoiła się pani Toppy.

— Jestem nieco zakłopotany... — przyznał Higgins. — Jak by to powiedzieć...

Dyrektorka agencji zamknęła album.

— Czy nie jest pan przypadkiem... organizatorem widowisk, lub czegoś w tym rodzaju? — zapytała.

— Tak, to właśnie to — przyznał Higgins z pokrępiającym uśmiechem. — Poszukuję dawnej współpracownicy, bardzo zdolnej, którą straciłem z oczu. Mówiono mi, że wasza agencja skupia najlepsze aktorki Londynu. Mógłbym wiedzieć, czy ta dama nie pracuje u was?

Higgins położył na biurku pani Toppy zdjęcie. Portret. Dyrektorka agencji przyglądała się uważnie.

— Raczej nie... ale coś mi to mówi. Spektakle, które pan organizuje, mają charakter raczej... prywatny?

— Jak najbardziej — zapewnił Higgins.

Twarz pani Toppy rozjaśnił błysk zrozumienia. Wyjęła z szuflady inny album, wertowała go chwilę, wreszcie zadowolona zatrzymała się i pokazała fotografię młodej osoby, zupełnie nagiej. Kobieta leżała na kanapie, nie kryjąc swoich wdzięków. Z uwagi na dobro śledztwa Higgins musiał dokładnie się jej przyjrzeć.

— Czy to właśnie pańska współpracownica? — zapytała pani Toppy.

— Tak, to ona, rzeczywiście. Czy jest obecnie wolna?

— Na pewno uda się to załatwić, drogi panie. Zacznijmy może od rozmowy o należności agencji za pośrednictwo.

★ ★ ★

Higgins wstąpił do apteki, gdzie musiał załatwić parę niezbędnych zakupów, później wsiadł do taksówki i pojechał do Scotland Yardu.

Kiedy wszedł do biura nadinspektora, Scott Marlow walczył właśnie ze stosem sprawozdań wykazujących błędy w funkcjonowaniu sieci komputerowej. Wydawało się, że ma nie najlepszy humor.

— Higgins! Nareszcie! Co pan odkrył?

Higgins był lekko urażony, że nadinspektor ani słowem nie zapytał go o zdrowie. To właśnie takimi drobnymi szczegółami różnią się ludzie.

— Zapraszam pana do teatru, nadinspektorze.

— Słucham?

— Grana jest obecnie sztuka, którą powinniśmy obejrzeć. Chciałbym wiedzieć, co pan o niej sądzi.

— To bardzo miłe z pana strony, Higgins, ale...

Scott Marlow nie był wielkim amatorem rozrywek kulturalnych. Większość wieczorów spędzał w Yardzie, czuwając nad bezpieczeństwem Zjednoczonego Królestwa.

— Spotkamy się o dziewiętnastej w „Lyric Hammer-smith” na King Street. Pewien jestem, że nie będzie pan żałował tego wieczoru.

Nie było łatwo oprzeć się Higginsowi.

— Jak pan uważa... Jaki jest tytuł sztuki?

— *Zbrodnia i kara*.



Higgins i Marlow zajęli miejsca w drugim rzędzie. Nadinspektor uważał, że fotel jest zbyt twardy, nie rozumiał przedstawienia i zupełnie nie podobała mu się gra aktorów.

— Ależ, Higgins — mruzczał do ucha kolegi — po co pan mnie tu przyprowadził?

— Niech pan poczeka do następnej sceny... Służąca...

Obydwaj mężczyźni mogli wymieniać opinie bez obawy przeszkadzania sąsiadom. Przedostatnie przedstawienie *Zbrodni i kary* nie było dochodowe. Na sali było nie więcej niż pięćdziesięciu widzów.

Pokojówka pojawiła się na scenie nie dłużej niż na dwie, może trzy minuty i nie wypowiedziała żadnego słowa.

— Fascynujące — komentował Higgins.

— Co takiego? — zaniepokoił się nadinspektor.

— Ta pokojówka... Nikogo panu nie przypomina, nawet z tym makijażem?

— Nie... A kogo miałyby mi przypominać? Higgins pokazał Marlowowi fotografię, którą posłużył się wcześniej w agencji „Top-Model”. Nadinspektor szeroko otworzył oczy.

— No nie, myśli pan, że naprawdę... Ach tak, być może... Ale w tym uczesaniu... Więc przypuszcza pan, że ona...

— Bez pochopnych wniosków — doradzał Higgins. — Do nas należy teraz możliwość wykorzystania tego zrzędzenia losu.

— W jaki sposób?

— Będzie to na pewno zaskakujące, lecz nie wątpię w skuteczność tego eksperymentu. Pod warunkiem że mi pan pomoże, nadinspektorze.

Marlow poruszył się niespokojnie. Nigdy nie czuł się zbyt pewnie, kiedy Higgins o coś go prosił. Były główny inspektor miał czasem wymagania z pogranicza legalności.

— Zastanowię się nad pańską propozycją, Higgins, lecz chciałbym znać...

— Nazwisko zabójcy?

— No tak...

— Mam poważną hipotezę, nadinspektorze, lecz nie chciałbym panu niczego sugerować. W ciągu najbliższych godzin najważniejszy będzie dla mnie pański obiektywizm i trzeźwe spojrzenie.

— No tak. — Marlow lekko wypiął pierś.

— Nie będzie łatwo zmusić zabójcę Frances Mortimer do przyznania się. Proponuję panu zebrać wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z tą sprawą.

— Generalna konfrontacja... — zaniepokoił się Scott Marlow. — A propos, mam wyniki z laboratorium... dotyczące rewolweru, pozostałości, które znalazł pan w kominku sir Mortimera, oraz ziemi zebranej z okolic domu. Nic rewelacyjnego... chce pan przeczytać wyniki?

— Oczywiście.

Zbliżył się bileter w smokingu.

— Przepraszam panów — powiedział. — Widzowie się skarżą... te rozmowy...

— Mają zupełną rację — odpalił nadinspektor. — To przedstawienie jest marne. Wolimy stąd wyjść. Chodźmy, Higgins.

Wyjście policjantów nie odbyło się zbyt dyskretnie, towarzyszyły mu gwizdy publiczności. Higgins nie lubił zwracać na siebie uwagi, ale Marlowowi wcale to nie przeszkadzało.

— Wracajmy do Yardu — zaproponował. — Wyjaśni mi pan pańskie zamiary i wypijemy herbatę.

— Przepraszam, nadinspektorze, lecz chciałbym skorzystać z pańskiego służbowego samochodu. Przeprowadzimy mały eksperyment.

— Ach tak? Jaki?

W prawej ręce Higginsa pojawił się kieszonkowy zegarek, wspaniały zabytkowy egzemplarz. Marlow popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Nie ma sekundnika...

— Nie szkodzi — powiedział Higgins. — Wystarczą minuty. Chciałbym przejechać ostatnią trasą pani Mortimer.

Scott Marlow prowadził. Z King Street pojechał do rezydencji Mortimerów, stamtąd do National Theatre, a następnie do przybudówki British Museum. Dla ostatecznej weryfikacji chronometrycznej Higgins poprosił Marlowa, aby powrócili do pierwotnego punktu.

Jechali w kierunku Scotland Yardu, kiedy zaświeciła się lampka radiotelefonu.

— Tutaj Marlow, słucham... Kto?... Nie? Jadę. Nie, nie do Yardu. Prosto na miejsce, jestem niedaleko...

Odwiesił słuchawkę i zawrócił.

— Zwrotny moment w śledztwie, drogi Higginsie. Filip Mortimer zniknął.

Rozdział XVIII

Higgins i nadinspektor Scott Marlow przybyli do rezydencji Mortimerów o dwudziestej pierwszej piętnaście. Agata Lillby wypatrywała ich przez okno.

— Lord Mortimer czeka na panów w swoim gabinecie. Higgins zauważył, że pomimo źle ukrywanego, zdenerwowania Agata Lillby z zaczesanym poprawnie kokiem na nowo stała się nienaganną pokojówką. Prowadziła policjantów spieszonym krokiem.

Po wymianie okolicznościowych uprzejmości lord Mortimer poprosił gości, by usiedli.

— Proszę panów, nie widziałem syna od przedwczoraj rana. Ostatniej nocy nie spędził w domu. Zdarzało się już to w przeszłości, lecz miał zwyczaj mnie uprzedzać. Dziś nie było go na kolacji. Czekałem do wieczora, lecz teraz zaczynam się niepokoić. Uznałem, że należy powiadomić Scotland Yard.

— Miał pan całkowitą rację, sir — wtrącił Marlow.

— Nie domyśla się pan, gdzie mógł się udać? — zapytał Higgins.

— Dzwoniliśmy na strzelnicę, a Barry'ego wysłałem do jego ulubionego pubu. Jego przyjaciele nic o nim nie wiedzą.

— Niech się pan nie obawia, sir — zapewnił Scott Marlow. — Szybko go odnajdziemy.

— Proszę bez wahania dzwonić do mnie o każdej porze, nadinspektorze. Myślę, że nie będę spał tej nocy.

Scott Marlow nerwowo prowadził samochód.

— Nie chciałem za bardzo niepokoić lorda Mortimera — zwrócił się do Higginsa — ale myślę, że mamy dowód winy jego syna... Uciekł, nękany wyrzutami sumienia.

— Możliwe — odparł Higgins. — Chyba że został zlikwidowany jako niewygodny świadek.

— To byłoby straszne! Cóż za skandal... Ale komu mogłoby zależeć na tym, żeby niszczyć rodzinę Mortimerów?

— Możliwe też, że Filip Mortimer rzeczywiście uciekł... ale z przyczyn, które znane są tylko jemu. Przeczuję, że raczej takiego właśnie rozwiązania należy się spodziewać.

— W takim razie trzeba natychmiast rozpocząć poszukiwania. Musimy go jak najprędzej odnaleźć.

— Czy mógłby pan wstrzymać się z tym do jutrzejszego wieczora, nadinspektorze? Marlow zatrzymał się na czerwonych światłach. Zwrócił się do Higginsa.

— Dlaczego, Higgins? Pan coś przede mną ukrywa.

— Ależ nie, nadinspektorze. Mam tylko pewne przypuszczenia, gdzie może przebywać Filip Mortimer. Jeśli się sprawdzą, przyprowadzę go panu jutro wieczorem.

★ ★ ★

Higgins skinieniem głowy pozdrowił właścicielkę hotelu „Bellevue” i przeszedł obok niej, nie zatrzymując się. Była ósma rano. Udał się prosto do pokoju 215.

Malarz jak zwykle leżał na swym nędznym łóżku, z nogami przykrytymi kocem. Obok łóżka stały sztalugi przykryte białym prześcieradłem. W pokoju nic się nie zmieniło.

— Nie zajmę panu dużo czasu — powiedział Higgins. — Od ilu lat nie może pan chodzić?

— Od pięciu... Potrzebuje pan dowodów? Chce pan adres mojego lekarza? Chce pan poznać historię choroby?

— To już zrobiłem — odparł Higgins. — Potrzebuję pańskiej pomocy. Przypuszczam, że pragnie pan, aby zabójca Frances Mortimer został ukarany?

Starzec uniósł się i patrzył na Higginsa płonącymi oczami.

— Czy zidentyfikowaliście już tego potwora?

— Aby to zrobić, będę potrzebował jednego z pańskich obrazów. Czy sprzeda mi go pan?

★ ★ ★

Elektroniczny zegar ścienny w biurze nadinspektora Marlowa wskazywał godzinę siedemnastą trzydzieści. Jeśli Higgins nie pojawi się do osiemnastej, Marlow zmuszony będzie użyć wszelkich dostępnych mu środków. Sir John Arthur telefonował do niego wczesnym popołudniem. Nadinspektor zapewnił, że Scotland Yard robi wszystko co możliwe, aby odnaleźć Filipa Mortimera.

Higgins wpadł do Scotland Yardu rano, o ósmej czterdzieści, zostawił jakąś paczkę i odjechał służbowym samochodem z szoferem, za zgodą nadinspektora, nie podając żadnych szczegółów poza wyjaśnieniem: „Jadę na kontrolę”. Oprócz „dzień dobry” i „do wieczora” nie powiedział nic więcej. Marlow nie odważył się o nic pytać. Kiedy Higgins był tak skoncentrowany, nie należało mu przeszkadzać.

Nadinspektor niepokoił się coraz bardziej. Sprawa Mortimerów zaczynała przybierać niemiły obrót, owiana atmosferą skandalu, który, jak łatwo można było sobie wyobrazić, mógł obrócić się przeciwko policji. Scott Marlow musiał już uspokajać redaktorów trzech ważnych gazet: czyż nadinspektor nie obiecał szybkiego aresztowania winnego?

O siedemnastej pięćdziesiąt pięć nadinspektor przygotował się do zaalarmowania służb odpowiedzialnych za poszukiwanie zaginionych. W chwili kiedy podnosił słuchawkę, do biura wkroczył Higgins.

— Ciężki dzień, nadinspektorze. Jakże ja nie lubię podróżować... ponadto drapie mnie w gardle, co nie wróży nic dobrego.

Scott Marlow podniósł się sztywno.

— Czy znalazł pan Filipa Mortimera?

Higgins usiadł.

— Tak, nadinspektorze.

— No i... gdzie on jest?

— U siebie, w swoim pokoju.

— Ale... gdzie był?

— W jedynym miejscu, w którym logicznie mógł się znaleźć, nadinspektorze. Były tylko trzy możliwości: albo Filip Mortimer popełnił samobójstwo, albo go zlikwidowano, albo gdzieś się schronił. W tym ostatnim przypadku niezbędna była pilna interwencja. Obecność Filipa Mortimera jest konieczna przy generalnej rekonstrukcji wydarzeń.

— No dobrze, Higgins, ale gdzie się w końcu ukrywał Filip Mortimer?

— No jakże, nadinspektorze... w Sussex, u ojca Frances Mortimer.

★ ★ ★

Higgins i Scott Marlow spędzili wieczór na przygotowaniach do rekonstrukcji przestępstwa, zaplanowanej na następny dzień. Nadinspektor miał zawiadomić wszystkie zainteresowane osoby. Wyraził kilka zastrzeżeń, kiedy Higgins przedstawił mu swoją strategię, ale w końcu, nie mając lepszego pomysłu, wyraził zgodę.

Marlow zapowiedział, aby im nie przeszkadzano, chyba że zaszłoby coś nagłego, więc gdy zapukano w szklane drzwi biura, otworzył je z wściekłością.

— Co się stało?

— Telefon do inspektora Higginsa. Pilny i osobisty. Rozmówca nie chciał wyjawiać nazwiska. Dodał jedynie, że dotyczy to sprawy Mortimerów.

— Proszę przełączyć do mojego biura.

Higgins wziął słuchawkę. Po chwili powiedział: „Przyjeżdżam”.

— Kto to był? — zapytał Marlow, obawiając się nowych komplikacji.

— J.J. Battiscombe. Ma mi coś do powiedzenia.

★ ★ ★

Strażnik umówił się z Higginsem w pubie „Museum Tavern”, znanym ze swojej kolekcji parasoli. Higgins zobaczył go przy stole, przed kuflem ciemnego piwa. Strażnik miał na sobie lekko znoszony, popielaty dwurzędowy garnitur.

— Dobry wieczór, panie Battiscombe. Chciał pan ze mną rozmawiać?

J.J. Battiscombe wypił łyk piwa. Bez munduru utracił całą pewność siebie.

— Inspektorze, wydaje mi się, że podejrzewa mnie pan o ciężkie przestępstwa...

— Jest pan byстрыm obserwatorem, panie Battiscombe. Czy mam przez to rozumieć, że chce pan złożyć zeznania?

Strażnik znowu pociągnął łyk.

— Przypomniał mi się pewien szczegół, inspektorze... Myślałem, że może to pana zainteresować.

— Tak to jest z pamięcią — skomentował Higgins. — Zdarza się, że zawodzi nas czasem w ważnych chwilach... Co to za szczegół?

— Jakiś czas temu do British Museum przyszedł pewien człowiek. Chciał wiedzieć, czy pani Frances Mortimer przychodziła czasem do budynku administracyjnego, a jeżeli tak, to kiedy. Oczywiście odmówiłem mu udzielenia informacji. Mówił, że pracuje w prywatnej agencji detektywistycznej. Zażądałem oficjalnego dokumentu. Pokazał mi wizytówkę.

— Czy zatrzymał ją pan?

— Nie. Nie chciał mi jej zostawić. Ale zapamiętałem: „Agencja Holmes”, Greek Street.

Higgins podniósł się. J.J. Battiscombe nie wykonał żadnego gestu, aby go zatrzymać.

— Inspektorze... Mam nadzieję, że doceni pan...

— Oczywiście, panie Battiscombe.

★ ★ ★

Higgins udał się do rezydencji Mortimerów przed południem. Agata Lillby wprowadziła go do dużego salonu. Poprosiła, by poczekał kilka minut, jako że sir John Arthur przyjmował dwie osobistości ze świata kultury. Higgins zgodził się uprzejmie, szczęśliwy, że będzie mógł podziwiać do woli wspaniałą stelę egipską z czasów Średniego Państwa i obraz z okresu włoskiego renesansu, przedstawiający młodą kobietę na balconie.

Kiedy kwadrans później pokojówka zaprowadziła go do lorda Mortimera, nowy dyrektor British Museum nie krył zaniepokojenia.

— Mam nadzieję, że nie przynosi mi pan złych wiadomości, inspektorze. Filip jest załamany. Nie chciał nic mówić o swej ucieczce.

— Niech pan będzie spokojny. Nic złego. A najpierw niech pan pozwoli, że złożę mu gratulacje z okazji nominacji. Z zainteresowaniem przeczytałem w „Timesie” artykuł o pańskiej karierze.

— Dziękuję, inspektorze. Mam nadzieję, że będzie pan obecny na przyjęciu wydawanym z tej okazji przez muzeum.

— Będzie to dla mnie wielki zaszczyt.

— Zaprosiłem również nadinspektora Marlowa, który z kolei wzywa mnie jutro po południu na rekonstrukcję zbrodni. Przyznam, że przeżywać ponownie te zdarzenia...

Higgins przechadzał się po gabinecie, niezmiennie zainteresowany wielkimi słownikami hieroglifów.

— Bardzo przykry obowiązek, sir. Nadinspektor jest do tego zmuszony. Możliwe, że ta rekonstrukcja nie wniesie żadnych nowych elementów, niemniej przyda się do uściślenia pewnych szczegółów. Przykro mi, że zakłócamy panu spokój, sir...

Sir John Arthur doskonale potrafił ukrywać swe troski, lecz Higgins, dzięki długiemu doświadczeniu, potrafił obserwować ludzi, nie dając się wprowadzać w błąd pozorom.

— Pozwoliłem sobie niepokoić pana, sir, z uwagi na ciekawe zdarzenie, mogące wpłynąć na śledztwo.

— Filip...

— Nie, nie dotyczy to pańskiego syna. Strażnik budynku administracyjnego J.J. Battiscombe powiedział mi o spotkaniu z prywatnym detektywem, pracownikiem agencji „Holmes”. Podał mi adres, który był na wizytówce tego pana. Byłem tam. Nie znalazłem żadnej agencji, był tam jedynie kabaret w nie najlepszym stylu. Ten detektyw skłamał, w tym nic dziwnego — dziwi natomiast fakt, że ktoś prowadził dochodzenie w sprawie pańskiej żony, Sir John.

Arthur westchnął.

— Tak jest, inspektorze. Wiem, o co chodzi. Ja sam prosiłem o poprowadzenie tej sprawy w agencji „Christie’s and Sons”. Dochodzenie to nie właściwy termin... tak naprawdę to chronilem Frances.

— Czy groziło jej niebezpieczeństwo?

— Nie bezpośrednio... Być może miał pan rację. Niewątpliwie to ja miałem zginać. Bałem się o nią.

— Czy grożono panu, sir?

— Groźby to dużo powiedziane, inspektorze. Powiedzmy, że moja kariera prowokowała do zazdrości. Był jakiś anonimowy telefon, którego nie potraktowałem poważnie. Natomiast Frances bardzo się denerwowała, obawiała się. Nie chciała, bym się narażał. Środowiska naukowe nie należą do najbardziej delikatnych.

Higgins wyglądał na zakłopotanego.

— Powinien był pan wcześniej powiedzieć mi o tym telefonie i ochronie, sir.

— Nie pomyślałem — odparł uczyony, nie okazując najmniejszego zakłopotania.

— Te detale wydają mi się dzisiaj tak mało znaczące.

— Rozumiem pana, sir. No, ale przynajmniej jeden punkt jest wyjaśniony. A więc do jutra.



Siedziba agencji „Christie’s and Sons” mieściła się w Savile Rów, w sercu jednej z szarych dzielnic Londynu, w pobliżu Bond Street. Wspecjalizowana w badaniu bardzo dyskretnych przypadków, dotyczących wyższych sfer brytyjskiego społeczeństwa, agencja „Christie’s and Sons” nie reklamowała swych usług w natrączywy sposób. Jej reputacji wystarczało w zupełności uznanie zdobywane dzięki zadowolonym z usług klientom.

Higgins został przyjęty w przestronnym biurze umeblowanym w stylu Stuartów. Nie przypadło mu do gustu, uważał, że jest ciężkie i manieryczne.

— Witam pana. Nie musimy się zaraz przedstawiać, jeśli pan woli... Dyskrecja ponad wszystko! Niech pozwoli mi pan zgadnąć... Czy nie przyszedł pan w sprawie rozwodu?

— Niezupełnie — odparł Higgins. — W sprawie zabójstwa.

Jego rozmówca zbladł.

— Nie lubimy takich dowcipów... Jesteśmy poważną agencją, mamy kontakty ze Scotland Yardem i...

— Właśnie przychodzę z Yardu — przerwał Higgins. — Chciałbym porozmawiać z panem na temat jednego z waszych klientów. W zaufaniu i nieoficjalnie... Czyba ze woli pan rozmawiać z nadinspektorem Marlowem?

Zwierzchnik „Christie’s and Sons” na nowo stał się przyjacielski.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, inspektorze.

Rozdział XIX

Higgins i Marlow w towarzystwie dwóch inspektorów i kilku konstabli przybyli pod wieczór do British Museum. Na pierwszym piętrze, przed pokojem, w którym popełniono zbrodnię, czekali na nich sir John Arthur Mortimer, jego syn Filip, Agata Lillby, Eliot Tumberfast, Barry, J.J. Battiscombe, William W. Dobelyou i Indira Li.

Higgins miał poważną minę. Wiedział, że wśród zgromadzonych ukrywa się jeden z najbardziej odrażających zbrodniarzy, jakich spotkał w swej karierze.

— Panie i panowie — zaczął nadinspektor Scott Marlow — przeprowadzimy dzisiaj generalną rekonstrukcję wieczora, którego dokonano zabójstwa pani Frances Mortimer. Scotland Yard zdaje sobie sprawę z przykrego charakteru tego przedsięwzięcia, niemniej pewne trudności, z jakimi boryka się śledztwo, powodują, że jest ona niezbędna. Proszę więc wszystkich o podporządkowanie się naszym zaleceniom. Mamy nadzieję, że wasz wysiłek pomoże ujawnić prawdę.

Filip Mortimer oparł się plecami o ścianę. Wydawał się obojętny na sprawy otaczającego go świata. Eliot Tumberfast, z rękami założonymi do tyłu, wyglądał na spiętego. Sir John Arthur Mortimer, bardzo elegancki, przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy człowieka, który dostąpił najwyższych zaszczytów. Agata Lillby, w nieprzemakalnym płaszczu przewiązanym w talii, sprawiała wrażenie trochę zagubionej. Barry, zdenerwowany, kręcił się niespokojnie. J.J. Battiscombe, sztywny, nieruchomo oczekiwał na polecenia. William W. Dobelyou, w kajdankach, ukazywał twarz wykrzywioną ironicznym grymasem. Indira Li była roztrzęsiona i niespokojna.

Higgins wyjął z kieszeni swój czarny notes i spojrzał na pierwszą stronę.

— Zachowamy pewną kolejność — zakomunikował. — Pójdziemy teraz na miejsce zbrodni. Panie Battiscombe, czy zechciałby pan otworzyć biuro lorda Mortimera?

— Ja, inspektorze? — zdziwił się strażnik.

— Tak, proszę.

J.J. Battiscombe z wahaniem udał się do szafki zamkniętej na kłódkę. Otworzył ją swoim kluczem, następnie zdjął klucz od gabinetu lorda Mortimera. Trzymał go ostrożnie w prawej ręce, nie mogąc zdobyć się na odwagę, aby się nim posłużyć.

— Proszę bardzo — nalegał Higgins z zachęcającym uśmiechem. — Niech pan robi to samo, co w tamten wieczór.

J.J. Battiscombe wyjąkał:

— Ja... ja nie mogę.

— Cóż to się panu stało? — zapytał nadinspektor.

— Nie mam śmiałości — wyznał strażnik, opuszczając głowę.

— To śmieszne! Proszę wsunąć klucz do zamka i otworzyć! — nakazał Marlow.

Posłuszny starym odruchom, J.J. Battiscombe podporządkował się władzy. Klucz z łatwością przekręcił się w zamku. Stary żołnierz znieruchomiał. Zirytowany Scott Marlow nacisnął klamkę, pchnął drzwi i zwrócił klucz strażnikowi.

— Proszę powiesić go na miejsce.

— Wchodzimy — powiedział Higgins.

Przepuszczono lorda Mortimera. Za nim weszli Agata Lillby, Dobelyou, Barry, Filip Mortimer, Indira Li i J.J. Battiscombe. Eliot Tumberfast zatrzymał się w progu.

— Dzisiaj ma pan prawo wejść — powiedział Higgins. — Pański zwierzchnik nie będzie się sprzeciwiał.

Egiptolog przekroczył próg. Higgins wszedł ostatni i zamknął drzwi. Następnie poprosił wszystkich o zajęcie miejsc, a sam zasiadł za biurkiem lorda Mortimera. Marlow oparł się o szafę z książkami.

Naprzeciw Higginsa stało w rzędzie osiem krzeseł. Eliot Tumberfast z wahaniem wybrał miejsce na lewym końcu. Następnie usiedli Barry, J.J. Battiscombe, William W. Dobelyou, Filip Mortimer, Indira Li i Agatha Lillby. Lord Mortimer usiadł na prawym końcu.

— Ponieważ wszyscy są gotowi — odezwał się Scott Marlow — możemy zaczynać.

— Nie sędzę — zaproponował Higgins.

Nadinspektor zmarszczył brwi.

— Brakuje głównego świadka — wyjaśnił Higgins. — Mumii.

Rozległ się pomruk niezadowolenia.

— Czy naprawdę myśli pan...

— Jak najbardziej, nadinspektorze. Nie zapominajmy, że prasa posądziła mumię o popełnienie zbrodni. Jej obecność jest niezbędna dla wiernego odtworzenia faktów.

— To jest groteskowe — zauważył lord Mortimer.

— Jesteśmy poważnymi ludźmi. Niepotrzebna jest nam taka maskarada.

— Przykro mi — odparł Higgins stanowczym głosem. — Mumia odegrała zasadniczą rolę w tym zabójstwie. Nadinspektorze, czy mógłby ją pan wprowadzić?

Scott Marlow otworzył drzwi biura, torując przejście dwóm policjantom niosącym mumię. Mimo że została trochę podreperowana, nadal wyglądała przerażająco, ze swą nieludzką twarzą, z grymasem zawieszonym pomiędzy życiem a śmiercią.

— To skandaliczne! — zaprotestował lord Mortimer.

Indira Li zachwiała się i zemdląła. Filip Mortimer przytrzymał ją w ostatnim momencie, chroniąc przed upadkiem. Agata Lillby wydała okrzyk przerażenia i zasłoniła oczy, J.J. Battiscombe recytował jakieś zaklęcia, których nauczył się w Indiach.

— Prawdziwy teatr horroru — skomentował William W. Dobelyou ironicznym tonem, nieskutecznie maskującym przestach.

Eliot Tumberfast pobladł i nieruchomo patrzył na mumię.

— Nie została dobrze odrestaurowana — powiedział. — Brakuje amuletów, brakuje...

— Zrobiliśmy co w naszej mocy — uciał Higgins.

Były główny inspektor wstał i podszedł do dwóch sarkofagów stojących w pierwszej części biura. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Otworzył większy. Dwóch policjantów — zadowolonych, że mogą wreszcie pozbyć się makabrycznego podejrzanego — ostrożnie złożyło w nim mumię. Higgins zamknął sarkofag i powrócił do biurka lorda Mortimera. Profesor obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

— Niech mi pan wierzy, inspektorze, że ta bolesna maskarada dotyka do żywego wszystkich tu obecnych.

— Tak się składa, sir, że pomiędzy nimi znajduje się również zabójca pańskiej żony.

Indira Li powróciła do siebie po krótkim omdleniu. Inni wyglądali na sparaliżowanych. Oświadczenie Higginsa spowodowało, że atmosfera stała się ciężka.

— To, co pan mówi, jest szczególnie potworne, inspektorze — stwierdził lord Mortimer.

— To smutna prawda, sir. Czy wie pan, że moje pierwsze podejrzenia skierowane były nie na kogo innego, tylko na... pana?

Marlow nie wierzył własnym uszom. Twarz nowo mianowanego dyrektora British Museum przybrała wyraz pośmiertnej maski.

— Pańskie słowa nie przystoją funkcjonariuszowi Scotland Yardu, inspektorze.

— A jednak, sir, tylu jest mężów, którzy zabili żony, w taki lub inny sposób...

— Głęboko kochałem moją żonę. Obraża pan jej pamięć. Czy mogę przypomnieć panu, że w wieczór zabójstwa byłem chory i nie wychodziłem z domu?

— Tę właśnie przeszkodę napotkałem w moim rozumowaniu, sir. Prawda, że panna Lillby i pan Tumberfast mogą zaświadczyć, że cały wieczór był pan obecny w domu w Mayfair... nawet jeśli pan Tumberfast czyni to wbrew sobie.

Eliot Tumberfast gorzko wyrzucał sobie nieszczęsny pomysł udania się tamtego wieczoru do wybitnego przełożonego, który dzięki temu nie mógł teraz być niepokojony przez policję.

— Porzuciłem myśl o pańskiej winie po przesłuchaniu panny Indiry Li — kontynuował Higgins. — Ciekawa to postać, otworzyła mi oczy na zjawiska, których istnienia nie podejrzewałem.

Indira Li, starannie unikająca spojrzenia Williama W. Dobelyou, coraz bardziej wyglądała na zaszczute zwierzątko.

— Przypadek panny Li zaintrygował mnie — wyjaśniał Higgins — jako że znajdowała się ona na pierwszym piętrze, w pobliżu gabinetu lorda Mortimera. Wspólniczka kradzieży, to pewne, ale być może także zabójczyni...

— Ja nic nie zrobiłam! — krzyknęła młoda Hinduska w panice. — Byłam tylko informatorką tego...

— Pana Dobelyou — dodał Higgins — którego Scotland Yard odnalazł dzięki nadinspektorowi Marlowowi. Posiada pani również wyjątkowe talenty, szczególnie dar przeobrażania się. Przebierała się pani wspaniale, w celu... zwiedzania bogatych domów. Opiekunka dzieci, listonoszka, pokojówka... świetnie odgrywała pani różne role. A może w tamtą noc przybrała pani postać zabójcy?

Wydawało się, że Indira ponownie zemdleje, ale tym razem nikt nie pospieszył jej z pomocą.

— Wiele jednak przemawia na pani korzyść.

Indira Li oddychała z trudem.

— Jeśli można zawierzyć poszczególnym oświadczeniom, nie zajmowała się pani pokojem lorda Mortimera, lecz gabinetem numizmatycznym. Jest pani jednak szybka i zwinna, a tu decydowały minuty... Jednakowoż do takiej zbrodni nie przystaje pani emocjonalność. Nie sądzę, aby była pani zdolna do manipulowania rewolwerem z precyzją potrzebną do zabijania z zimną krwią. Zresztą dlaczego miałyby pani zabić Frances Mortimer? Nic was nie łączyło. Chyba że było to zachowanie w chwili paniki. Znaczyłoby to, że pan Dobelyou powierzył pani broń na czas kradzieży. Wydaje mi się jednak, że tak nie było...

William W. Dobelyou zadowolił się zaakcentowaniem swego sztucznego uśmiechu. Nie miał widocznie nic do dodania na usprawiedliwienie Indiry Li.

— Te pozornie nic nie znaczące fakty mogłyby panią uniewinnić... chyba że grała pani inną rolę, chyba że obraz młodej wrażliwej kobiety to tylko jeszcze jedna maska!

Sam Dobelyou był zaskoczony tą hipotezą. Myślał, że dobrze zna Indirę, niewolnicę, którą zastraszył i nad którą całkowicie panował. Może go zwiodła?

— Prawdziwym winowajcą — mówił Higgins, patrząc na Williama W. Dobelyou — jest pan.

Szef gangu antykwariuszy poderwał się z miejsca.

— Jestem niewinny! Już mówiłem, że nikogo nie zabiłem!

— Podwójne kłamstwo, panie Dobelyou — podkreślił Higgins. — Czy nie przyznaje się pan do zabójstwa na Cejlonie, skąd pan uciekł, by nie wpaść w ręce policji?

— Nie przyznaję się! Wyjechałem, aby prowadzić interesy! To, co pan opowiada, to oszczerstwo... Niczego mi nie udowodniono.

— Jest pan winny kradzieży i będzie pan skazany za to przestępstwo. Ale jest poważniejsza sprawa, panie Dobelyou. Morderstwo, o które jest pan podejrzany, zostało dokonane przy pomocy broni palnej. Tak jak na Cejlonie... a ponadto ma pan opinię doskonałego fałszerza, szczególnie uzdolnionego w podrabianiu kluczy. Miał pan ten od gabinetu numizmatycznego... Dlaczego nie miałby pan dorobić również klucza od pokoju lorda Mortimera?

— Bo tam nie było nic, co warto ukraść! — ryknął Dobelyou. — Nie znam się wcale na tych starociach!

— Niech pan nie udaje głupszego, niż pan jest naprawdę. Na swój sposób jest pan ekspertem od antyków. Szczególnie ta mumia...

— Nie do sprzedania! — zaprotestował Dobelyou. — Mam jaką taką znajomość rynku, inspektorze. Dobrze znam moich klientów. Same grube ryby. Szczęśliwi, że mogą u mnie kupić unikatowe dzieła sztuki... Mogę podać nazwiska...

— Na przykład lorda Mortimera?

William W. Dobelyou osłupiał. Podobnie Scott Marlow. Nowy dyrektor British Museum był tak zaskoczony, że odebrało mu mowę.

— Długo podejrzewałem — wyjaśnił Higgins — że William W. Dobelyou był tylko narzędziem gangu. I że nad nim musiał stać ktoś z głową. Komuż byłoby łatwiej wybrać i wynieść kilka ciekawych eksponatów, a następnie ciągnąć zyski z tego procederu, jak nie wielkiemu uczonemu, znającemu świetnie British Museum?

— Będę pana ścigał o pomówienie — powiedział lord Mortimer, który ledwie hamował wybuch złości.

— To, co mi przeszkadza w tej hipotezie — kontynuował niewzruszenie Higgins — to fakt, że lord Mortimer podjąłby zbyt wielkie ryzyko, wchodząc w spółkę z Williamem W. Dobelyou... Nie wydaje mi się możliwe, by mógł darzyć zaufaniem tego osobnika. Któregoś dnia mogłoby się to skończyć szantażem... Jest jednak między nami inna osoba, która dobrze zna British Museum. Nieprawdaż, panie Tumberfast?

Tumberfast, upajający się już wizją lorda Mortimera zamieszanego w sprawę kradzieży, został brutalnie sprowadzony na ziemię.

— Ja? Ależ ja nigdy nie spotkałem tego Dobelyou! Jak może sobie pan wyobrazić, że powierzyłbym mu choćby mały kawałek papirusu?

— Mogły pana skusić pieniądze — podsumował Higgins. — Nie miał pan łatwej kariery, panie Tumberfast. Próbował pan wielu rzeczy, aby zdobyć przychyłność lorda Mortimera. Ciężka praca okazała się niewystarczająca... Była jeszcze przygoda z Agatą Lillby, może właśnie w cichej nadziei zbliżenia się do zwierzchnika. Nigdy nie miał pan ochoty zamordować lorda Mortimera, panie Tumberfast?

— Mieliśmy z profesorem spory naukowe, lecz szanuję go... i też... — Egiptolog mówił z wielkim wysiłkiem.

— Nienawidzi go pan, panie Tumberfast. Nie był pan zresztą obojętny na urok pani Mortimer. Ale ona była bogata, a pan nie. Z pańskimi zarobkami nie mógł pan mieć wielkiej nadziei, by się do niej zbliżyć. Czy nie wyobrażał pan sobie korzyści, jakie można by wyciągnąć i z pańskiej wiedzy, i z pozycji zawodowej?

— Zbyt cenię sobie starożytny Egipt, inspektorze. Jego sztuka należy do ludzkości, nie do złodziei!

Dobelyou uśmiechając się, chciał już zabrać głos.

— Na nieszczęście — uprzedził Higgins — zarzuty, które mógłby wysunąć przeciwko jednemu z was pan Dobelyou nie miałyby wartości dowodu. Nie jest wiarygodny, jako że stara się za wszelką cenę zrzucić z siebie odpowiedzialność za zbrodnię.

— Ależ ja nie popełniłem żadnej zbrodni! — krzyknął William W. Dobelyou. — I mam na to dowody! Nie mogłem być jednocześnie na górze i na dole. Biegłem, kiedy usłyszałem dwa strzały. Wyrwałem wiadro z rąk Indiry, zbiegłem po schodach i uciekając, zderzyłem się ze strażnikiem. Może pan go o to zapytać!

J.J. Battiscombe był zaniepokojony, że zwrócono na niego uwagę.

— I tutaj pojawia się pewien problem — oświadczył Higgins. — To prawda, że dobrze się znacie? Panie Battiscombe, czy nie spotkał się pan z Dobelyou w Indiach, kiedy usiłował pan tam... robić interesy?

— Ja... ja nie pamiętam.

— Kłamca! — rzucił Dobelyou z wściekłością. — To ja ci pomogłem, beze mnie siedziałbyś dzisiaj w więzieniu za sprzedaż kradzionych przedmiotów! Obiecałeś mi zrewanżować się kiedyś... i musiałeś to zrobić! To on wskazał mi możliwość tego skoku na British Museum, inspektorze.

— To nieprawda! Nie wierzycie chyba temu bandytcie, temu zbójcy, temu...

Marlow musiał uspokoić Dobelyou, który zamierzył się na strażnika.

Higgins mówił powoli.

— Tak więc sam dodał pan narkotyk do herbaty, panie Battiscombe, aby uwierzono, że spał pan w czasie kradzieży. Tej herbaty pan jednak nie wypił. Odegrał pan komedię przed Frances i Filipem Mortimerem.

— Nie, inspektorze, ja ją naprawdę wypiliśmy!

— Kto otworzył drzwi tego pokoju, panie Battiscombe? Kto wyjął klucz z szafki?

— Ja, ale...

— A może udawał pan tylko, że wyjmuję klucz, panie Battiscombe? Czy nie schował go pan w kieszeni? A może użył go pan już wcześniej, zamykając za sobą drzwi... po zamordowaniu pani Frances Mortimer?

— Niemożliwe, inspektorze, byłem na dole! Dobelyou mnie pchnął, oblał mnie wodą z wiadra, które trzymał w ręce! Kiedy wszedłem na piętro, Filip Mortimer mnie widział... To było już po strzałach!

— Pańska niewinność opiera się na zeznaniach Dobelyou i Filipa Mortimera — uważał Higgins, zamyślony. — A jeśli pan sam zamoczył sobie ubranie? Jeśli użył pan swego wyjątkowego sprytu, aby dokonać kradzieży na własny rachunek... Nie mówiąc już, że mógł pan iść za Frances Mortimer do biura jej męża. Taki wytrawny żołnierz jak pan jest na pewno dobrym strzelcem...

— Przysięgam, że jestem niewinny, panie inspektorze! — zawołał J.J. Battiscombe patetycznie. — Popełniłem wielki błąd, przyznaję... życie nie było dla mnie sprawiedliwe, zasłużyłem na coś lepszego... Moja emerytura nie wystarcza na życie... Kiedy Dobelyou odnalazł mnie i groził, że wyjawia moją przeszłość, bałem się, że wszystko stracę... Kazałem mu przyrzec, że będzie to tylko jedna kradzież i nigdy więcej się nie spotkamy... Co do reszty, nie jestem za nic odpowiedzialny!

— Co pan o tym myśli, Barry? — zapytał Higgins, patrząc na szofera Mortimerów.
— Utrzymuje pan, że widział pan uciekającego Williama W. Dobelyou?

— Jak to: utrzymuję? Widziałem go, dokładnie!

— Nic nie jest bardziej podejrzane niż zeznania autora anonimowych listów — mówił Higgins surowo. — Nie cierpiał pan pani Mortimer, nieprawda?

Barry zamilkł.

— Nie cierpiał pan właściwie wszystkich Mortimerów, Barry. Byli bogaci. Wykorzystywali pana. Lord Mortimer odmówił panu podwyżki, jeśli się nie mylę?

— Zgadza się — sprecyzował nowy dyrektor British Museum. — Byłem zaledwie umiarkowanie zadowolony z pracy Barry'ego. Na wszystko narzekał.

— Kłamstwo! — zaprotestował Barry, obrzucając lorda Mortimera nienawistnym spojrzeniem. — Byłem człowiekiem do wszystkiego. Samochód, śmieci, naprawy... nigdy nie było końca robocie. Moje poświęcenie nie było docenione.

— Dlaczego więc pan nie odszedł? — dopytywał się Higgins.

Barry spuścił wzrok.

— To nie pańska sprawa.

— Jest pan bardzo tajemniczy, Barry. Zastanawiam się, czy to nie pani Mortimer pana zatrzymywała...

— Inspektorze... Uwodziła mnie, ona mnie...

— Niech pan milczy — wtrącił się lord Mortimer. — Jest pan żalonym indywiduum. Żona opowiadała mi o pańskim nagannym wobec niej zachowaniu. Mieliśmy zamiar zwolnić pana.

Marlow dotknął schowanych w kieszeni kajdanków. Ten Barry coraz mniej mu się podobał. Nadinspektor czekał tylko na znak Higginsa, aby założyć je na ręce zabójcy.

— Był pan szczególnie zainteresowany wszelkimi wyjściami i powrotami członków rodziny Mortimerów — mówił Higgins do Barry'ego. — Nienawidził pan ich wszystkich.

— Powiedziałem tylko prawdę!

— Jest pan mściwy i próżny, Barry. Nie może pan znieść, że opuściła pana kobieta. Nie wahał się pan wysłać anonimu ujawniającego pasję Agaty Lillby, dlatego że od pana odeszła. A jeśli to pan zabił Frances Mortimer, ponieważ nie chciała panu ulec... lub nie chciała więcej panu ulegać?

— Zabraniam panu mówić w ten sposób! — zaprotestował lord Mortimer. — Jak może pan sobie wyobrażać, że moja żona...?

— Uraziłoby to pańską godność, sir? — syknął Barry. — Chciałby pan pewnie, abym to ja został oskarżony o zabójstwo? To niemożliwe. Siedziałem w waszym wspaniałym rolls-royce'cie, przed muzeum, i widziałem uciekającego złodzieja.

— Ale niestety nie ma pan na to żadnego świadka — dorzucił Higgins.

— Jak mógłbym wejść na pierwsze piętro, nie zauważony przez strażnika lub Filipa Mortimera?

— Nienawiść jest często źródłem inwencji, Barry. A pan jest tak niezadowolony ze swych zarobków... Grzebiąc często w koszu na śmieci lorda Mortimera, na pewno trafił pan na wiadomości, które można było spieniężyć. Nie wiem, czy ich pan nie sprzedał zawodowemu złodziejowi... na przykład Williamowi W. Dobelyou.

— To się kupy nie trzyma! Nienawidzę bogaczy, to wszystko. Nigdy nie będę żałował takiej kobiety jak Frances. Miała wszystko. Ja nie miałem nic. Ale na pewno nie jestem odpowiedzialny za to zabójstwo.

— Ja nie jestem tego taki pewny — odparował Higgins. — Jeżeli był pan wspólnikiem Battiscombe'a i Dobelyou, mogliście razem wymyślić wspólną wersję zdarzeń, a teraz się jej trzymacie.

— Nie znałem szofera Mortimerów, przysięgam! — oświadczył J.J. Battiscombe. — Ja także nie ponoszę odpowiedzialności za to ohydne morderstwo!

— Wszyscy chcą się z tego wymigać — zauważył Dobelyou. — A gdybym się przyznał do kontaktów z tymi panami?

Marłowa rozpierała radość. Posuwali się do przodu wielkimi krokami. Morderstwa dopuścił się więc złodziejski gang, nadinspektor łatwo mógł wyobrazić sobie Barry'ego w roli mordercy.

— Miał pan przynajmniej dwa powody do zabicia Frances Mortimer — zwrócił się Higgins do szofera.

— Miłosny zawód i chęć uciszenia jej na zawsze. Czyż nie zrozumiała ona pańskiej prawdziwej roli? Czyż nie miała zamiaru wyjawić prawdy swemu mężowi i spowodować, by pana zatrzymano?

— Pan oszalał, daję słowo! Niech pan to udowodni!

— Może panna Lillby mogłaby nam pomóc? — zapytał Higgins. — Barry nie wahał się wydać pani sekretów...

Spojrzenie pokojówki Mortimerów stwardniało.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Niech pani tak nie mówi — doradzał Higgins. — Osoba, która ma takie pasje, żyje na pewno pełnią życia. Pomimo pani małych kłamstw poznaliśmy jej skrywane upodobanie... do pieniędzy. Czy nie marzy pani o dostatnim życiu, takim, w którym zajęłaby pani właściwe miejsce, miejsce pani domu? Przypuszczam, że jest pani zakochana w lordzie Mortimerze, panno Lillby. Nigdy się pani do tego nie przyznała, nawet przed sobą. Jakiś tam Barry nie mógł pani wystarczyć... Stając się kochanką Eliota Tumberfasta, miała pani nadzieję zostać żoną egiptologa, uciec wreszcie od losu pokojówki... Niestety, Frances Mortimer zabrała pani lorda Mortimera. A do tego zakochał się w niej również Tumberfast. Kiedy Frances Mortimer odmówiła pani zaliczki, spotęgowało to pani nienawiść. Zwrot długu stanął pod znakiem zapytania. To w tej właśnie chwili podjęła pani decyzję zlikwidowania jej?

— Zlikwidowania... zlikwidowania kogo? Co pan chce przez to powiedzieć?

Pokojówka Mortimerów wodziła wzrokiem od Higginsa do Marlowa, od Marlowa do lorda Mortimera, szukając ratunku, pomocy. Napotkała jedynie spojrzenia sędziów.

— Myli się pan, inspektorze — powiedziała z żarem. — Zawsze głęboko poważałam sir Johna Arthura, którego uważam za wyjątkowego człowieka. Nigdy nie śmiałabym myśleć, że mogłabym zostać jego żoną. Rzeczywiście, sędzę, że lord Mortimer za wcześnie zawarł nowy związek małżeński. Bardzo kochałam jego pierwszą żonę. Ale pani Frances... nie, nie ceniłam jej. Niemniej wiernie jej służyłam. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

— A jednak skłamała pani, opowiadając o swoim rozkładzie zajęć w wieczór zbrodni — zauważył Higgins. — Znamy co najmniej jedno z miejsc, gdzie się pani udała... a może była pani jeszcze gdzieś indziej? Na przykład w British Museum?

— Nie... Powróciłam do rezydencji w Mayfair przed północą, długo przed przyjściem nadinspektora Marlowa. Widziałam nawet, jak lord Mortimer i Eliot Tumberfast się sprzeczną.

Higgins skrzywił się z powątpiewaniem.

— Pani widziała... ale oni pani nie widzieli. Pani oświadczenie nie jest poparte zeznaniami świadków, panno Lillby. Miała pani czas udać się do muzeum, ukryć w pokoju lorda Mortimera, zabić jego żonę i uciec. Następnie powróciła pani bardzo dyskretnie, by nie zauważył pani lord Mortimer ani jego gość. Obudziła się pani w stosownym momencie — gdy przybył nadinspektor Marlow.

— Nie ma pan prawa mnie oskarżać! — krzyknęła Agata. — Nie ma przeciwko mnie żadnego dowodu!

— Jakimi pieniędzmi uregulowała pani dług tamtego wieczoru?

— Moimi oszczędnościami — odparła nerwowo.

— Nie były to przypadkiem pieniądze schowane w sekretnej szufladzie Filipa Mortimera? Tam, gdzie znalazła pani również kopie kluczy, które pozwoliły pani wejść do biur British Museum?

— To... to jest podłe!

Pokojówka skurczyła się, jakby już straciła nadzieję. Zdaniem Marlowa wyglądała na kogoś, kto mógł posunąć się do morderstwa.

— A teraz porozmawiamy o Filipie Mortimerze — podjął Higgins. — Już kilkakrotnie wydawał mi się podejrzany. Nigdy nie słyszałem, aby potwierdzał albo negował to, co inni świadkowie przedstawiali jako prawdę.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku młodzieńca. Filip Mortimer był przygnębiony, obojętny na to, co dzieje się wokół niego.

— Uważam, że powinien pan zostawić mojego syna w spokoju — wtrącił lord Mortimer.

— Bardzo bym chciał — odparł Higgins — ale to niemożliwe. Filip Mortimer jest młodym, niezmiernie wrażliwym człowiekiem. Już w wieczór zabójstwa milczał, co zdecydowanie utrudniało śledztwo.

— Nie mogłem go przesłuchać — potwierdził Scott Marlow.

— Jeśli wierzyć jego zachowaniu — kontynuował Higgins — żywił głębokie uczucie do swojej młodej macochy. Jej śmierć zupełnie go zdruzgotała. Nie zapominajmy jednak, że był on ostatnią — oprócz mumii — istotą, która widziała Frances Mortimer żywą... Jego zeznanie, pomimo pewnych niejasności, ma pierwszorzędne znaczenie. On również widział Indirę Li wychodzącą z gabinetu numizmatycznego... Co pani też potwierdza, panno Li? Czy ten młody człowiek rzeczywiście był w towarzystwie Frances Mortimer? Czy rzeczywiście udali się razem w kierunku pokoju lorda Mortimera?

Indira Li skinęła głową.

— Czy pan również potwierdza, panie Dobelyou?

— Tak — powiedział William W. Dobelyou.

— To Filip Mortimer podniósł alarm — dodał Higgins. — To jego głos usłyszał pan, panie Battiscombe? To na skutek jego krzyku wbiegł pan na pierwsze piętro, po ucieczce Dobelyou, który zderzył się z panem?

— Jak najbardziej, inspektorze — pospieszył z odpowiedzią strażnik.

— Tak więc Filip Mortimer znalazł się sam przed drzwiami pokoju, w którym doszło do zabójstwa. Sam... przez pewien czas. Dlatego musimy mu wierzyć na słowo... Musimy, choć jest tu kilka dziwnych szczegółów. Pański kontakt z synem nie jest najlepszy, lordzie Mortimer?

— Jak może pan twierdzić coś podobnego? — uniósł się uczony.

— Nie rozmawiał z panem o swoim życiu. Nie szukał w panu oparcia. Jesteście sobie obcy. Życie w innych światach. Dlaczego Filip schował pieniądze? Co to za stara historia, o której wspomniał?

— Głupstwo — odpowiedział William W. Dobelyou. — Chłopak potrzebował pieniędzy, aby popisywać się przed kolegami. Ojciec nie chciał mu dać. No i wpadł na pomysł kradzieży takiej jednej figurki. Przez znajomych trafił na mnie... dobrze mu zapłaciłem.

— Spotkał się z panem?

— Nie, nigdy mnie nie widział. Podsunał mu tę myśl jeden ze znajomych z pubu „Damnation, Degradation and Death”. Nic nie znaczący złodziejasek, który dla mnie pracował. Uprzedzałem pana, inspektorze... grzebie się pan w śliskich sprawach. Nie będę tonął samotnie.

Dobelyou wyglądał na zadowolonego z siebie.

— Czy potwierdza to pan, Filipie? — zapytał Higgins.

Młody człowiek milczał niewzruszenie.

— A pan, sir?

Profesor był mocno zakłopotany.

— Ten wypadek wydaje mi się bardzo osobisty...

— Nie zgadzam się — zaprotestował Higgins. — Musimy poznać prawdę, aby zrozumieć zachowanie pańskiego syna. Czy wyniósł on archeologiczny obiekt z pańskiego biura w British Museum?

— Tak — potwierdził lord Mortimer zgaszonym głosem. — Bardzo szybko się zorientowałem, J.J. Battiscombe poinformował mnie o niespodziewanej wizycie syna, pewnego wieczoru, kiedy uczestniczyłem w konferencji. Filip nie interesował się egiptologią. Wypytałem go i przyznał się do nieszczęsnego kroku. Twierdził, że zdążył wydać wszystkie pieniądze. Zabroniłem mu przekraczać próg mego biura. Frances wiedziała o tym zdarzeniu.

— Kto dał mu klucz tego wieczoru? — dopytywał się Higgins. — Pan, panie Battiscombe?

— Myślałem, że postępuję właściwie — odparł nocny strażnik. — Syn lorda Mortimera, rozumie pan... ale uprzedziłem jego ojca!

— Nie rozumiem, panie Battiscombe! Zapomniał pan nawet zapisać wizytę Filipa w rejestrze...

— Myślałem, że uczciwość rodziny Mortimerów...

— Mam wrażenie, że zapomniał pan, iż Scotland Yard prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa. Fałszywe zeznania są również ciężkim przestępstwem. Zwłaszcza jeżeli ukrywa się zasadnicze sprawy.

J.J. Battiscombe zbladł.

— To prawdopodobnie przy tej okazji — ciągnął Higgins — Filip Mortimer zrobił odciski niezbędne do wykonania drugich kluczy. Nie konsultował się w tej sprawie z panem, panie Dobelyou, ani osobiście, ani przez pośredników?

— Absolutnie! — odparł Dobelyou. — Już panu mówiłem, że nie interesują mnie egipskie starocie.

— Sam pan sobie przeczy — zauważył Higgins. — Przecież za dobrą cenę sprzedał pan statuetkę wyniesioną przez Filipa Mortimera... Egipskie figurki są być może łatwiejsze do sprzedania niż pan twierdzi. Nawet mumia...

William W. Dobelyou wolał milczeć. Higgins wstał i podszedł do Filipa Mortimera. Przemówił do niego prawie ojcowskim tonem.

— Nic mi nie było wiadomo o tej starej historii. Kradzież... a być może ta droga zawiodła pana jeszcze dalej. Jest pan świetnym strzelcem, łatwo było to sprawdzić na strzelnicy. A zabójca Frances Mortimer użył broni palnej. W pańskiej kolekcji starej broni znajdował się jeden raczej zaskakujący egzemplarz. Współczesny rewolwer, zupełnie banalny. Skąd on pochodzi, panie Mortimer?

Filip z uporem wpatrywał się w podłogę. Nadinspektor Marlow stanął u jego boku.

— Panie Mortimer, nie może pan dłużej milczeć... Czy zdaje sobie pan sprawę, co to może oznaczać?

Chłopak podniósł w końcu głowę, jakby budził się z letargu.

— Możecie sobie oskarżać mnie, o co tylko się wam podoba — powiedział urywanym głosem. — Jest mi wszystko jedno.

— Broń zbrodniarza nie została odnaleziona — dorzucił Higgins. — Rewolwer, który znalazłem w pańskiej kolekcji, został zbadany w Scotland Yardzie. To nie tą broń posłużył się zabójca. A jednak...

Spojrzenia wszystkich uczestników zawisły na ustach Higginsa.

— A jednak, panie Mortimer, miał pan czas zastrzelić Frances Mortimer, wyjść z biura, zamknąć drzwi i przywołać pomoc. Doskonały scenariusz zabicia kobiety, którą pan kochał, a która kategorycznie odmówiła panu swych względów.

Filip Mortimer nagle się zmienił. Miejsce apatii zajęła furia.

— Jeszcze jedno słowo, a uduszę pana!

Scott Marlow przytrzymał chłopaka, który chciał rzucić się na Higginsa.

— Niech się pan uspokoi, panie Mortimer!

Sir John Arthur był wstrząśnięty tym, co odkrywał. Niewzruszony Higgins zaczął przechadzać się po laboratorium.

— Jest jeszcze jedna osoba, o której nie mówiłem: pani Mortimer. Jedni ją uwielbiali, inni nienawidzili. Piękna, czuła, inteligentna, ale również skłonna do depresji, niepokojna... Zadawałem sobie pytanie, czy nie popełniła samobójstwa. Z przyczyn, które mogły wstrząsnąć każdą kobietą. Frances Mortimer nie mogła mieć dzieci.

Ta rewelacja spowodowała ogólną konsternację. Wściekłość Filipa Mortimera zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

— Inspektorze — zaczął lord Mortimer, poruszony — mógłby pan przynajmniej mieć szacunek...

— Przykro mi, sir, informacja ta miała bardzo duże znaczenie. Mogłaby wszystko wyjaśnić... gdyby nie ta mumia. Pani Mortimer została zamordowana. Ale kim była pani Mortimer?

Zapadła pełna konsternacji cisza. Każdy oczekiwał, że Higgins wyjawi nazwisko winnego... a on zastanawiał się nad ofiarą!

— Zebrałem różne oświadczenia dotyczące pani Mortimer — podjął Higgins. — Zastanawiałem się nawet, czy nie była zamieszana w handel antykami, w którym uczestniczyło kilka spośród obecnych tu osób...

Filip Mortimer rzuciłby się na Higginsa, gdyby nie Marlow, który ponownie zmusił go do pozostania na miejscu. Sir John Arthur podniósł się i stanął naprzeciw Higginsa.

— Tym razem, inspektorze, posuwa się pan za daleko. Zabraniam panu szargać pamięć mojej żony.

— Masz rację — zgodził się Filip Mortimer. — Ci policjanci to dranie!

Higgins pomyślał chwilę.

— Nie pozwoliłbym sobie na plamienie czyjejkolwiek pamięci, sir. To nie leży w moich zwyczajach. W oparciu o fakty rozważam różne hipotezy. Czy pańska żona nie została zamordowana dlatego, że była niewygodnym świadkiem? Czy przypadkiem nie zamierzała ujawnić nazwiska szefa gangu antykwariuszy? A może była ofiarą doskonale przygotowanej intrygi?

Wszyscy ucichli. Każdy zadawał sobie pytanie o stopień winy drugiego.

— Frances była wcieleniem czystości! — odezwał się Filip Mortimer. — Nigdy nie uczestniczyłyby w żadnych kombinacjach!

— Użyłem słowa „ofiara”, panie Mortimer... A co dotyczy czystości Frances Mortimer, nie byłbym tak mocno przekonany jak pan.

— Jak pan śmie! — krzyknął chłopak.

— Z tego właśnie powodu. — Higgins udał się w głąb biura i przyniósł obraz zakryty płótnem.

Odsłonił go. Oniemiałemu audytorium ukazał się akt Frances Mortimer, pędzła jej nauczyciela. Lord Mortimer odwrócił się. Jego syn zasłonił twarz rękami. Eliot Tumberfast patrzył z niedowierzaniem i fascynacją. Barry zaśmiał się nerwowo. William W. Dobelyou wyglądał na zainteresowanego. Agata Lillby była urażona. J.J. Battiscombe spoglądał w inną stronę. Indira Li spuściła wzrok. Nadinspektor Marlow oczekiwał konkluzji Higginsa.

— A teraz — powiedział Higgins — proszę wszystkich o opuszczenie pokoju. Panie Battiscombe, czy mógłby pan wrócić na swoje miejsce na parterze, tam, gdzie znajdował się pan w wieczór zabójstwa? Proszę zaprowadzić Filipa Mortimera w pobliże drzwi wejściowych budynku, Williama W. Dobelyou i Indirę Li do gabinetu numizmatycznego, a Barry'ego na zewnątrz. Ponieważ lord Mortimer, Eliot Tumberfast i Agata Lillby nie byli obecni tutaj w dramatyczny wieczór, poczekają w pokoju na parterze.

— Czemu służy ta cała maskarada? — protestował lord Mortimer. — Czy długo jeszcze będzie nas pan tu przetrzymywał, inspektorze? A pan, nadinspektorze Marlow, zgadza się pan na takie narażanie na śmieszność reputacji Scotland Yardu?

— Sir... — zaczął Marlow, mocno zakłopotany.

— To już ostatnia faza rekonstrukcji — wyjaśnił Higgins pogodnie. — Pozwoli nam dokładnie zrozumieć przebieg zbrodni. Proszę wszystkich o kilka minut cierpliwości. Jest niezmiernie ważne, by wszyscy znajdowali się na tych samych miejscach, co w tamten wieczór. Nie będziecie państwo nic robić, tylko czekać.

Lord Mortimer lekko wzruszył ramionami i poddał się zaleceniom Higginsa. Dwaj policjanci zajęli się Dobelyou i Indirą Li, ich koledzy pilnowali pozostałych świadków. Higgins i Marlow zostali sami.

— Dlaczego nie wskazał pan zabójcy? — zaniepokoił się nadinspektor. — Nie ma pan pewności, że można go zidentyfikować?

— Dałem mu ostatnią szansę, aby sam się przyznał — odparł Higgins. — Nie skorzystał z niej. Wygląda pan na zakłopotanego, nadinspektorze?

— W rzeczy samej. W tej chwili podejrzewam wszystkich.

— Nie myli się pan — podsumował Higgins.

Rozdział XX

Jakieś dziesięć minut później nadinspektor Scott Marlow poprosił wszystkich, aby zebrali się na pierwszym piętrze, przed drzwiami biura lorda Mortimera. Sir Artur nie ukrywał przed Marlowem, że coraz mniej podobają mu się te bezsensowne metody i że poinformuje o tym pewne wpływowe osoby. Dobelyou nie uśmiechał się już. Indira Li bardziej niż kiedykolwiek wyglądała na złapane w potrzask zwierzę. Eliot Tumberfast, z rękami założonymi do tyłu, poddawał się biegowi wydarzeń. Agata Lillby była niespokojna. J.J. Battiscombe przechadzał się pod ścianą. Barry, z głową wciśniętą w ramiona, próbował zachowywać się tak, jakby go wcale nie było. Filip Mortimer, spięty, zamykał pochód.

Wszyscy patrzyli na Higginsa usiłującego bezskutecznie otworzyć drzwi pokoju lorda Mortimera.

— Nie rozumiem — powiedział. — Klucz się nie obraca.

Niektórzy cofnęli się, zaniepokojeni. Przeczuwali, że stanie się coś dziwnego.

— Cóż to za nowe żarty, inspektorze? — zapytał zimno lord Mortimer.

Higgins się niecierpliwił. W końcu zamek się odblokował. Klucz obrócił się z głośnym zgrzytem.

— Źle się do tego zabrałem... Zechciejcie państwo wejść i zająć miejsca.

— W jakim celu? — zapytał lord Mortimer.

— Jest czas zbrodni i czas kary — oświadczył Higgins enigmatycznie.

— Czy ta maskarada będzie jeszcze długo trwała?

— Nie, sir. Jeżeli zechce pan wejść...

Profesor posłuchał. Inni poszli jego śladem.

Marlow był skonsternowany. Nie do końca był przekonany o prawidłowości rozmowania kolegi. Higgins przechadzał się po pomieszczeniu. Mogło się wydawać, że mówi do siebie.

— Wszyscy państwo jesteście w jakimś stopniu winni. Pan, lordzie Mortimer, ponieważ zaniedbał pan wychowania syna i sprawił, że stał się on złodziejem. Pan, Eliocie Tumberfast, dlatego, że bawił się pan uczuciami Agaty Lillby. Pani, panno Lillby, okła-

mała mnie i za bardzo lubi pani pieniądze. Państwo, Dobelyou, Battiscombe i Indiro Li, ponieważ utworzyliście złodziejski gang i manipulowaliście młodym i wrażliwym chłopcem, Filipem Mortimerem. Pan, Barry, napisał anonimowy list. To wszystko drobiazgi, powiecie... Tymczasem jest między wami zabójca. Wszyscy, w takim lub innym momencie, zachowaliście się w naganny sposób i ponadto nie pomogliście mi wcale.

Marlow uważał, że Higgins jest zbyt moralizatorski. Zresztą zawsze taki był.

— Pan Filip Mortimer... — zaczął Higgins, nadal chodząc po pokoju.

Nadinspektor zacisnął rękę na zimnej stali kajdanków. Atmosfera stawała się coraz cięższa. Chłopak zeszywniał. Gotów był wstać. Jego zobojętnienie znikło.

— Myślałem przez jakiś czas, że pan udaje — powiedział Higgins. — O pańskiej niewinności przekonały mnie trzy elementy. Pierwszy, to nowoczesny rewolwer z pańskiej kolekcji starej broni. Zupełnie pospolity egzemplarz. Ekspertyza potwierdziła, że nie był narzędziem zbrodni. Czy może mi pan powiedzieć, skąd go pan ma?

Filip Mortimer odpowiedział z ociąganiem.

— Jeden z przyjaciół z pubu... narobiłby mu pan kłopotu z powodu tej broni. To był tylko żart.

— Drugi element — dodał Higgins — to klucze, które znalazłem w schowku pańskiej bieliźniarki. Początkowo rzucały na pana poważne podejrzenia. Lecz wypróbowując, zrozumiałem, że klucz od drzwi pokoju lorda Mortimera nie był użyty w noc zabójstwa. Aby dorobić klucze, nie zwrócił się pan do specjalisty, Filipie Mortimer, lecz, bez wątpienia, do kolegi z pubu... Pański duplikat jest raczej nieudany. Widzieliście państwo, jak trudno było obrócić go w zamku. Zwłaszcza że dla uniknięcia hałasu przy zamykaniu drzwi zamek został dobrze naoliwiony przez przestępcę. Stwierdziłem to, obracając klucz w innym zamku, podobnym, lecz nie naoliwionym — tym od drzwi pokoju pana Tumberfasta. Na pańskim kluczu, panie Mortimer, nie było żadnych śladów smaru. Analiza potwierdziła, że nie był używany.

Scott Marlow odetchnął. Od początku przekonany był o niewinności Filipa Mortimera.

— Niemniej były to tylko materialne wskazówki — ciągnął Higgins. — O niewinności Filipa przekonałem się ostatecznie, składając wizytę ojcu Frances. Zobaczyłem u niego zdjęcie Filipa. Długo mi o nim opowiadał. Syn lorda Mortimera darzył swoją młodą macochę głębokim, pełnym podziwu uczuciem. Była dla niego uosobieniem wszystkich wartości, których poszukiwał u kobiety. Wiedział, że jest dla niego nieosiągalna, lecz nie potrafił jej nie kochać. Filip znalazł schronienie u ojca Frances, w jedynym miejscu, w którym mógł znaleźć zrozumienie dla swego bólu. Chciałbym pana zapewnić, że podzielam go z panem, Filipie.

Młody człowiek był bliski łez.

Higgins zatrzymał się nagle. Złożył ręce na wysokości podbródka i oświadczył:

— Panie Eliocie Tumberfast, oskarżam pana o kradzież mumii... i o zamordowanie Frances Mortimer.

Po tych słowach nastąpiła martwa cisza. Nikt nie śmiał się poruszyć. Eliot Tumberfast ocknął się w końcu. Nadinspektor Scott Marlow stanął tuż za nim.

— Pan... pan opowiada zupełnie niedorzeczności! To nie do wiary!

— Mniej, niż może się to wydawać na pierwszy rzut oka, panie Tumberfast. Wyjaśnię, w jaki sposób pan tego dokonał. Przyjechał pan do rezydencji w Mayfair taksówką, co potwierdzają zeznania świadków. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy Frances i Filip Mortimerowie, odwożeni przez Barry'ego, udawali się do teatru. Pozwoliło to określić godzinę pańskiego przybycia. Następnie natknął się pan na swoją byłą kochankę, Agatę Lillby, która nie przyjęła pana z otwartymi ramionami! Ale miał pan poważny argument, żądając spotkania z lordem Mortimerem — sprawa grobowca Imhotepa zainteresowałaby każdego egiptologa. A propos, panie Mortimer — Higgins zwrócił się do Filipa — czy oglądał pan swój motor w dzień po zabójstwie? Czy nie zauważył pan nic szczególnego?

— Chyba nie... może tylko taki drobiazg... Barry go przestawił, ja nigdy nie opieram kierownicy o ścianę garażu.

— Nigdy nie ruszam pańskiego motoru — burknął Barry złośliwie.

— Ten szczegół jest bardzo ważny — podkreślił Higgins. — Jeśli to nie Barry, w co wierzę, znaczyłoby to, że ktoś inny przesunął maszynę, lub, ściślej mówiąc... odstawił na miejsce po skorzystaniu z niej. Osoba ta popełniła mały błąd, nie znając dokładnie zwyczajów Filipa Mortimera. Byłem niezmiernie zdziwiony, gdy zobaczyłem kask motocyklowy w biurze Eliota Tumberfaste. Myślę, że nie będzie trudno sprawdzić, że pan też posiada motor i jest pan dobrym motocyklistą?

— To prawda — przyznał egiptolog. — Ale nie widzę...

— To dobry pomysł skorzystać z BMW Filipa Mortimera i pojechać z Mayfair do British Museum. Lekka maszyna, bardzo szybka... Można więc uniknąć korków i nie spóźnić się. Odjechał pan z Mayfair, kiedy tylko Agata Lillby wymknęła się, podążając do swego klubu. Zaparkował pan motor w jednej z małych uliczek w pobliżu muzeum. Potem wszedł pan do przybudówki, otwierając drzwi drugim kluczem. J.J. Battiscombe spał po wypiciu herbaty ze środkiem nasennym.

— Przysięgam, że nie widziałem pana Tumberfaste! — krzyknął J.J. Battiscombe. — Spałem jak suseł!

— Bezszelestnie wszedł pan na pierwsze piętro — kontynuował Higgins. — W tym czasie Indira Li i inne sprzątaczkę były zajęte na drugim piętrze. Dobelyou jeszcze się nie pojawił... Otworzył pan drzwi pokoju lorda Mortimera i schował się w większym z dwóch sarkofagów stojących koło wejścia, kiedy usłyszał pan, że nadeszli Frances Mortimer i Filip. Podczas gdy pani Mortimer szukała teczek, wyszedł pan ze swojej kry-

jówki. Ponownie użył pan klucza, cicho zamykając drzwi od wewnątrz. Wcześniej naoliwił pan zamek. Później podszedł pan do Frances Mortimer z bronią w ręku. Ona wreszcie odwróciła się i zauważyła pana. Była tak przerażona, że nawet nie krzyknęła. Nie zostawił jej pan czasu, aby coś powiedziała. Zabił ją pan dwoma strzałami w serce.

— Pan nie może... to niedopuszczalne, straszne... pan... — Poblady Tumberfast mówił z trudem.

Surowym spojrzeniem Higgins zmusił go do milczenia.

— Następnie wyjął pan mumię z drugiego sarkofagu, w którym po kradzieży sam ją pan wcześniej umieścił. Doprawdy, bardzo dobry pomysł. Któż by jej tam szukał? Była panu potrzebna do pańskich naukowych eksperymentów. Zabrał ją pan z tego biura w jeden z wieczorów, kiedy pracował pan samotnie w muzeum. Pracował pan nad nią... dlatego była w tak opłakanym stanie. Położył ją pan na zwłokach Frances Mortimer, aby zmylić ślady i jednocześnie pozbyć się niewygodnego nieboszczyka. Lecz to był właśnie wielki błąd, panie Tumberfast. Starając się utrudnić śledztwo, pomógł mi pan wpaść na właściwy trop — kto inny jeśli nie egiptolog mógł ukraść mumię? Któż inny jak nie pan, pasjonujący się arkanami mumifikacji! Następnie, po zaaranżowaniu tej makabrycznej scenerii, schował się pan w dużym sarkofagu. Wszystko to zajęło panu nie więcej niż trzy minuty. Zanim J.J. Battiscombe, zaalarmowany przez Filipa Mortimera, otworzył drzwi za pomocą klucza wyjętego z szafki, upłynęło co najmniej pięć. Nadszedł teraz moment najbardziej niebezpieczny. Przewidział pan, że straszliwy spektakl przyciągnie wszystkie obecne osoby w głąb biura i zajmie ich uwagę wystarczająco długo, aby dać panu możliwość wyjścia z sarkofagu i ucieczki. Ryzykowne, lecz nie miał pan innego wyjścia. Sarkofag również bardzo mnie intrygował. Sam się w nim zamknąłem, sprawdzając, jak długo można tam oddychać. Zauważyłem, że pokrywa połączona jest z właściwym sarkofagiem przy pomocy obrotowych zawiasów, prawie niewidocznych i świetnie wyregulowanych, tak by nie skrzypiały. Ponadto po bokach, prawie niezauważalne gołym okiem, wywiercone były dwie dziurki, bardzo praktyczne, wpuszczające trochę powietrza... Takich otworów nie spotyka się w żadnym z sarkofagów wystawionych w British Museum. W przypadku jakichś komplikacji w planach miał pan dwie dodatkowe możliwości — albo schować się we własnym biurze, do którego nikt nie zajrzał w wieczór zbrodni, albo pozostać w sarkofagu, który też nie był otwierany. Nadinspektor bowiem słusznie zalecił, aby nie dotykano niczego, a zwłaszcza cennych zabytków zgromadzonych w pracowni lorda Mortimera. Wymknął się pan z budynku, wsiadł na motor, pozbył się broni i rękawiczek, które, jak przypuszczam, sprytnie pan założył, następnie powrócił do rezydencji w Mayfair.

— Zupełnie nieprawdopodobne! — oburzył się Eliot Tumberfast, trzęsąc się. — Wszystko pan zmyślił... Przecież uniewinniają mnie zeznania lorda Mortimera.

Higgins popatrzył na nowego dyrektora British Museum.

— Myślę, że sir John Artur Mortimer nie powiedział nam całej prawdy...

— Uważam pańskie insynuacje za szczególnie obraźliwe, inspektorze. — Uczony wyglądał na głęboko urażonego. — Pańska zawziętość w oskarżaniu Tumberfasta jest niedopuszczalna. Stwierdzam to wbrew sobie, proszę mi wierzyć, on ma niepodważalne alibi. Jak mógłby być zabójcą Frances?

— W pewnym sensie — mówił Higgins surowo — ma pan rację, ponieważ prawdziwym zabójcą jest pan, lordzie Mortimer.

— Nedorzecznosc za niedorzecznością, inspektorze — odparł uczony, nie tracąc opanowania.

Nadinspektor Scott Marlow poczuł, że robi mu się niedobrze. Na jego czole pojawiły się krople potu.

— Prawdą jest, sir, że Eliot Tumberfast i pan nienawidziliście się — kontynuował Higgins. — Wszystko was dzieliło. Nie tylko różnice poglądów naukowych, ale również fakt, że Eliot Tumberfast zakochał się we Frances. Pamiętam — zwrócił się do asystenta — różę, którą wrzucił pan do grobu pani Mortimer... Mam nadzieję, że był to symbol wyrzutów sumienia, a nie gest komedianta. Niezależnie od wszystkiego, popełnił pan fatalny błąd, kradnąc mumię. Był pan tak pochłonięty eksperymentami, że nie wyobrażał pan sobie konsekwencji takiej nieostrożności. Lord Mortimer szybko się zorientował, kto jest złodziejem... tym bardziej, że prawdopodobnie użył tej mumii jako przynęty, aby złapać pana w pułapkę. Znał pana bardzo dobrze, długo pana obserwował i wiedział, że nie oprze się pan pokusie.

— To bez sensu — zareagował lord Mortimer. — Ja sam złożyłem oficjalne zawiadomienie o kradzieży.

— Nie oczekiwałem niczego innego z pańskiej strony, sir — zareplikował Higgins. — W każdym razie Eliot Tumberfast był odtąd całkowicie zdany na pańską łaskę. Gdyby został posądzony o kradzież, jego kariera egiptologa, co cenił sobie najbardziej, byłaby definitywnie przekreślona. Na samą myśl, że przyjdzie mu żyć bez możliwości realizowania ambicji, gotów był na każde ustępstwo. A pan mu obiecał pomoc w pozbyciu się niewygodnej mumii, jeśli będzie z panem współpracował... Z tego, że istnieje między wami rodzaj przymierza, zacząłem zdawać sobie sprawę po głębszej analizie zeznań Agaty Lillby. Kiedy wróciła z klubu gier, widziała — według jej własnych zeznań — lorda Mortimera i Eliota Tumberfasta w pełni dysputy. Lord Mortimer nie pozwalał Tumberfastowi wyjść z gabinetu. Wypytywałem obu protagonistów o ten krytyczny moment w ich dyskusji. Ich zeznania nie w pełni się zgadzały... Lord Mortimer dokładnie pamiętał przebieg wydarzeń i jego wersja odpowiadała opowiadaniu Agaty Lillby. Natomiast wersja Eliota Tumberfasta była niejasna, niezdecydowana... Co jest zupełnie zrozumiałe, ponieważ w tym momencie już go tam nie było! Niech pani sobie dobrze przypomni, panno Lillby. Zauważyła pani lorda Mortimera stojącego tyłem do drzwi, udającego, że zmagają się z Tumberfastem, że zagraża mu drogę... Ale czy widziała pani Eliota Tumberfasta?

Pokojówka była bardzo przejęta.

— Jeśli dobrze sobie przypominam, raczej nie... ale słyszałam jego głos. Myślałam więc, że tam jest.

— Jego głos to inna kwestia... W rzeczywistości Eliot Tumberfast opuścił rezydencję dużo wcześniej. Przypuszczam, że przybył do British Museum na długo przed zakończeniem sztuki, na której byli w teatrze Frances i Filip Mortimer. Na pewno przed antraktem, aby mieć czas na przygotowanie zbrodni.

— Odbiega pan od tematu, inspektorze — ripostował lord Mortimer. — Wykorzystuje pan zeznania świadków, dopasowując je do pańskiej wersji. Panna Lillby słyszała Tumberfastera, jak spiera się ze mną, to prawda. A co powie pan o telefonie mojej żony w przerwie przedstawienia? Nie mogłem z nią długo rozmawiać, ponieważ Tumberfast nie przerywał odczytywania swych wywodów, które miały mnie przekonać.

— Musiałbym mieć innego świadka niż pan, sir. Czy Frances Mortimer mówiła coś o tym telefonie, Filipie?

— Tak — odparł zbulwersowany, nie wiedząc już, gdzie leży prawda, przerażony myślą, że jego ojciec mógłby być winny. — Tak... Frances zaniepokojona była stanem zdrowia ojca. I rzeczywiście dotarły do niej odgłosy dyskusji z Tumberfastem.

— To logiczne — przyznał Higgins, wyraźnie z siebie zadowolony. — Zastawiłem na pana małą pułapkę, sir. Pańska argumentacja opiera się na głosie Eliota Tumberfastera... głosie, który pan nagrał. W gabinecie pańskiej rezydencji oraz w British Museum zauważyłem dwa nowoczesne magnetofony. Nie ukrył ich pan, jako że służą do nagrań o naukowym charakterze, konferencji, przygotowania opracowań... rozmawiałem z panem na ten temat. Szperałem wszędzie z nadzieją znalezienia starych taśm, które potwierdzałyby to, co pan mówi. Byłem skłonny wierzyć panu, niemniej potrzebowałem jakiegoś dowodu. Zaglądając do wnętrza pańskiego kominka, tyleż z osobistego zainteresowania, co zawodowego obowiązku, trafiłem na kawałek taśmy magnetofonowej, która nie była całkowicie spopielona. Kominki często bywają źródłem informacji w kryminalnych sprawach. Zabójcy częstokroć palą jakieś obciążające dowody. Przypuszczam, że sam pan zniszczył te taśmy, unikając wyrzucenia ich do kosza na śmieci w obawie, że Barry, zgodnie ze swoim zwyczajem, trochę zbyt dokładnie zbada jego zawartość...

Higgins zrobił krótką pauzę.

— Powierzyłem ten fragment laboratorium Yardu — podjął po chwili. — Mniej niż sześć centymetrów, bardzo wąska... najnowocześniejsza produkcja dla wysokiej jakości dyktafonów na minikasety. Na taśmie można było odczytać tylko kilka słów: „Proszę mnie posłuchać, mój drogi...”, wypowiedzianych przez pana raczej agresywnym tonem. Zwracał się więc pan do kogoś, co wydaje mi się bardzo dziwnym wykorzystaniem tego rodzaju urządzenia, służącego raczej do nagrywania uwag na osobisty użytek. A jeśli osobą tą był nie kto inny, tylko Eliot Tumberfast? A jeśli były to urywki kłótni, nagranej

w określonym celu? Kiedy Agata Lillby wróciła z klubu, pan już na nią czekał. Błagała mnie, bym nie wyjawiał panu jej nałogu, lecz jestem przekonany, że wiedział pan o tym. Oczekiwał pan na jej powrót. Zna pan przecież małe drzwi, którymi Agata wychodziła na ulicę. Obserwował ją pan z okna gabinetu. Jak tylko wróciła do domu, włączył pan magnetofon. Ukazał się pan jej, kiedy dyskretnie przemykała się schodami, wracając do swego pokoju. Tak więc usłyszała podekscytowany i rozzłoszczony głos Eliota Tumberfasta. Podobnie było z Frances Mortimer podczas rozmowy telefonicznej. To był szczególnie diabelski pomysł... jako alibi posłużyła panu ostatnia rozmowa z żoną. W tym czasie Eliota Tumberfasta nie było już w rezydencji.

— Ma pan bardzo bujną wyobraźnię, inspektorze — zauważył lord Mortimer. — Jeżeli kilka słów zapisanych na skrawku taśmy magnetofonowej prowadzi do takich wniosków, uśmieje się z tego każdy sąd.

— Myślę, że działał pan z precyzją i premedytacją, sir. Wybór wieczoru, kiedy dokonano kradzieży, nie był przypadkowy, pozwolił skierować śledztwo na fałszywy trop. Przekonany jestem, że przynajmniej jedna osoba spośród was wiedziała o rzadkich monetach przechowywanych w gabinecie numizmatycznym...

— Ja — przyznał Filip Mortimer. — Był to wyjątkowy wieczór, kiedy wszyscy numizmatycy byli nieobecni. Na ogół przynajmniej jeden pracuje do późnego wieczora.

— Skąd pan o tym wiedział? — zapytał Higgins.

— Podczas kolacji, około dwóch tygodni przed zabójstwem... ojciec wspomiał o tym przy stole. Powtórzył to ponownie w salonie, gdy Agata przyniosła nam brandy.

Higgins obrócił się w kierunku Agaty, która gwałtownie poczerwieniała.

— Więc i o tym pani wiedziała, panno Lillby... i jeszcze o wielu innych rzeczach. O statuetce ukradzonej przez Filipa Mortimera, o podejrzanym towarzystwie, w jakim się obraca, o kontaktach, które doprowadziły go do pasera. To pani wymyśliła kradzież tych rzadkich monet? Miała pani nadzieję, że przypadnie jej w udziale pokaźna suma, pozwalająca uregulować karciane długi i nadal grać?

— To nieprawda! — zaprotestowała pokojówka niepewnie.

— Wobec tego będziemy mieli tylko jednego winnego — podsumował Higgins. — Williama W. Dobelyou.

Szef gangu antykwariuszy podniósł się gwałtownie.

— Tego już za dużo! Nie mam zwyczaju ujawniać nazwisk moich informatorów, ale też nie mam zamiaru płacić za wszystkich! Zostałem poinformowany o możliwości kradzieży telefonicznie przez jakąś kobietę. Sprawdziłem informację przez Battiscombe'a. Indira Li postarała się o zastępstwo po to, by wszystko przygotować.

— Jak miał pan rozpoznać tę kobietę? — zapytał Higgins.

— W dwa dni po kradzieży było przewidziane spotkanie. Z uwagi na zabójstwo musiałem uciekać. Dlatego też telefonowałem do Battiscombe'a, prosząc, by poszedł za mnie i wyjaśnił sytuację naszej współpracownicy... Zawsze byłem uczciwy w interesach.

— W jakim miejscu było przewidziane to spotkanie, panie Battiscombe?

Strażnik był zdruzgotany.

— Na Carlisle Street 12... Spotkałem tam pannę Lillby wczesnym popołudniem.

— Pańska szczerść jest trochę spóźniona — powiedział Higgins. — Nie dowiadujemy się niczego nowego, ponieważ nadinspektor Scott Marlow polecił, aby obserwowano ten nielegalny salon gier na Carlisle Street. Wiedzieliśmy, kiedy pan tam się pojawił, Battiscombe, i kiedy zjawiała się tam Agata Lillby. Kawałki mozaiki zaczynały do siebie pasować, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, czy doprowadzą nas do mordercy. Czy spotkała się pani również z Eliotem Tumberfastem, panno Lillby? Opowiadała mu pani o tej kradzieży, o przyszłej niezależności finansowej, o możliwym małżeństwie... Kocha go pani jeszcze, nieprawdaż?

Na twarzy pokojówki malowała się rozterka.

— Eliot nie jest zabójcą, inspektorze! Nie może nim być, przysięgam!

— Niestety, to oświadczenie mi nie wystarcza. Podała pani Tumberfastowi godzinę, o której pojawi się Dobelyou. Znał dokładnie szczegóły przebiegu tej kradzieży, przed którą zresztą panią przestrzegał, jednak i on, i lord Mortimer stwierdzili, że ich machinacje nabierają konkretnej formy. Sir John Arthur potrafił w taki sposób sączyć informacje, aby kradzież stała się możliwa i by przy okazji inni mogli być podejrzani o zabójstwo...

— Uważa mnie pan za Machiavellego, inspektorze? — zdziwił się lord Mortimer.

— Tak, to prawda, sir. Przez dość długi czas przebywał pan sam w domu w Mayfair. Czy nigdzie pan nie wychodził?

— Przez cały wieczór nie opuściłem gabinetu. Pan Tumberfast może to potwierdzić. A do tego byłem chory. Dość przykra grypa. Mój lekarz polecił, abym pozostał w domu.

— Rozmawiałem z doktorem Matthewsem — sprecyzował Higgins. — Wydaje mi się równie nieudolny w leczeniu, jak w malowaniu. Myślę, że łatwo potrafił go pan zwieść, podobnie jak swoje otoczenie. Grał pan z niezwykle cynicznym rolem zasmuczonego męża, i ja prawie też uwierzyłem w pański ból, tłumiony z wielką godnością. Mam jednak wiele do zawdzięczenia doktorowi Matthewsowi. Pozwolił mi poznać stan ducha Frances Mortimer. Mimo że nie lubiła egiptologii, sarkofagów i mumii, była pańską wielbicieleką, kochała pana, sir. Lecz pan nigdy jej nie kochał. Dzięki portretom malowanym od dwóch lat przez jej nauczyciela mogłem zobaczyć, jak na przestrzeni czasu rośnie w niej rozpacz. Wiedziała, że jej małżeństwo było pomyłką. Wiedziała, że nie uniknie separacji.

— Słyszałam kłótnię między nią i lordem Mortimerem — wtrąciła Agata Lillby, która zupełnie straciła pewność siebie. — „To nie może trwać dłużej”, mówiła. Zapomniałam o tym wydarzeniu.

— Mówi pani bzdury, Agato — rzucił wściekle profesor. — Dziwną ma pani pamięć. Któż mógłby jej zaufać?

— Z całym szacunkiem, jaki mam dla pana, sir — odparowała — niech mi pan pozwoli stwierdzić, że Frances nie była kobietą dla pana... Niech popatrzy pan na jej bezwstydną nagość na tym obrazie! Wstyd mi. Żałuję tego, czego się dopuściłam. Niemniej pewna jestem, że wszystko to stało się przez nią.

Higgins uważnie słuchał Agaty Lillby. Odwrócił się teraz w kierunku lorda Mortimera.

— Dlaczego zorganizował pan zabójstwo pańskiej żony, sir?

— Nie mam nic do powiedzenia, inspektorze.

— Zrobię to więc za pana, sir. Celem pańskiego życia było dyrektorowanie British Museum. Był pan gotów na wszystko, aby zdobyć tę posadę, podczas gdy nie brakowało innych poważnych kandydatów. Pańska wytrwałość, znajomości, rosnące uznanie pozwoliły panu, około trzech lat temu, uwierzyć w możliwość sukcesu. Tryumf ten byłby nieosiągalny bez poważnej bazy finansowej... której pan już nie posiada. Niewłaściwe operacje finansowe, długi rodzinne... fortuna Mortimerów stopniała jak wiosenne śniegi.

— To chyba jeszcze nie przestępstwo, inspektorze? — ironizował uczony.

— Podczas pogrzebu pańskiej małżonki — ciągnął Higgins — zaskoczyła mnie nieobecność jej rodziców. Dowiedziałem się, że jej matka zmarła pięć lat temu, ale dlaczego nie przybył ojciec, aby towarzyszyć jedynaczce w ostatniej drodze?

— To pytanie należałoby zadać jemu, inspektorze.

— Nie taką wersję przedstawił mi ojciec Frances, kiedy złożyłem mu wizytę w jego posiadłości w Sussex — wyjął Higgins. — Był przeciwny waszemu związkowi, nie znosił pańskiego wyrachowania, którego zakochana Frances nie dostrzegała. Chory i zrozpaczony tragiczną śmiercią córki, nie miał ani odwagi, ani siły, by spotkać się z panem podczas ceremonii, którą uważał za bardziej spektakularną niż szczerą. Wolał opłakiwać śmierć córki w samotności.

— Każdy przeżywa ból po swojemu, inspektorze.

Sir John Arthur ani odrobinę nie tracił godności.

— Ojciec Frances długo opowiadał mi o waszym kontrakcie małżeńskim — kontynuował Higgins. — W przypadku śmierci żony cały jej majątek przechodził na pana. A pani Mortimer nie mogła mieć dzieci... o czym dobry doktor Matthews z pewnością panu powiedział. Największą katastrofą, jaka mogła się panu przydarzyć, byłby rozwód. Oznaczałby ruinę i zniweczenie pańskich planów. Czy pani Mortimer nie brała tej możliwości pod uwagę?

— Bzdury — stwierdził zimno lord Mortimer.

— Doprawdy? — zdziwił się Higgins. — Mój przyjaciel Petticott z Banku Anglii twierdzi, że pańskie osobiste zasoby finansowe są zredukowane do minimum. Nie mógł pan nawet podnieść płac Agaty i Barry'ego. Z chwilą ślubu, dzięki fortunie Frances, stał się pan bogaty.

— To prawda, inspektorze. Ale nie zabija się żony z tego powodu.

— Chyba że grozi odejściem i zabranie swoich pieniędzy, co definitywnie przekreśliłoby pańską karierę... Frances była zrozpaczona, ponieważ wiedziała, że już jej pan nie kocha. Wiącej, że prawdopodobnie nigdy pan jej nie kochał. Nie potrafiła żyć w takim układzie. Ponieważ małżeństwo okazało się porażką, należało je rozwiązać.

— Żona i ja nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, inspektorze. Byliśmy dobraną parą.

— Popełnił pan duży błąd, sir. Grzech próżności.

Lord Mortimer zmarszczył brwi. Nie rozumiał aluzji Higginsa.

— W większości spraw kryminalnych — wyjaśniał Higgins mentorskim tonem — należy dotrzeć do źródeł. Sam mi pan w tym pomógł, sir, prosząc żonę o przyniesienie dokumentów, które były panu pilnie potrzebne. Nie mógł pan udać się po nie sam z powodu choroby. Frances je znalazła. Rozrzucone kartki leżały przy zwłokach. Nadinspektor Scott Marlow powierzył mi fotokopię, która pozwoliła mi ocenić ich wartość. Dokumenty dotyczyły grobowca Horemheba, następcy Tutenchamona. Jako skromny amator egiptologii znałem niektóre zawarte w nich fakty. Zaintrygowany, postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej. Skonsultowałem się więc z moim przyjacielem Mac Culloughem. Jest wybitnym komisarzem aukcyjnym oraz bardzo dobrym znawcą starożytności. Nie posiadając kompetencji zawodowego egiptologa, w kilka minut potrafił przekazać mi dużo więcej danych na temat grobowca Horemheba w Sakkarze niż te zawarte w pańskiej dokumentacji. Pan, wielki znawca... nie dopracował pan tego szczegółu, sir, przekonany, że nikt nie będzie się tym interesował. Po cóż prosił pan żonę o przywiezienie dokumentów, które do niczego nie były panu potrzebne, jeśli nie był to tylko pretekst do wysłania jej na śmierć?

Na twarzy lorda Mortimera nie było nawet śladu niepewności.

— Prawdopodobnie moi asystenci niewłaściwie przygotowali te dokumenty, inspektorze. Ocenilibym to po powrocie Frances. Pańskie oskarżenie nadal jest niezbyt solidnie podbudowane.

Nadinspektor Marlow był coraz bardziej zakłopotany, lord Mortimer z kolei — coraz bardziej pewny siebie.

— Wskazałem pańskie powody, sir — podjął Higgins, równie spokojny jak uczony. — Tytuł dyrektora British Museum jest zwieńczeniem pańskiej kariery. Zdecydował pan pozbyć się żony, kiedy tylko poinformowała pana o zamiarze rozwodu.

Inspektor zwrócił się do Eliota Tumberfasta.

— Nie wiedział pan, że lord Mortimer panem manipulował, okłamał pana, panie Tumberfast. Zabił pan, nie znając prawdziwych powodów.

— Jestem niewinny! — protestował Eliot Tumberfast. — Wszystko, co powiedział lord Mortimer, jest prawdą...

— Chciałbym powiedzieć tu jeszcze o jednej rzeczy, panie Tumberfast. Mój przyjaciel Petticott wspominał mi o czeku na dużą sumę, wystawionym przez lorda Mortimera na agencję detektywistyczną „Christie’s”.

— Nie czyniłem z tej sprawy tajemnicy.

— Było to bardzo zręczne z pańskiej strony — przyznał Higgins. — Czy zna pan tę agencję, panie Tumberfast?

— Nie... my — mamrotał egiptolog.

— Myślę, że tak — odpowiedział za niego Higgins. — Lord Mortimer powiedział panu o tym, że zlecił śledzenie żony. Mówił panu o agencji „Christie’s”, pokazał nawet dokumenty... których nie miał pan odwagi przeczytać, tyle było w nich okropności na temat kobiety, którą pan kochał.

— Jest pan groteskowy, inspektorze! — zirytował się lord Mortimer. — To oczywiste, że nic nie wspominałem o tym Tumberfastowi. Dotyczyło to mojego prywatnego życia.

— Pozwoli pan, że się z nim nie zgodzę, sir — zaproponował Higgins. — Był to główny punkt pańskiego planu. Pewne jest, że namówił pan Tumberfaste do tej zbrodni. Posiadał pan dostatecznie poważne argumenty: szantaż w związku z kradzieżą mumii, obietnica zatwierdzenia programu wykopalisk, o których marzył... ale to wszystko nie wystarczało jeszcze, aby Tumberfast stał się mordercą. Do zawodowych argumentów, bardzo dla niego ważnych, dodał pan element emocjonalny. Od dawna wiedział pan, że Tumberfast jest egzaltowanym pasjonatem. No i zauważył pan, że zakochał się w pańskiej żonie. Jednak Frances była wierną żoną. Potwierdził to raport agencji detektywistycznej. Odrzucała awanse zarówno Tumberfaste, jak i innych kandydatów. Ale pan potrzebował argumentów. Oczernił ją pan przed Tumberfastem. Mówił pan nawet o oświadczeniach Barry’ego i Agaty Lillby. Wyjaśnił pan Tumberfastowi, że Frances miała wielu kochanków... Przedstawił ją pan jako kobietę lekkich obyczajów, frywolną, daleką od obrazu, jaki stworzył sobie Tumberfast. Jego sen prysł. Jego gorąca platoniczna miłość zamieniła się w nienawiść. Frances zaczęła mu się jawić jako istota zbrukana. Ponadto opuszczając pana, nieszczęśliwego i zdradzonego męża, cynicznie rujnowała pańską karierę. A w takich warunkach nie mógłby pan ochraniać Tumberfaste ani zapewnić mu pomocy w planach wykopalisk. Frances urosła do rozmiarów kreatury, demona zła. Pozostawało tylko jedno rozwiązanie: zamordowanie jej. Stałoby się jedynie zadość sprawiedliwości. Czyż Księga Zmarłych starożytnych Egipcjan nie mówi, że należy ukarać niewierną żonę?

Eliot Tumberfast pobladł i podniósł się. Wyciągnął rękę w kierunku obrazu przedstawiającego nagą Frances.

— A to? — powiedział łamiącym się głosem. — Czy to nie jest dowód jej niemoralności?

— W żadnym wypadku — odpowiedział Higgins.

— Ten obraz jest fałszywy. Jego autor przyznał się. Jest gotów złożyć zeznanie. Czy mógłbym prosić pana o zdjęcie butów, panie Tumberfast?

— Przepraszam?

Eliot Tumberfast patrzył na inspektora, nie rozumiejąc.

— Chciałbym, aby przymierzył pan tę parę butów, panie Tumberfast.

Nadinspektor Marlow położył na parkiecie parę czarnych butów. Zdziwiony Tumberfast szukał wsparcia u lorda Mortimera, który odpowiedział mu lodowatym spojrzeniem. Młodzieniec nerwowo zdjął buty i z wahaniem włożył podane mu przez Higginsa.

— Czy mógłby pan zrobić kilka kroków? — zapytał Higgins uprzejmie.

Egiptolog sztywno wykonał polecenie.

— Myślę, że są wygodne — podsumował Higgins. — Pasują na pana. Czy nie przypominają panu czegoś, panie Tumberfast?

Oszołomiony egiptolog znieruchomiał.

— Dlaczego... dlaczego pan o to pyta?

— Ponieważ miał je pan na nogach w noc zabójstwa. Przypomina pan sobie, padał deszcz, kiedy opuścił pan rezydencję w Mayfair. Lord Mortimer radził panu zmienić buty, po powrocie ponownie włożył pan swoje. Lord Mortimer umył tamte, ale ich nie wyrzucił. Schował je w szafie w swoim pokoju. Te buty należą do Filipa Mortimera... Nosi pan ten sam numer co on, panie Tumberfast. Zebrałem trochę ziemi na obrzeżu alei prowadzącej do rezydencji. Analizę przeprowadził Scotland Yard. Znaleźliśmy kilka grudek tej ziemi na podłodze w biurze lorda Mortimera. Świeże ślady. Lord Mortimer nie był w swym biurze od kilku dni. Były to ślady kogoś, kto szedł tą aleją, a następnie przyszedł do biura... Był to pan, panie Tumberfast, lord Mortimer i tym razem wszystko przewidział. Agata nie omieszkała poinformować nas, że Filip Mortimer nie jest zbyt porządny. Rozwiązanie nasunęłoby się samo. To on miałby schować swoje buty w szafie ojca z przyczyn, których nie chciał ujawnić. Ja jednak uwierzyłem Filipowi. Zrozumiałem, że jego ojciec był najbardziej perfidnym z przestępców, nie wahającym się rzucić podejrzeń na własnego syna.

Filip Mortimer popatrzył na ojca z mieszaniną osłupienia i przerażenia. Nie miał odwagi uwierzyć w słowa Higginsa.

— Lordzie Mortimer — oświadczył Higgins z powagą — oskarżam pana w imieniu Jej Królewskiej Mości o zaplanowanie z premedytacją zabójstwa pańskiej żony Frances. Posłużył się pan swym asystentem Eliotem Tumberfastem, który był wykonawcą pańskiego planu. Myślę, panowie, że nadszedł czas przyznania się do winy.

Marlowa paraliżowała perspektywa założenia kajdanków jednemu z najznakomitszych przedstawicieli starej brytyjskiej arystokracji.

— Jestem niewinny — jęczał Eliot Tumberfast.

— Dotyczy to oczywiście również i mnie — oświadczył lord Mortimer. — Za pół godziny mam ważne spotkanie, inspektorze. Mam nadzieję, że ta żalosna komedia dobiega końca.

Higgins zaczął chodzić po pokoju.

— Oczywiście, nie można panów rozdzielić w tej sprawie. Sir, rozumiem, nie może pan przyznać, że w wieczór zbrodni Eliot Tumberfast opuścił na dłużej pański dom, bo obudzi to natychmiastowe podejrzenia co do pańskiego udziału w zabójstwie. Pan zaś, Tumberfast, nie może oskarżyć lorda Mortimera bez jednoczesnego przyznania się do winy. Doskonały plan, sir, oparty na rzadko spotykanym cynizmie. I na pewno, że nikt nie będzie mógł znaleźć konkretnych dowodów, nawet znając prawdę.

— Ta makabryczna historia istnieje tylko w pańskiej wyobraźni, inspektorze.

Higgins podszedł do Eliota Tumberfasta i stanął za jego krzesłem. Mówił łagodnie, jak spowiednik przygotowujący się do udzielenia rozgrzeszenia.

— Usiłował pan przekonać mnie, panie Tumberfast, że niektóre mumie zmartwychwstają. Jest pan przekonany, że Egipcjanie zgłębili tajemnicę śmierci... i ma pan rację. Ta mumia, na którą zrzucił pan odpowiedzialność za zabójstwo, była świadkiem pańskiego przestępstwa. Sprzymierzyła się z Frances Mortimer, aby oskarżyć pana przed Bogiem i ludźmi... bo Frances Mortimer nie umarła! Niech pan patrzy, panie Tumberfast, niech pan patrzy!

Eliot Tumberfast usłyszał lekkie skrzypnięcie, dochodzące z miejsca, gdzie stały sarkofagi. Odwrócił się. Pokrywa jednego z nich otworzyła się powoli. Tumberfast wstał z wytrzeszczonymi oczami. Lord Mortimer wpił palce w oparcie krzesła. Indira Li zemdlała, upadając w ramiona Filipa Mortimera.

Pokrywa sarkofagu spadła na parkiet z suchym trzaskiem. Oczom zebranych ukazała się mumia w białych bandażach. Jej głowa należała do młodej, bardzo pięknej kobiety o blond włosach i dużych, szeroko otwartych oczach. Żywa mumia.

Eliot Tumberfast podbiegł do niej i upadł na kolana.

— Frances! — wołał. — Frances! Wybacz mi, ukochana... Sir John Arthur okłamał mnie, oszukał... Zabiłem cię, ja, który tak cię kochałem, ja, który byłem głęboko przekonany o twojej czystości... To wszystko jego wina, to on jest zabójcą, przysięgam...

Wstrząśnięty Scott Marlow został gwałtownie pchnięty na ścianę. Lord Mortimer rzucił się do ucieczki. Dopadł do drzwi i zniknął.

— Za nim! — krzyknął nadinspektor. — Wymknie się nam!

— Spokojnie, nadinspektorze — rzekł Higgins, przyjacielsko poklepując go po plecach. — Przecież polecił pan, aby pilnowano wszystkich wyjść.

Rozdział XXI

Higgins i Scott Marlow szli przez Bond Street. Padał deszcz.

— Wraca pan do siebie? — zapytał nadinspektor.

— Za godzinę mam pociąg.

— Cóż za historia — westchnął Scott Marlow. — Cóż za historia...

— Jak udała się pańska konferencja prasowa? — zainteresował się Higgins.

— Wspaniale. Dziennikarze nie dowierzali własnym uszom. Nie co dzień zdarza się zatrzymać podobnego przestępcę... chciałem powiedzieć, przestępców.

Higgins podniósł kołnierz płaszcza. Było mu zimno i znowu poczuł drapanie w gardle. Klimat Londynu wyraźnie mu nie służył.

— Niech mi pan powie, Higgins, ten obraz, do którego pozowała Frances... rozebrała, jak pan zgadł, że to nie ona?

— Niczego nie zgadywałem, nadinspektorze. Po prostu nie wierzyłem. Przeczuwałem, że pani Mortimer była kimś wyjątkowym, niezwykłym, kobietą wierną i czystą. Ta pewność była mi przewodnikiem w czasie całego śledztwa. Chciałem to zrozumieć. Znalazłem dziwną wizytówkę w pracowni malarza. Była to wizytówka agencji „Top-Model”. Pozwoliło mi to oszczędzić pytań temu staremu schorowanemu człowiekowi. Miał przecież prawo do marzeń. Udałem się pod adres znajdujący się na wizytówce. W jednym z albumów pokazanych mi przez właścicielkę, były fotografie dam... nagich. Pokazałem pani Topsy fotografię Frances Mortimer. Rozpoznała ją jako jedną ze swych podopiecznych. W rzeczywistości był to sobowtór Frances, tyle że bardziej wulgarny. Ta właśnie kobieta grała służącą w *Zbrodni i karze*. Na fotografii, którą zobaczyłem w agencji, spostrzegłem, że ma dwa duże pieprzyki nad lewą piersią. To nie była Frances Mortimer, sądząc po zdjęciach zrobionych w prosektorium. Modelką była zatem ta właśnie dziewczyna.

— Czuję, że miał pan jakieś ukryte zamiary, zapraszając mnie do teatru — przyznał nadinspektor.

— Poszedłem tam zobaczyć tę młodą osobę — kontynuował Higgins — i zaproponowałem jej najpiękniejszą rolę w całej karierze. Rolę zmartwychwstałej mumii.

Zgodziła się z radością. Pozostawało mi tylko dokonać w aptece zakupu dużej liczby bandaży, by ją nimi owinąć. Potem wystarczyło wyprosić na kilkanaście minut wszystkie podejrzane osoby z biura lorda Mortimera i wprowadzić tam naszą aktorkę, aby mogła wśliznąć się do sarkofagu.

— Ryzykowna operacja, drogi Higginsie!

— Nie tak bardzo, nadinspektorze. Eliot Tumberfast jest mistykiem o słabych nerwach. Należało go przygotować, zanim postawi się go wobec pozaziemskiej rzeczywistości, w którą głęboko wierzy. Taki szok musiał przełamać jego ostatnie opory.

— Nie rozumiem, jak taki dżentelmen jak lord Mortimer...

— To nie jest dżentelmen, nadinspektorze. To zdecydowanie ciemna postać.

Higgins wypowiedział to z dogmatyczną surowością.

— Świat często jest okrutny, nadinspektorze. I nic na to nie poradzimy. Niemniej zawsze należy walczyć ze złem. Powinienem był rozwikłać tę sprawę dużo szybciej. Los wskazał mi winnego zupełnie wyraźnie. Niestety, nie zwracamy dostatecznej uwagi na pewne znaki...

— Jakie znaki? — zdziwił się Scott Marlow.

— Czy Frances Mortimer nie udała się do teatru na sztukę *Otello*, zanim została zamordowana przez diabolicznego męża i zakochanego zazdrośnika? Podwójny Otello...

— Dzięki nam sprawiedliwość zatriumfowała — zauważył nadinspektor.

— Miejmy nadzieję — odpowiedział Higgins. — Obiecałem pani Mortimer, że odnajdę zabójcę, aby mogła spoczywać w spokoju. Teraz mogę wrócić do siebie. Czasami aż przykro patrzeć na ludzi. Na szczęście są jeszcze koty, drzewa i róże. Do zobaczenia nadinspektorze. Niech pana Bóg prowadzi.

Scott Marlow, bardziej wzruszony, niż chciał to okazać, spoglądał na Higginsa, oddalającego się w deszczu. Pomyślał, że dopóki będzie choć jeden Higgins, Scotland Yard nie będzie policją taką jak inne.

SPIS TREŚCI

Rozdział I	2
Rozdział II	12
Rozdział III	16
Rozdział IV	19
Rozdział V	27
Rozdział VI	31
Rozdział VII	38
Rozdział VIII	43
Rozdział IX	51
Rozdział X	56
Rozdział XI	61
Rozdział XII	66
Rozdział XIII	73
Rozdział XIV	80
Rozdział XV	88
Rozdział XVI	95
Rozdział XVII	101
Rozdział XVIII	105
Rozdział XIX	111
Rozdział XX	125
Rozdział XXI	138